tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 4 (1203)
23-29.01.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

OLGA LIPIŃSKA
ZAWSZE SĄ DOBRE CZASY NA KABARET

OLIVER BULLOUGH
JAK ZACHÓD POMAGA OLIGARCHOM I MAFIOM

AMUN
MALUJĄ STOPAMI I USTAMI

NIEMCY
SKUTKI PORZUCENIA ATOMU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
9 771509 311300 04

TA POLICJA LEPSZA NIE BĘDZIE

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA NA

SPEKTAKLE IMPROWIZOWANE

Bądź częścią tej historii!

KOMEDIA ROMANTYCZNA
10, 11, 12 i 14 lutego

DISCO POLO, czyli historia pewnego zespołu
27 stycznia i 17 lutego

KRYMINAŁ IMPROWIZOWANY
13 i 20 stycznia, 3 lutego

WILKOŁAKI horror improwizowany
24 lutego

• KUP BILET 2023 TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Szalona NOWOŚĆ!

Patroni Medialni: RMF MAXX, Tele Tydzień, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl

Partnerzy Teatru: Strefa Music, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, Dwa Teatrów Wesołych, Mza

Producent: Teatr Komedii

Partner producenta: Angora

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 73236679af

Jerzy Domański

Wiatraki w Wilanowie

Zamykam oczy i widzę, jak spełniło się marzenie o Polsce jako krainie tysięcy wiatraków. Marzenie lobbystów i polityków, do których lobbyści skutecznie dotarli. Musieli, bo bez decyzji polityków nie można budować wiatraków tuż przy domach i zabudowaniach. Otwieram oczy i widzę firmy, które świetnie zarabiają, bo im wiatrak bliżej, tym przedsięwzięcie jest tańsze, a zysk większy. Znowu zamykam i widzę las wiatraków zaglądający do okien apartamentów w Wilanowie, Sopocie czy Konstancinie. A może także w Zakopanem. No, ze stolicą Tatr to jednak przesadziłem. Górale są zbyt nerwowi na takie numery. A szczególnie, gdy wieje halny. Tyle wiatru niestety tam się marnuje. Żartuję. Może trochę, choć sprawa jest poważna. Nie jestem przeciwnikiem wiatraków ani ferm fotowoltaiki. Pod warunkiem że stawiane są tak, że nie rujnują życia ludziom, którzy pobudowali domy nie z myślą, że tuż za oknem będą mieli wiatrak albo hektar paneli fotowoltaiki. Czy tak wiele chcą?

Politycy kochają mówić, że najważniejszy jest człowiek. Ciągle słyszymy, że po pierwsze człowiek. Ale który? Gdzie jest ten człowiek, o którym mówią? Z pewnością nie jest nim ten, któremu nie da się wmówić, że wiatrak szemrze ciszej niż lodówka nowej generacji. I że musi się zgodzić na budowę, bo wojna na Ukrainie. A jak pyta, dlaczego postępem ma być instalowanie starych niemieckich wiatraków, których tam się pozbywają, to słyszy, że teraz już tak nie będzie. A co? Niemcy już wszystkie starocie sprzedali?

Nie jestem przeciwko wiatrakom, jako ważnej części OZE. Ale lekceważenie tych, którym chce się je postawić przed domem, uważam za bezczelność i krótkowzroczną arogancję. Słyszymy argumenty tylko jednej strony. Tej, która na wiatrakach zarabia. A głosy tych, których to rzekome dobrodziejstwo spotkało, nikną gdzieś wśród nacisków i presji, żeby szybko zmniejszyć dozwoloną odległość wiatraka od domu.

Chwalebnym wyjątkiem w tym jednogłosie jest reportaż Marcina Wójcika w „Dużym Formacie". Podaję za nim kilka cytatów. Ku refleksji: „Najgorzej, kiedy turbina szuka wiatru i się przestawia. To daje straszny warkot, jakby pociąg przejeżdżał", „Do najbliższego wiatraka nie mam nawet 500 m, w nocy jest najgorzej, śwista, jakby samolot chciał wystartować, a nie mógł".

I co ci ludzie mają z tym zrobić? Branża wiatrakowa wygrywa. Gminy będą miały dodatkowe dochody. A los zwykłych ludzi? Czy to kogoś jeszcze obchodzi?

BĄKOWSKI

2023
wielka orkiestra świątecznej pomocy
WSPIERAMY OWSIAKA
Nasza redakcja przygotowała aukcje, z których dochód zostanie przeznaczony na **31. Finał WOŚP – Chcemy wygrać z sepsą!**
W tym roku na aukcje Allegro przekazaliśmy **książki PRZEGLĄDU** z autografami autorów.
Licytacje na stronie **aukcje.wosp.org.pl** potrwają do 12 lutego 2023 r.
Gramy z WOŚP!

eprasa.pl 73236679af

W NUMERZE

KRAJ

8 **Ta policja lepsza nie będzie**
Najpierw służy się partii, a dopiero potem…

14 **To nie jest kraj dla matek**
Prawie 70% Polek nie planuje dzieci

18 **Koniec wojny na kościelnym polu?**
Wracamy do sprawy hotelu w Rybakach

40 **Nie chcemy litości**
Malują stopami i ustami

ZAGRANICA

20 **Czeski prezydent w mundurze?**
Korespondencja z Pragi

22 **Addio, Mafiapolis**
Korespondencja z Palermo

26 **Transformacja grzęźnie w błocie pod Lützerath**
Korespondencja z Niemiec

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

29 **Wszystko jest na sprzedaż**
– rozmowa z Oliverem Bulloughiem

OPINIE

32 **Stephen M. Walt**
Dlaczego Ameryka nie mogłaby przestać głupio postępować, nawet gdyby chciała?

KULTURA

34 **Ja jestem w partii Kultura**
– rozmowa z Olgą Lipińską

45 **Qulturalia**

66 **Fangor. Poza obraz**

SYLWETKI

38 **Litwiniec i kundlizm**
Odszedł człowiek orkiestra

HISTORIA

46 **Wydani przez polskich zdrajców**
Egzekucja dowódców Obwodu Oświęcimskiego AK

PSYCHOLOGIA

50 **Seks, miłość i roboty**
Jak zaspokoić potrzebę bliskości

OBSERWACJE

54 **Psy w grupach GOPR**
Czują się członkami zespołu

ZWIERZĘTA

58 **Grabarze**
Zwierzęce służby sanitarne

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wiatraki w Wilanowie

13 **Roman Kurkiewicz**
Nikt się nie spodziewa hiszpańskich nurków

17 **Jan Widacki**
Bronię Giertycha

49 **Tomasz Jastrun**
Kiełbasa nie tylko wyborcza

53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
To, czego nie wybaczymy Susan

29
GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

WSZYSTKO JEST NA SPRZEDAŻ
– rozmowa z Oliverem Bulloughiem

40
KRAJ

NIE CHCEMY LITOŚCI
Malują stopami i ustami

54
OBSERWACJE

PSY W GRUPACH GOPR
Czują się członkami zespołu

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73236679af

Kryptowaluty to magnes na oszustów

Cały czas tylko hasła: finansowa rewolucja, bańka spekulacyjna, oszustwa, kradzieże, niezależność, wolność... A największym draństwem są zużyte zasoby energetyczne, aby „wykopać" te kryptowaluty. Energia elektryczna potrzebna do zasilania „koparek" i do ich chłodzenia nie bierze się znikąd!

Kuba Małecki

Gdynia. Modernizacja i jej ofiary

Pan Grzegorz Piątek, autor nagrodzonej Paszportem „Polityki" książki „Gdynia obiecana. Miasto, modernizm, modernizacja 1920-1939", mówi, że Kaszubom w Gdyni brakowało tzw. niemieckiego porządku. Mój dziadek ze strony Matki był Kaszubem od pokoleń, babcia pochodziła z Nadrenii Północnej-Westfalii i nigdy nie słyszałam, żeby narzekali na czasy, gdy powstawała Gdynia. W czasie wojny nie podpisali żadnej niemieckiej listy. Za to mieli być wywiezieni do Stutthofu. Uprzedzeni o tym zdążyli się ukryć. Urodziłam się w Gdyni. Była pięknym miastem – z zielonymi skwerami i basenem na Redłowskiej Polance. Stara zabudowa, ta sprzed wojny, jest ładna, trochę po wojnie też jeszcze sensownie budowano. A teraz mamy upiorną budowlę nad morzem. Skwery także już są zabudowane, zieleni właściwie nie ma. Szkoda.

Waleria Lubner

1200 i dalej

Redaktorowi Naczelnemu, jednemu z pionierów uczciwości dziennikarskiej, a także całemu zespołowi oraz współpracownikom – niezależnie od pełnionych funkcji – dziękuję za 1200 numerów „Przeglądu".

W komentarzu w nr. 1/2023 redaktor Jerzy Domański napisał: „»Przeglądowi« nie brakuje odwagi. Choć bardziej cenimy rozum, rozsądek, wiedzę i fakty. Zwłaszcza gdy piszemy o historii". Za tę ostatnią działalność niżej podpisana szczególnie Państwu dziękuje. Jestem bowiem potomkinią tych, którzy wszystko systematycznie tracili w czasie trzech zaborów, I i II wojny, jak również tzw. repatriacji. To przede wszystkim z myślą o nich, ale i do wiadomości ogółu społeczeństwa, opracował swoją „Kresową Atlantydę" prof. Stanisław Sławomir Nicieja. Informację o bezcennej pracy profesora zamieścili Państwo w „Przeglądzie" nr 53/2022.

Zdaję sobie sprawę – bo i w prasie jako młoda dziewczyna, krótko po wojnie, pracowałam – ile wiedzy, energii i nieraz autentycznego poświęcenia potrzeba, aby redagować dziennik czy tygodnik. Nie warto jednak rezygnować z takiej walki. Czytelnicy – szczególnie ci młodsi – autentycznie potrzebują takich mentorów i takiej busoli.

Szanowny i drogi, niezłomny jak rzadko Redaktorze Naczelny, życzę Panu i całemu Pańskiemu otoczeniu naprawdę wielu sukcesów i jak najmniej trosk w pracy.

Elżbieta Kucharska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Miejsce katastrofy ukraińskiego śmigłowca pod Kijowem. Na pokładzie byli szef MSW Denys Monastyrski, jego pierwszy zastępca Jewhenij Jenin i jeszcze jeden wiceminister, Jurij Łubkowycz, oraz trójka innych pracowników MSW i trzech członków załogi. Wszyscy zginęli. Łącznie mowa jest o 14 zabitych i 25 rannych.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 73236679af

191 tys. osób pobiera w Polsce świadczenie pielęgnacyjne z tytułu opieki nad niepełnosprawnymi dziećmi. Jeśli opiekunowie zrezygnują z zatrudnienia, mogą otrzymać **2458 zł** świadczenia pielęgnacyjnego. Panie premierze, jak za to przeżyć?

•

Paszporty „Polityki" 2022 otrzymali: **Jan Holoubek** (film), **Jakub Skrzywanek** (teatr), **Anna i Jakub Górniccy,** znani jako Outriders (kultura cyfrowa), **Agata Słowak** (sztuki wizualne), **Grzegorz Piątek** (literatura), **Anna Sułkowska-Migoń** (muzyka poważna), **Przemysław Jankowiak – 1988** (muzyka popularna) oraz **Dorota Masłowska, Ryszard Poznakowski i Wilhelm Sasnal** jako kreatorzy kultury.

•

7,86 bln zł wyniosła w 2022 r. wartość przelewów w systemie Elixir.

•

Ponad 500 osób zatrudnia już rządowa spółka Centralny Port Komunikacyjny. A niezależnie od tego korzysta z usług wielu ekspertów z firm zewnętrznych. Średnie zarobki w CPK przekroczyły 13 tys. zł (brutto).

•

W 25. rankingu **Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy"** najlepszymi liceami ogólnokształcącymi w Polsce są: **XIV LO im. Stanisława Staszica w Warszawie, V LO im. Augusta Witkowskiego w Krakowie, XIII LO w Szczecinie i Uniwersyteckie LO w Toruniu.** Wśród techników wygrało **Technikum Mechatroniczne nr 1 z Warszawy** przed **Technikum Łączności nr 14 z Krakowa i Technikum Elektronicznym z Lublina.**

•

Będą dłuższe urlopy rodzicielskie dla ojców i nowy urlop opiekuńczy. Wydłużone zostaną elastyczne formy czasu pracy dla rodziców do ósmego roku życia dziecka.

•

Prof. Jakub Urbanik, wykładowca UW, wniósł o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego wobec Marcina Warchoła, który z ramienia Solidarnej Polski jest wiceministrem sprawiedliwości, a także adiunktem na UW. Warchoł nazwał „Sylwester Marzeń" TVP sylwestrem wynaturzeń i popisał się wieloma homofobicznymi tekstami. Rektor UW prof. Nowak gra na zwłokę.

•

Po 58 dniach **polarnik Mateusz Waligóra** doszedł do bieguna południowego. W temperaturze minus 40 st. C ciągnął specjalne sanie z ekwipunkiem. Jest czwartym Polakiem, który zdobył ten biegun. Wcześniej dokonali tego Marek Kamiński, Małgorzata Wojtaczka i Jacek Libucha.

•

Polska Grupa Górnicza sprzedała w 2022 r. w sklepie internetowym 1,5 mln ton węgla i miałów węglowych.

•

Do wielu problemów z Trybunałem Konstytucyjnym doszedł jeszcze jeden. Z Julią Przyłębską, która okopała się na stanowisku prezeski. Zmiany domagają się m.in. Bogdan Święczkowski i Mariusz Muszyński. Szykuje się więc skok Ziobry na Trybunał.

•

Jakub Kumoch, były szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim OOP „za wybitne zasługi w służbie dyplomatycznej". Najwybitniejszym osiągnięciem Kumocha była rozmowa prezydenta Dudy z rzekomym Macronem.

PRZEBŁYSKI

Piński o Mazurku

Nie wiemy, czy opinia Jana Pińskiego ucieszyła znanego celebrytę medialnego Roberta Mazurka, czy wręcz przeciwnie. Zdaniem Pińskiego „Mazurek to mądry propagandzista PiS. Zdarza mu się krytykować władze partyjne, dzięki czemu może uchodzić za dziennikarza obiektywnego. Faktycznie odwala bardzo ważną propagandę. Dociera do tych, którzy odrzucają chamski przekaz topornej propagandy PiS. Przekaz Mazurka jest taki: PiS ma dużo wad, ale spójrzcie na opozycję, przecież ona jest jeszcze gorsza" („Najwyższy Czas"). Piński miał okazję pracować z Mazurkiem w „Uważam Rze". Ten już w 2012 r. zarabiał tam 25 tys. zł miesięcznie. Ale prawdziwa kasa to ostatnie lata. Na dodatek brat Mazurka został za PiS prezesem spółki skarbu państwa zajmującej się nieruchomościami. Choć nie miał z tą branżą nic wspólnego.

Wyszkowski nadaje z toi toia

Iga Świątek pokazuje klasę nie tylko na korcie. Wsparła 31. Finał WOŚP Jurka Owsiaka. W czasie licytacji będzie można wygrać dwuosobowe zaproszenie na jej mecz w pierwszej rundzie French Open i wszystkie mecze, które będą tego dnia w Paryżu, na przełomie maja i czerwca. Na licytacji będzie też rakieta, którą Świątek wygrała turnieje Roland Garros i US Open. A na deser osobiste spotkanie z tenisistką. Fajny gest. Jednak nie dla każdego. Odezwał się Krzysztof Wyszkowski, zawodowy paszkwilant: „Mówili, że ojciec porządny, a tu jednak zwykła siemana tandeciara. Szkoda…". Nawet jak na dojną zmianę Wyszkowski to wyjątkowy palant.

Ja prosić, nie strzelajcie

Który to Polak mógł w czasie meczu z Argentyną na mistrzostwach świata gawędzić z obrońcą biało-niebieskich? Nicolás Tagliafico w czasie internetowej transmisji na platformie Twitch opowiadał: „Kiedy zdobyliśmy drugiego gola, około 60. minuty, jeden z Polaków powiedział do mnie, najlepiej jak potrafił po hiszpańsku: nie atakujcie więcej, wystarczy".

Następna bramka Argentyńczyków mogła Polskę wyeliminować. I skończyłoby się na fazie grupowej. Ciekawe, kto tak desperacko prosił Argentyńczyka o litość. Podobno kiedyś grał w Hiszpanii, a teraz w Arabii Saudyjskiej. Najbardziej tą rozmową interesują się Meksykanie, bo to oni wyszliby z grupy. I zagrali z Francją.

Anioł z kiszonymi ogórkami

Z czym wam się kojarzy sesja budżetowa rady miasta? Masa liczb, tabel i wykresów. Nuda. Ale nie w Zielonej Górze. Tam radna PiS łączy sesję z jarmarkiem. Eleonora Szymkowiak przychodzi na te sesje w przebraniu. Była już bożonarodzeniowym drzewkiem. Na sobie miała świecące lampki i łańcuchy choinkowe. W tym roku zielonogórzanie zobaczyli anioła. W wersji dla przedszkolaków. Nad głową Szymkowiak miała aureolę, a na ramionach ogromne skrzydła. Dopełnieniem całości były zaś kiszone ogórki. Popularna zakąska, nie tylko wśród wyborców dojnej zmiany.

FOT. YOUTUBE (2), IPN

eprasa.pl 73236679af

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie są granice możliwości sztucznej inteligencji?

PROF. HALINA KWAŚNICKA,
specjalistka w zakresie sztucznej inteligencji, Politechnika Wrocławska i WSB Wrocław

Nikt nie wie tego na pewno, ale uważam, że sztuczna inteligencja nie dorówna ludzkiej pod względem kreatywności. Potrafi o niebo lepiej od nas przetwarzać ogromne zbiory danych i znajdować w nich wzorce, ale wielkie odkrycia czy przełomowe dzieła sztuki wymagają czegoś więcej – odrzucenia dotychczasowych wzorców i zaproponowania czegoś zupełnie nowego. Ada Lovelace, pierwsza programistka w historii, już w 1843 r. stwierdziła, że maszyny nigdy nie będą tak inteligentne jak ludzie, ponieważ mogą robić tylko to, do czego je zaprogramowano. Wydaje mi się, że na zawsze niedostępne będą dla nich także intuicja, emocje czy empatia, bo ich również nie da się zapisać w postaci algorytmów. Powiem więcej: mam nadzieję, że tak będzie, bo choć jestem „zakochana" w sztucznej inteligencji, chcę wierzyć, że człowiek jednak czymś się różni od tworzonego przez siebie oprogramowania.

DR HAB. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA,
futurolożka, Akademia Leona Koźmińskiego

Horyzont jej rozwoju jest trudny do przewidzenia, ponieważ ta dziedzina bardzo szybko się rozwija. Znakomita część ekspertów uważa, że w przyszłości AI będzie coraz bardziej zintegrowana z różnymi aspektami naszego codziennego życia, takimi jak transport, opieka zdrowotna i komunikacja. Ponadto oczekuje się, że będzie nadal doskonalić się w przetwarzaniu języka naturalnego, widzeniu komputerowym czy podejmowaniu decyzji. Trwają również pierwsze badania nad AGI (Artificial General Intelligence). Niektórzy już teraz mówią o stworzeniu ASI (Artificial Superintelligence), mającej zdolność uczenia się i rozumienia podobną do ludzkiej, a nawet przekraczającej kolektywną inteligencję ludzkości. Warto jednak zauważyć, że istnieją obawy dotyczące możliwych konsekwencji rozwoju AI, m.in. wypierania miejsc pracy i pogłębiania nierówności społecznych. Dziś nie wydaje się, żeby badania nad rozwojem AI można było zatrzymać, ale stało się tak w przypadku innych przełomowych technologii, np. klonowania.

WALDEMAR SIWIŃSKI,
prezes IREG Observatory

Nie istnieją, niestety. Stanisław Lem powiedział kiedyś, w kontekście literatury science fiction, że to, co ktoś napisze, ktoś inny na pewno zrealizuje. I rzeczywiście okazuje się, że nie ma takich katastroficznych wizji, które w jakichś wymiarach czy momentach by się nie ziszczały. Sztuczna inteligencja, przynosząca dużo rozwiązań polepszających nasze życie, jest jednocześnie źródłem wielu zagrożeń. Jeśli się nie ockniemy, wszystkie czarne scenariusze nakreślone przez pisarzy mogą się urzeczywistnić.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 73236679af

Ta policja lepsza nie będzie

Najpierw służy się partii, a dopiero potem…

Robert Walenciak

Dlaczego Jarosław Szymczyk wciąż jest komendantem głównym policji? Dlaczego jeszcze nie został zdymisjonowany? W ostatnich dniach media nie nadążają z informowaniem o kolejnych aferach i skandalach w tej służbie. Ale zanim jedna afera nabierze tak naprawdę rozgłosu, już wybucha następna, jeszcze bardziej absurdalna.

Wniosek jest prosty – jeżeli coś regularnie się powtarza, przestaje to być przypadkiem. Staje się normą. Tę instytucję przeżera jakaś choroba, jakiś rak. Ale – jak widzimy – rządzących to nie boli. Dlaczego?

Kronika dziwnych wypadków

Przypomnijmy wydarzenia z ostatnich dni. Oto lista policyjnych przebojów.

• Tajemniczy Hiszpanie nurkują w okolicach Portu Północnego i rafinerii. W nocy, w niedzielę, przy sztormowej, styczniowej pogodzie. Trudno uwierzyć, że rekreacyjnie. Wiemy o nich, bo zepsuła się im motorówka. Gdyby była sprawna, nie wiedzielibyśmy nic. Ale i tak wiemy niewiele – policja nie ustaliła ich tożsamości, po sporządzeniu notatki puściła wolno.

• Komendant główny policji strzela w swoim gabinecie z granatnika. Pocisk przebija dwa piętra. O tym też pisze i mówi, a raczej śmieje się z tego szyderczo, pół Polski. My się śmiejemy, a PiS współczuje, nazywając komendanta ofiarą wypadku.

• Jak nie granatnik – to brat. Brat komendanta głównego policji Łukasz S. został oskarżony o udział w zorganizowanej grupie przestępczej, pranie brudnych pieniędzy i fałszowanie faktur VAT. Wszyscy członkowie grupy zostali już zatrzymani z wyjątkiem owego brata. Jak serwują nam media, stało się tak na pisemne polecenie prokuratora regionalnego w Lublinie, który nadzoruje sprawę. Dodajmy do tego następną informację mediów – ów brat miał mówić członkom gangu, że zapewnia parasol ochronny nad działaniami.

• Nie wiadomo, o co chodziło policjantom z komendy w Pruszkowie, którzy zabrali dwie nastoletnie dziewczyny z miejsca interwencji. Banalnej – przy drodze paliło się ognisko, młodzież wezwała straż pożarną. Za strażakami przyjechali stróże prawa. I zainteresowali się dziewczynami. Nocna wycieczka skończyła się za zakrętem, kiedy radiowóz uderzył w drzewo. Policjanci nie udzielili poszkodowanym pomocy. Złamany nos, złamana ręka, możliwe obrażenia wewnętrzne – nic to, kazali im się wynosić.

• W dzień kolejnej miesięcznicy smoleńskiej do mieszkania, które wynajmowała Lotna Brygada Opozycji, grupa organizująca ośmieszające władzę happeningi, zapukali policjanci. Nie, nie do drzwi, tylko do okna. A dostali się tam na strażackim wysięgniku. Po co pukali? Nie potrafili logicznie odpowiedzieć, chodziło więc najpewniej o to, by przestraszyć, pokazać, że policja jest i czuwa.

> Policja działa na rozkaz, więc jak kierownictwo sobie ją zorganizuje, tak ma. W jednych sprawach jest nadzwyczaj czujna i twarda, w drugich – taka jak zawsze.

• Z tym czuwaniem gorzej wyszło w Łomży. Tam miejscowy policjant zgubił notatniki służbowe, które zawierały dane osób legitymowanych od 9 sierpnia 2021 r. do 1 stycznia 2022 r. Z ich miejscem zamieszkania, numerami PESEL, dowodu osobistego i prawa jazdy. Policja wystosowała więc ostrzeżenie do wylegitymowanych, że muszą się liczyć z konsekwencjami kradzieży tożsamości. Czyli z tym, że ktoś na ich nazwisko weźmie kredyt, zawrze transakcję itd. Jakaż wzruszająca troska…

• Jeżeli jesteśmy przy sprawach finansowych, to jeszcze jedna wiadomość – Straż Ochrony Kolei zatrzymała w nocy dwóch policjantów z komendy w Będzinie. Policjanci kradli koks w pobliżu stacji Dąbrowa Górnicza Towarowa.

eprasa.pl 73236679af

28 listopada 2020 r. policja użyła gazu wobec posłanki Barbary Nowackiej.

Byli w mundurach, worki z kradzionym towarem wrzucali do służbowego samochodu na cywilnych numerach. Wartość ich łupu wyceniono na 300 zł.

• I kolejna wiadomość – zastępca komendanta powiatowego we Włodawie odwiedził kolegów w Zamościu. Po imprezie, wracając do hotelu, najwyraźniej spragniony dalszej zabawy, próbował wedrzeć się do miejscowej restauracji, rozbijając drzwi, zwyzywał wezwany patrol policji i wywołał awanturę w hotelu, wchodząc do nie swojego pokoju.

Co władzy się podoba?

To tylko najgłośniejsze przypadki z ostatnich dni. Przedstawiają one policję jako organizację, w której króluje bałagan i brakuje czytelnych reguł, a funkcjonariusze albo czują się bezkarni, albo myślenie nie jest ich największym atutem. W sposób naturalny rodzi się pytanie: dlaczego tak się dzieje?

Odpowiedź nasuwa się sama – policja jest formacją mundurową, działa na rozkaz, więc jak kierownictwo sobie ją zorganizuje, tak ma. Dlatego w jednych sprawach okazuje się nadzwyczaj czujna i twarda – i za to jest tak naprawdę rozliczana. W drugich postępuje tak jak zawsze. A jeszcze w innych – hulaj dusza…

Komendant Szymczyk doskonale o tym wie. Dlatego historia z granatnikiem, którym bawił się w swoim gabinecie, nie spędza mu snu z oczu. Nic mu nie grozi, nie z tego jest rozliczany. Za to w sprawach, z których jest rozliczany, spisał się bez zarzutu.

Świat Jarosława Kaczyńskiego jest wypełniony policjantami, którzy z wielką uwagą strzegą jego osoby i wykonują jego polecenia.

Z punktu widzenia szefów MSWiA i tego najważniejszego – nadszefa. Bo świat Jarosława Kaczyńskiego jest wypełniony policjantami, którzy z wielką uwagą strzegą jego osoby i wykonują jego polecenia.

Nawiasem mówiąc, oprócz policjantów, mundurowych i po cywilnemu, nad bezpieczeństwem Jarosława Kaczyńskiego czuwają ochroniarze z prywatnej firmy GROM Group. Prezes porusza się więc po Warszawie w kolumnie złożonej z co najmniej czterech pojazdów. Dwie limuzyny są partyjne – jedna dla Kaczyńskiego, druga dla opłacanej przez PiS ochrony. A oprócz tego radiowóz z umundurowanymi funkcjonariuszami i auto na cywilnych numerach. Radiowozy się wymieniają – gdy prezes wyjeżdża z Żoliborza i wjeżdża do Śródmieścia, przejmuje go ekipa śródmiejska. Natomiast w cywilnym samochodzie jadą kryminalni z Komendy Stołecznej.

Do ochrony samego domu Kaczyńskiego zaangażowanych było na stałe najpierw 18 policjantów, pracujących na trzy zmiany. Potem ich liczba została zwiększona do 40. Umundurowanych oraz tajniaków w nieoznakowanych radiowozach. To w dzień powszedni, bo gdy mieliśmy falę protestów organizowanych przez Strajk Kobiet i zapowiedź, że demonstranci przyjdą przed dom prezesa, do jego ochrony rzuconych zostało kilkuset mundurowych. A radiowozy zablokowały całą ulicę Mickiewicza.

Możemy się oburzać, że to zwyczaje bizantyjskie, wschodnie itd. Sęk w tym, że Kaczyńskiemu to się podoba. Podczas Strajku Kobiet po orzeczeniu trybunału Julii Przyłębskiej był moment, kiedy niektóre aktywistki pisały hasła na murach kościołów. Wówczas prezes PiS wezwał do ochrony świątyń. W niedzielę, uczestnicząc w mszy w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, pytał stojących obok policjantów, dlaczego jest ich tak mało. A gdy usłyszał, że jest ich więcej, ale są po cywilnemu, początkowo nie uwierzył i dzwonił do szefa MSWiA Mariusza

eprasa.pl 73236679af

Kamińskiego, pytając, czy to prawda. Potem kazał się wozić po warszawskich kościołach i sprawdzał, czy są tam policjanci.

Dla Kaczyńskiego było też zawsze ważne, czy wystarczająca liczba policjantów ochrania jego miesięcznice. Teraz jest ich mniej, bo i miesięcznice są skromniejsze. Ale kilka lat temu ochraniały je tysiące funkcjonariuszy. Na przykład 10 października 2017 r. było ich 1790. Oraz 132 samochody osobowe i 190 samochodów terenowych i busów.

Policjanci muszą również być widoczni podczas objazdu prezesa po Polsce. Jak ustalili posłowie PO, tylko w powiecie poznańskim 23 lipca 2022 r. do ochrony Jarosława Kaczyńskiego wykorzystano 189 policjantów i 60 samochodów. W jego wyobrażeniu na temat państwa policjant jest więc postacią kluczową. Ma być widoczny, wymuszając respekt i szacunek dla siły państwa.

Stróże prawa na podnośniku, 10 stycznia 2023 r.

Policja od środka

W grudniu 2020 r. rozmawialiśmy z dr. Krzysztofem Liedelem. Słowa zmarłego 18 kwietnia 2021 r. wykładowcy Centrum Szkolenia Policji, byłego naczelnika MSWiA, wciąż są, niestety, aktualne…

– Policjant, żeby mógł dobrze się odnajdywać w trudnych przecież sytuacjach, musi mieć określone predyspozycje. To, jak policjanci reagują, zależy w dużym stopniu od wyszkolenia i od doświadczenia. (…) Od kilku miesięcy kurs podstawowy w policji trwa dwa miesiące. Brakuje policjantów, jest mnóstwo wakatów, więc go skrócono, potem policjant sam się kształci. Cóż… Nie wiem, czy po dwóch miesiącach potrafi on dobrze mundur założyć. Bo ustawę o policji może sobie przeczyta, ale czy ją zrozumie? Za moich czasów szkolenie kursu podstawowego trwało dziewięć miesięcy. Przychodzili ludzie i myśmy przez ten czas ich obserwowali. I podczas nauki, i po nauce, bo wszyscy mieszkali w szkole. W tym czasie mogliśmy stwierdzić, czy kandydat ma predyspozycje do pracy w policji, wyłapać to wszystko, czego nie udało się dostrzec na pierwszym etapie selekcji. I wtedy z takich ludzi rezygnowaliśmy.

(…) Trzeba sobie jasno powiedzieć: zawód policjanta potrzebuje mistrza. Jak nie pochodzisz za starszym kolegą, to się nie nauczysz. Obojętnie, czy to prewencja, czy kryminalny, musisz mieć mistrza, który cię nauczy, który ci pokaże, przy którym będziesz praktykował, który będzie stał koło ciebie i zadba, żebyś nie psikał gazem, kiedy nie należy psikać.

Policjanci z jednej strony pozują na twardzieli, a z drugiej, jak przychodzi szef i coś każe, to są malutcy, bez jaj. Wykonują posłusznie, co im się każe.

– (…) W Polsce tzw. apolityczność w instytucji takiej jak policja to wyłącznie slogan. (...) Przecież jest tajemnicą poliszynela, że jak chcesz dziś być komendantem komisariatu w Pcimiu Dolnym, to musisz znać lokalnego polityka. Z opcji rządzącej. (...) Politycy mówią o apolityczności policji, a potem decydują, kto awansuje, kto nie, kogo zwolnimy. Policjanci z kolei szukają kontaktów z lokalnymi politykami, (...) tworzą się jakieś niezrozumiałe zależności. To sprawia, że komendantami, dowódcami zostają ludzie, którzy nie są do tego przygotowani, nie mają doświadczenia, odpowiednich umiejętności ani wiedzy, jedyne, co mają, to znajomego polityka, który spowodował, że się znaleźli w tym miejscu. Nie mówię, że tak jest wszędzie – ale tak jest w wielu miejscach. A od takich ludzi nie możemy wymagać, żeby mieli te jaja, o których pan redaktor mówi. Bo to są ludzie, którzy awansowali dzięki politycznym, a nie zawodowym umiejętnościom.

Czyli agresja policji wynika nie z jej siły, tylko ze słabości?

– Tak. I to nie ze słabości rozumianej przez pryzmat braku wyszkolenia, tylko słabości jako instytucji. To, że policja jest uzależniona od polityków i że politycy bardzo często policją sterują ręcznie, powoduje, że mamy nie najlepsze kadry dowódcze i komendantów.

A ludzie w policji nie boją się, że jak przyjdzie nowa władza, to ich powyrzuca, może skieruje jakieś sprawy do sądu, a może i zabierze emeryturę?

– Nikt o tym nie myśli. Jest tu i teraz. Można awansować, to się awansuje, można dostać podwyżkę, to się ją bierze. I tyle.

eprasa.pl 73236679af

Komendant Szymczyk o tym wie. I to Kaczyńskiemu gwarantuje. W zamian ma gwarancję – i on, i jego podwładni – bezkarności. Przynajmniej za czasów PiS.

Bijące serce partii

Gdy w listopadzie 2020 r. przez Polskę przetaczały się protesty związane z ustawą antyaborcyjną, demonstrujące kobiety były atakowane i bite. Są tysiące świadków tych ataków, jest to nagrane i udokumentowane. Na nagraniu widać np., jak policjanci atakują posłankę Barbarę Nowacką – gdy pokazuje im legitymację poselską, oni psikają jej prosto w twarz gazem pieprzowym. Widać także, jak policjant po cywilnemu bije kobiety pałką teleskopową. Nie ma napisu „policja", nie legitymuje się, nie woła, że jest z policji – wbiega w grupę i tłucze.

Te zachowania uszły na sucho. Jeżeli jakieś zawiadomienia przeciwko brutalności policjantów trafiły do prokuratury – ta umorzyła sprawę. Policji bronił też Kaczyński, w sposób charakterystyczny dla siebie – atakując posłów opozycji. „Najpierw ściągnijcie te esesmańskie błyskawice – wołał do nich. – Wszystkie demonstracje, które popieraliście, kosztowały życie wielu osób. Macie krew na rękach. Dopuściliście się zbrodni!".

Rok wcześniej, wiosną 2019 r., wokół płockiego kościoła św. Dominika rozlepione zostały plakaty z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej, na których Maryja i Dzieciątko miały tęczowe aureole. Prokuratura uznała to za urażenie uczuć religijnych. Przeprowadzono więc śledztwo i w jego wyniku wytypowano podejrzaną, działaczkę społeczną Elżbietę Podleśną. Policja w poniedziałek o godz. 6 rano wkroczyła do jej mieszkania i przeszukała je. Potem Podleśna została przewieziona na komendę, tam zaś spisana i przesłuchana.

To absurdalne zachowanie spotkało się z gorącą pochwałą zwierzchników. Ówczesny szef MSWiA Joachim Brudziński pisał na Twitterze: „Dziękuję @PolskaPolicja za sprawną akcję z wytypowaniem i zatrzymaniem osoby podejrzewanej o profanację świętego od wieków dla Polaków wizerunku Matki Bożej". Wcześniej nazwał to „kulturowym barbarzyństwem".

Jarosław Szymczyk ustawił policję tak, że tylko szefowie są dobrze wynagradzani. Taka siatka płac wymusza służalczość i oddanie kadry rządzącej policją.

Mamy więc grę polityczną, wykreowaną wojnę między wiarą a barbarzyństwem, ale mamy również oddziały, które w tej wojnie biorą udział.

Wierny komendant

Czy Jarosław Szymczyk zdaje sobie sprawę, jaką rolę przyszło mu odgrywać? Nasi rozmówcy nie mają wątpliwości – jest tego absolutnie świadom. Przypomnijmy, że PiS po przejęciu władzy niemal natychmiast zwolniło wszystkich komendantów wojewódzkich. Z wyjątkiem jednego – komendanta wojewódzkiego w Katowicach, Jarosława Szymczyka.

I to jego w roku 2016 premier Beata Szydło powołała na stanowisko komendanta głównego policji. Jeżeli jest na tym stanowisku tak długo, to znaczy, że zaskarbił sobie wielkie zaufanie Jarosława Kaczyńskiego. I w zasadzie wiemy czym. Wierną służbą – Kaczyńskiemu, PiS, partyjnym interesom. W tej kolejności. „I wierzy, że PiS będzie rządziło do końca świata, że nigdy nie przyjdzie inna władza i emerytury mu nie zabierze", śmieje się jeden z naszych rozmówców.

W strukturze tak zhierarchizowanej decyzje komendanta głównego przesądzają o wszystkim. Komendanci wojewódzcy czy szefowie służb muszą wypełniać polecenia i sugestie płynące z ulicy Puławskiej w Warszawie, bo inaczej parę dni później zostaliby odwołani. Taki los spotkał np. komendanta miejskiego w Krakowie Pawła Jastrzębia. We wrześniu 2022 r. niewystarczająco zabezpieczył uroczystości tamtejszej miesięcznicy (w Krakowie odbywa się ona 18. każdego miesiąca, na pamiątkę pogrzebu pary prezydenckiej na Wawelu). Dopuścił, by antypisowscy manifestanci używali megafonów, a gdy interweniował u niego w tej sprawie wicewojewoda, odmówił ich odebrania. Bo nie było podstawy prawnej. I następnego dnia został z funkcji odwołany.

Tak ta machina działa. Policja jest czujna w przypadku miesięcznic czy kilku plakatów, które namalowała Elżbieta Podleśna. Z drugiej strony jest niespodziewanie nonszalancka wobec wspomnianych wcześniej „hiszpańskich nurków". Abstrahując od tego, kim oni byli naprawdę, popatrzmy na zachowanie policjantów.

Uczestników demonstracji policja zatrzymywała i legitymowała, tu natomiast w ogóle do tego nie doszło.

FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EASTNEWS, LOTNA BRYGADA OPOZYCJI/FACEBOOK

eprasa.pl 73236679af

A przecież nie tak dawno MSWiA przeforsowało w Sejmie ustawę antyterrorystyczną, tłumacząc to zagrożeniem zewnętrznym. Zgodnie z tą ustawą policja powinna cudzoziemców niemających przy sobie dokumentów zatrzymać do czasu ustalenia tożsamości. Mogła im zrobić zdjęcia, pobrać odciski palców i próbki DNA – być może byłaby to przesada, ale w czasie wojny za wschodnią granicą i w miejscu strategicznym dla Polski uzasadniona. Tylko że nurkowie nie mieli tęczowych opasek ani koszulek z napisem „Konstytucja", więc policjanci nie byli czujni.

Policjanci gorszego sortu

Jest jeszcze jeden mechanizm, który tę czujność osłabiał. Otóż Jarosław Szymczyk ustawił policję tak, że jej szefowie są dobrze wynagradzani, natomiast szeregowi policjanci lub nawet ci średniego szczebla – już nie. Taka siatka płac wymusza służalczość i oddanie kadry rządzącej policją. Oni wszyscy wiedzą, jakie pieniądze dostają co miesiąc. Teoretycznie taki mechanizm mógłby także wymuszać dyscyplinę, chęć awansu na te dobrze wynagradzane posady. Rzecz jednak w tym, że awans nie od umiejętności zawodowych zależy. Mówił o tym m.in. w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" Jerzy Dziewulski: „W jaki sposób ludzie są awansowani? Policjant, który się stara i ciężko pracuje, nie ma gwarancji awansu. A ktoś, kto ma układy, od razu może wejść na wyższe stanowisko. Tak było zawsze, ale nie na taką skalę. Teraz nie ma jasnych mechanizmów awansu. Dziś wybiera się policjantów, którzy nie są skuteczni, tylko tych, którzy będą lojalni politycznie".

Jeżeli policja tak wygląda, to nie dziwmy się, że wnioski o przejście na emeryturę złożyło na przełomie roku kilka tysięcy funkcjonariuszy. Głównie z powodów ekonomicznych. Tłumacząc to tym, że podwyżki w policji kierowane są do grup uprzywilejowanych, do oficerów, kadry kierowniczej, a o tych, którzy są na ulicach, nikt nie myśli.

Ta sytuacja najmocniej dotknęła największy garnizon w policji – warszawski. Średnia liczba wakatów w stołecznych komisariatach i komendach wynosi 20%. A teraz może być jeszcze wyższa. W efekcie największą dzielnicę Warszawy, Mokotów (250 tys. mieszkańców), patrolują trzy radiowozy, choć powinno dziewięć.

Na policyjną emeryturę można już przejść po 15 latach służby. Odchodzących zastępują osoby coraz bardziej przypadkowe, nieprzeszkolone.

Policjanci nie za bardzo też wierzą, że zapowiedziane przez premiera Morawieckiego podwyżki dla mundurówki coś w ich portfelach zmienią. Zwłaszcza że obiecano również podwyżki emerytur, i to większe niż policyjne dodatki. A pamiętajmy, że na policyjną emeryturę można już przejść po 15 latach służby. I właśnie tacy policjanci, którzy dobili do tej wysługi lat, najczęściej składają raporty o odejście. Zastępują ich osoby coraz bardziej przypadkowe, nieprzeszkolone.

Bałagan z policyjnymi finansami, wakaty – to wszystko ma konsekwencje. „Normalnie powinno być tak, że po 12-godzinnej służbie mam dobę odpoczynku – mówił w »Dzienniku Gazecie Prawnej« warszawski policjant. – Ale nie ma na to szans, gdyż non stop mają miejsce zdarzenia, które wymagają dodatkowej obsady. Mecze podwyższonego ryzyka, manifestacje, miesięcznice, wizyty. Jest nas tak mało, że jesteśmy wzywani do służby w nieetatowych pododdziałach prewencji. To dodatkowo pustoszy grafiki". Powoduje, że szwankuje szkolenie, dokształcanie, treningi. A skutki tego, te żałosne działania, widzimy na różnych filmikach z policyjnych interwencji.

Policja daje sobie radę z kobietami, ale z grupą kiboli – już nie. Jednak nie z tego komendant Szymczyk jest rozliczany.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zarobki policjantów

Wynagrodzenie policjanta to suma kilku składników: wynagrodzenia zasadniczego, które zależy od grupy zaszeregowania, dodatku stażowego, a także dodatków służbowego/funkcyjnego i za stopień. Policjant dostaje ponadto mundurówkę, nagrodę roczną – tzw. trzynastkę, jak również świadczenia w ramach systemu socjalnego.

Obecnie w polskiej policji służbę pełni ponad 98,5 tys. funkcjonariuszy (stan na czerwiec 2022 r.), z czego na stanowiskach wykonawczych (grupy zaszeregowania od 1 do 6) – ponad 84,8 tys. Pozostałe ponad 13,7 tys. funkcjonariuszy pełni służbę na stanowiskach kierowniczych i wykonawczych wyższego szczebla.

Średnie uposażenie policjanta – stan na czerwiec 2022 r.

Stanowisko służbowe	Grupa zaszeregowania	Uposażenie netto w zł
Komendant główny policji	16	17 865
Zastępca komendanta głównego policji	15	16 462
Komendant wojewódzki policji	14a	11 704
Komendant powiatowy (miejski, rejonowy)	12	9135
Kierownik referatu	7	6078
Detektyw/asystent	5	5320
Dzielnicowy/kontroler ruchu drogowego	4	4908
Policjant	2	4474
Kursant	1	3539

Źródło: info.policja.pl

eprasa.pl 73236679af

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Nikt się nie spodziewa hiszpańskich nurków

Scenka, której przecież mogłem nawet nie zauważyć. Wejście\wyjście do stacji Centrum warszawskiego metra, tzw. patelnia, środek dnia, pochmurno i chłodno. Wyłania się patrol policyjny, funkcjonariuszka i funkcjonariusz. Od zwykłego patrolu odróżniają ich przytroczone do pasa hełmy, jeden taki nowoczesny, może kevlarowy (przepraszam, nie wiem, zapytam Marcina Ogdowskiego), drugi archiwalny, blaszak, w barwach szarostalowych. Co jeszcze ciekawsze, policjant miał w rękach pistolet maszynowy, przypominający legendarne izraelskie uzi. Idą, żartując, na luzie, w sporym kontraście do bojowego oporządzenia. I wtedy rozlega się dramatyczny krzyk kilkuletniej dziewczynki, idącej z mamą. Krzyk przerażenia. Jestem blisko, słyszę, jak kobieta mówi po ukraińsku: „Spokojnie, spokojnie, to nie Ukraina, to Warszawa, nic się nie dzieje, jest bezpiecznie, to tylko policja". Dziewczynka się uspokaja, patrol nawet nie rejestruje, że wzbudził taką reakcję. Krzyk przechodzi w cichnący szloch.

Nie mam pojęcia, czy polska policja szkoli się, żeby nie przerażać dzieci i innych postronnych osób.

Scena druga, którą znam z relacji prasowych. W nocy z soboty na niedzielę, około godz. 2, służby ratunkowe dostały informację o wezwaniu pomocy przez osoby znajdujące się na małej łódce motorowej jakieś 5 km od brzegu, na wysokości Górek Zachodnich. Niezarejestrowana łódka została kupiona po południu w Iławie, załoga dopożyczyła sprzęt nurkowy w Gdyni, nocowała we Wdzydzach Kiszewskich. Mężczyźni wypłynęli w nocy, nurkowali podobno mniej więcej sześć godzin. Miejsce, w którym odnalazła ich jednostka ratownicza, było w pobliżu naftoportu, gdzie przeładowuje się z tankowców ropę naftową i produkty naftowe w Porcie Gdańsk, dla którego wcześniej ogłoszono drugi stopień alarmowy. „Hiszpanom" zepsuł się system sterowania świeżo nabytej łódki, dlatego wezwali pomoc. Na pokładzie znajdowały się także profesjonalny dron podwodny i skuter do nurkowania. Po dotarciu na ląd służby ratownicze wezwały policję, która spisała jednego z nurków, tylko on miał dokumenty. „Hiszpanie" zapewniali, że w sztormową pogodę, w środku nocy, kiedy siła wiatru wynosiła 7-8 w skali Beauforta, temperatura powietrza minus 6 st., a wody minus 3 st., szukali bursztynów. To wyjaśnienie zadowoliło policję, nurkowie nie zostali zatrzymani, najpewniej nie ma ich już w Polsce.

Obecnie podobno sprawą interesują się tzw. polskie służby wywiadowcze, jeśli to jeszcze cokolwiek znaczy. Policjanci do protokołu wpisali nieistniejące numery telefonów (w tym jeden niestandardowy w zapisie 10-cyfrowym). Jak ujawnił portal BiznesAlert.pl, konto Markus Jonsson na Twitterze zajmujące się białym wywiadem sugeruje, że „w okolicy ich poszukiwań znajdował się jeden tankowiec naftowy, jeden gazowiec LPG oraz dwa statki z Republiki Południowej Afryki. (...) Dwa pierwsze z tych statków były w pełni załadowane materiałami łatwopalnymi i stanowią integralną część infrastruktury energetycznej Unii Europejskiej".

Trzecia opowieść nie jest jedną scenką. To historia śledztwa, które w sprawie wyłudzeń VAT prowadziła od dwóch lat prokuratura w Lublinie. W jego wyniku jesienią policja zatrzymała trzy osoby, wśród nich brata komendanta głównego policji Jarosława „Granatnika" Szymczyka. W końcu, po interwencji zaufanego ministra Ziobry, szefa Prokuratury Regionalnej w Lublinie Jerzego Ziarkiewicza, aresztowano dwóch podejrzanych, trzeci, z najpoważniejszymi zarzutami (ów brat), pozostał na wolności, z uzasadnieniem, że „pozbawienie wolności oznaczałoby dla najbliższej rodziny wyjątkowo ciężkie skutki".

Jak to możliwe, że sceny z prawdziwego życia w Polsce prześcigają świat wyimaginowanej, absurdalnej humoreski?

Co łączy te historie? Raczej wszystko niż nic. W reporterskiej książce „Lokalsi" Andrzej Andrysiak, wydawca, a wcześniej redaktor naczelny „Gazety Radomszczańskiej", podważa dość powszechnie funkcjonującą tezę, że co jak co, ale po 1989 r. reforma samorządowa jest niepodważalnym sukcesem. Andrysiak pokazuje patologie władzy lokalnej, przekupstwo, nepotyzm, wspieranie karier koterii politycznych, karuzelę stanowisk, gdzie merytoryczność i jawność obsadzania stanowisk właściwe nie istnieją.

Oglądając spektakle wokół policyjnych działań, zaniechań, wpadek, kompromitacji, nieudolności, poruszamy się jakby w tempie zwolnionym, onirycznym – patrzymy na to jak we śnie, nie mając na wydarzenia i reakcję żadnego wpływu.

W legendarnym purnonsensowym skeczu brytyjskiej grupy satyrycznej Monty Pythona „Nikt nie spodziewa się hiszpańskiej inkwizycji" sprzed 50 lat widzimy wjazd inkwizytorów i kuriozalne przesłuchanie starszej pani szturchanej puchowymi poduszkami i sadzanej na wygodnym fotelu. Jak to możliwe, że sceny z prawdziwego życia w Polsce prześcigają świat wyimaginowanej, absurdalnej humoreski? Nie wiem. Może tak musi się skończyć historia, w której partia cwaniaków, hochsztaplerów, koniunkturalistów, a zarazem fanatycznych moralistów nazywa się Prawo i Sprawiedliwość. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73236679af

To nie jest kraj dla matek

Prawie 70% Polek nie planuje dzieci, a rząd zapowiada wprowadzenie nowej strategii demograficznej

Anna Stachowiak

Centrum Badania Opinii Społecznej zapytało Polki o plany związane z prokreacją. Aż 68% odpowiedziało, że dzieci nie planuje lub nie wie, czy zamierza zdecydować się na macierzyństwo, a tylko 17% jednoznacznie stwierdziło, że w najbliższych latach planuje ciążę. Dla porównania – pięć lat temu, w 2017 r., kobiet, które nie chciały mieć dzieci, było 22%. Skok jest ogromny. Aktywistki i polityczki komentują nowe statystyki, określając je jako „tragiczne". Posłanka Lewicy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk mówi o „kompletnej zapaści polityki prorodzinnej", a szefowa Fundacji Rodzić po Ludzku Joanna Pietrusiewicz powiedziała w rozmowie z TVN 24, że kiedy zobaczyła wyniki, sądziła, że źle je odczytała – tak są nieprawdopodobne. „Rząd robi wszystko, żeby Polki nie chciały mieć dzieci", stwierdziła z kolei Agnieszka Pomaska z Koalicji Obywatelskiej.

Z danych i statystyk wynika, że polityczka ma rację. Polska od wielu lat nie ma spójnej polityki rodzinnej, regulacje wciąż się zmieniają, a te, które funkcjonują, nie tworzą warunków do bezpiecznego macierzyństwa. „Kiedy popatrzymy na politykę prorodzinną w Polsce, to wyraźnie widać, że wciąż coś się zmienia. Każdy nowy rząd oznacza nowe programy – a to wydłużamy, a to skracamy urlop rodzicielski, raz wydłużamy ojcowski, raz go skracamy. Osoba, która decyduje się na dzieci, musi być ekspertką i nadążać za tymi zmianami, a przecież przy »projekcie dziecko« najważniejsze jest poczucie długofalowego bezpieczeństwa. Tego Polki nie mają. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., który uznał przesłankę embriopatologiczną, dopuszczającą przerwanie ciąży w przypadku nieuleczalnych i/lub letalnych wad płodu, za niezgodną z konstytucją, de facto sprawił, że aborcja z przyczyn wad płodu stała się nielegalna. To wyrok dla kobiet. Boją się planować dzieci, boją się zachodzić w ciążę", wytykała w rozmowie z „Wysokimi Obcasami" socjolożka prof. Elżbieta Korolczuk.

Drakońskie prawo przeraża kobiety

Orzeczenie Trubunału Konstytucyjnego zaostrzyło prawo, które i tak, zgodnie z obowiązującą od 1993 r. ustawą o planowaniu rodziny, było jednym z najbardziej restrykcyjnych w Europie. Nie tylko wprowadziło de facto zakaz aborcji, ale wywołało także efekt mrożący wśród lekarzy, obawiających się przeprowadzania zabiegów. To z kolei miało tragiczne konsekwencje dla kilku kobiet, które zmarły wskutek braku odpowiednio szybkiej reakcji lekarzy, czekających na obumarcie płodu, gdy zagrożone było zdrowie i życie kobiety. Tak było m.in. w przypadku Izabeli z Pszczyny, której tragiczna śmierć na oddziale położniczym była impulsem do ogólnopolskich protestów pod hasłem „Ani jednej więcej". Kobiety zaczęły się obawiać tego, co się z nimi stanie w przypadku komplikacji związanych z ciążą. Ten strach widoczny jest zarówno w poparciu dla legalizacji aborcji, jak i w badaniu CBOS na temat planów prokreacyjnych. W sondażu przeprowadzonym przez Ipsos dla OKO.press poparcie dla prawa do aborcji do 12. tygodnia ciąży wyraziło 70% badanych.

Posłanka Lewicy Anita Kucharska-Dziedzic zwraca uwagę na inny aspekt, zbyt często pomijany w dyskusji – której tak naprawdę brakuje – o rodzicielstwie. „To nie jest kryzys macierzyństwa czy nawet rodzicielstwa, to kryzys ojcostwa. Dziecko ma się przecież nie indywidualnie, a młode kobiety takiej właśnie perspektywy się boją – samotnego, samodzielnego macierzyństwa", mówi posłanka i szefowa stowarzyszenia BABA. I wylicza, punktując niedociągnięcia państwa: „Przecież problem z egzekwowaniem alimentów mamy nie od dziś. Od lat statystyki pokazują, że milion dzieci nie otrzymuje należnych pieniedzy – każda młoda kobieta albo widziała, jak matka (zazwyczaj) tyrała i umartwiała się, by zaspokoić potrzeby dzieci, albo znała dziecko, którego rodzic zrejterował, uciekł od odpowiedzialności za jego utrzymanie. Musi więc liczyć się z tym, że jako matka stanie przed wyzwaniem: jak utrzymać i wykształcić samodzielnie dziecko lub dzieci. Dlatego mniej boją się kobiety z wielkich miast i świetnie wykształcone – one dadzą sobie radę, mniej je dotyka luka płacowa. A co, jeśli dziecko urodzi się niepełnosprawne, chore, obciążone wadami? Na państwo liczyć nie można, internet pełen jest zbiórek na leczenie dzieci. Rzadkim widokiem jest przy tym samotny mężczyzna z niepełnosprawnym dzieckiem, raczej to matka dźwiga ten krzyż. A jeśli nie chce go dźwigać i nie chce dla swojego dziecka takiego tragicznego losu, to szans na terminację ciąży mieć nie będzie. Ale potępienie i prześladowania – akurat to ma pewne".

Według GUS w lutym 2022 r. w Polsce urodziło się zaledwie 22 tys. dzieci – najmniej od II wojny światowej.

eprasa.pl 73236679af

„W każdej szkole było dziecko z tak nasilonymi objawami depresji, że nie tylko się okaleczało, ale także miało za sobą próbę samobójczą – ciągnie Anita Kucharska-Dziedzic. – Każdy nastolatek zna lub kojarzy kogoś, kto się zabił. Do tego dochodzi brak opieki instytucjonalnej: żłobków i przedszkoli umożliwiających łączenie pracy z rodzicielstwem, i łatwo dostrzegalny kryzys szkoły. Jak popatrzymy na ministrów edukacji, to czy statystyczna młoda kobieta chciałaby zostawić swoje dziecko pod opieką Giertycha, Zalewskiej, Czarnka? Czy chciałaby, aby jej dzieci uczył i wychowywał ktoś taki? Patrzy młoda kobieta na opowiadających żenujące kocopoły kuratorów, na nauczycieli coraz bardziej sfrustrowanych i coraz częściej odchodzących na lepiej płatne posady i wie, że niekoniecznie będzie ją stać na prywatną szkołę dla swojego dziecka. Do kryzysu ojcostwa dochodzi zatem kryzys państwa, które społeczne patologie toleruje, a nawet wspiera, a na tragedie i problemy małych obywateli jest obojętne. Decyzja: nie chcę mieć dzieci, jest wyrazem odpowiedzialności i troski. Urodzę tylko wtedy, jeśli będę pewna, że w razie czego sama sobie poradzę i zapewnię dobre życie mojemu dziecku, a w wypadku wyzwań ponadstandardowych – mam grupę wsparcia, która mi pomoże”.

Polityka nierodzinna

Restrykcyjne prawo aborcyjne to tylko jeden z wielu elementów polityki, która prorodzinna jest wyłącznie z nazwy. Mimo wprowadzenia w 2012 r. standardów opieki okołoporodowej (w 2018 r. weszło w życie rozporządzenie ministra zdrowia dotyczące standardów medycznych dla fizjologicznej ciąży, fizjologicznego porodu, połogu i opieki nad noworodkiem; dokument ten miał zwiększać satysfakcję kobiet z doświadczenia porodu oraz m.in. zmniejszyć stopień medykalizacji porodów) wciąż w wielu placówkach nie są one przestrzegane. Fundacja Rodzić po Ludzku od lat gromadzi dane na temat sytuacji na porodówkach, a wyniki raportów, które publikuje, są zatrważające. Aż 54% kobiet doświadczyło przemocy lub nadużyć na oddziałach położniczych: przed, w trakcie i po porodzie.

Przykładowo 51% kobiet nacięto krocze, przy czym co trzeciej nie zapytano o zgodę. 18% kobiet uważa poród za traumatyczne albo co najmniej negatywne doświadczenie. Najczęstsze formy owej przemocy to medykalizacja porodu, procedury wykonane bez uzyskania świadomej zgody, brak dbałości o intymność i prywatność, dyskryminacja, przemoc słowna, przemoc fizyczna. Obecnie do tego arsenału można zaliczyć także granie przez lekarzy na czas.

Jednocześnie dostęp do lekarzy – i do antykoncepcji – jest utrudniony. W 2017 r. liczba kobiet, którym udzielono porad podczas wizyt ginekologicznych, wyniosła 4,1 mln. W wieku reprodukcyjnym w Polsce jest ponad 9 mln kobiet, a potencjalnych pacjentek ginekologicznych – o 8 mln więcej. Tymczasem w wiejskich gminach na jedną poradnię przypada 10 tys. kobiet, a w miejskich – 4 tys. To bardzo dużo. W dodatku wielu lekarzy kieruje się klauzulą sumienia, co powoduje, że nie tylko odmawiają wypisywania recept na antykoncepcję tradycyjną i awaryjną, ale również nie informują pacjentek o możliwości uzyskania takich świadczeń finansowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Tak było w przypadku wkładek domacicznych – mimo że zabieg założenia i usunięcia wkładki jest refundowany przez NFZ, w 2017 r. zaledwie 8,1 tys. pacjentek skorzystało z tej opcji. Pozostałe po prostu nie zostały o niej poinformowane.

Te dane pokrywają się z informacjami zawartymi w publikowanym od kilku lat co roku Atlasie Antykoncepcji. Polska jest na ostatnim miejscu na kontynencie w zakresie dostępu do antykoncepcji. Tak było w 2019, 2020 i 2021 r. W 2019 r. wskaźnik wynosił 31,5%, rok później 35,1%, a w 2021 r. 33,5%. Polska to jedyny europejski kraj, w którym pigułka „po” jest dostępna jedynie na receptę.

500+ to za mało

A to wyłącznie dane dotyczące technicznych, nazwijmy je, aspektów prokreacji. Do tego dochodzi systemowy brak wsparcia dla kobiet, które myślą o dzieciach lub już są matkami. W artykule „Potrzeba ochrony

Alimentów nie płaci 300 tys. zobowiązanych do łożenia na dzieci. Według różnych szacunków zaległości alimentacyjne wynoszą od 13 mld do 40 mld zł.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73236679af

macierzyństwa lub wielodzietności" (Wydawnictwo Naukowe UAM) Ewa Włodarczyk pisze o tym, że istnieje wiele świadczeń związanych z macierzyństwem: zasiłki rodzinne, urlopy macierzyńskie i rodzicielskie, dodatki z tytułu opieki nad dzieckiem czy rehabilitacji dziecka niepełnosprawnego, jednak to za mało. I choć funkcjonuje sztandarowy program socjalny Prawa i Sprawiedliwości, czyli 500+, w Polsce nie ma prostej reprodukcji ludności, o której mowa, gdy na jedną kobietę przypada dwoje dzieci.

Polska od lat nie ma spójnej polityki rodzinnej, regulacje wciąż się zmieniają, a te, które są, nie tworzą warunków do bezpiecznego macierzyństwa.

Wskaźnik ten wynosi 1,4 – mimo otrąbionych przez rząd sukcesów 500+ na zwiększenie dzietności nie wpłynęło. Według GUS w lutym 2022 r. urodziło się w Polsce zaledwie 22 tys. dzieci – najmniej od II wojny światowej. Dlatego i politycy, i socjolodzy biją na alarm.

Choć rząd w listopadzie przyjął „Strategię Demograficzną 2040", która ma na celu zażegnanie kryzysu demograficznego poprzez m.in. wsparcie w zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych rodzin, rozwój opieki zdrowotnej czy poprawę form opieki nad dziećmi, na razie zmian nie widać. I nie będzie ich, dopóki nie zmieni się podejście do kobiet.

Kobieta, która po urlopie macierzyńskim chce wrócić do pracy, ma trudną sytuację z powodu niewielkiej dostępności państwowych placówek opiekuńczych. Z raportu UNICEF na temat ochrony macierzyństwa w krajach rozwiniętych wynika, że w Polsce zaledwie 8% rodziców korzysta ze żłobków. Dane Ministerstwa Rodziny są inne – 13% w 2019 r., podczas gdy w Szwecji, Norwegii i Islandii to odpowiednio 51%, 52% i 62%. Przyczyny to brak miejsc i niskie zarobki kobiet, które kalkulują, czy opłaca im się wracać do pracy kosztem czasu spędzanego z dzieckiem lub dziećmi. Często odpowiedź brzmi: nie.

Na wsparcie nie mogą liczyć ani matki wychowujące dzieci z niepełnosprawnościami – nie ma opieki wytchnieniowej, zasiłki są tak niskie, że nie wystarczają na podstawowe potrzeby, w dodatku osoby pobierające świadczenia nie mogą pracować zarobkowo – ani te samotne. Tych w Polsce są 2 mln. To zresztą często jedna i ta sama grupa. Tu problemem jest i możliwość rozliczania się z dzieckiem – głośno było o zmianach, które wprowadził Polski Ład – i kwestia alimentów. Choć niealimentacja to przestępstwo, a przepis Kodeksu karnego jest wyjątkowo łatwy w interpretacji, bo do przestępstwa niealimentacji dochodzi, kiedy zaległość wynosi przynajmniej równowartość trzymiesięcznego świadczenia, prokuratury zwykle umarzają takie sprawy, nie dopatrując się znamion przestępstwa. A w Polsce alimentów nie płaci 300 tys. zobowiązanych do łożenia na dzieci; według różnych szacunków zaległości alimentacyjne wynoszą od 13 mld do 40 mld zł. Według Stowarzyszenia Alimenty to nie Prezenty chodzi właśnie o 40 mld zł. To oznacza, że milion dzieci nie dostaje należnych im pieniędzy.

„To są pieniądze, których nikt nie liczy. Te, których nie otrzymują uprawnieni do alimentów – dzieci. To matki i dzieci poza systemem – matki, bo radziły sobie na tyle dobrze, że przekraczały kryterium dochodowe (do 2019 r. w kwocie 725 zł), by uzyskać wsparcie, a dzieci, bo pieniędzy nigdy nie widziały", mówiła w jednym z wywiadów mecenas Danuta Wawrowska, założycielka stowarzyszenia. Średni dług zobowiązanego rodzica wobec dziecka wynosi ponad 43 tys. zł. To głównie ojcowie. W Polsce matki, które samotnie wychowują dzieci, stanowią prawie 20% rodzin – mamy jeden z najwyższych wskaźników w Europie.

Polska nie dla rodzin

Wszystko to składa się na ponury obraz. Jeśli dołożymy jeszcze dane, z których wynika, że na kobietach spoczywa większość obowiązków domowych, niechęć Polek do planowania macierzyństwa i towarzyszący mu strach nie dziwią. Podobnie jak fakt, że 13% rodziców żałuje decyzji o posiadaniu dzieci. To jeden na ośmiu rodziców, jak wynika z badań przeprowadzonych w ubiegłym roku na Uniwersytecie SWPS. W innych krajach, takich jak Stany Zjednoczone czy Niemcy, ten odsetek jest o połowę niższy.

Jest i inny raport, który pokrywa się z wnioskami płynącymi z badań, statystyk i nastawienia społecznego. W badaniu porównywarki Compare The Market przyjrzano się, które kraje są najbardziej przyjazne rodzinom. Wzięto pod uwagę jakość edukacji, dostępność służby zdrowia, poziom wyszczepienia, dostęp do wody i terenów rekreacyjnych. Polska otrzymała 4,33 pkt na 10 możliwych. Z kolei w raporcie UNICEF „Are the world's richest countries family friendly?" (Czy najbogatsze kraje świata są przyjazne rodzinom?) zajęła 23. miejsce na 43.

Wniosek jest jeden. Polska rodzinom przyjazna nie jest. I dopóki to się nie zmieni, Polki nie będą chciały mieć dzieci. I trudno im się dziwić.

Anna Stachowiak

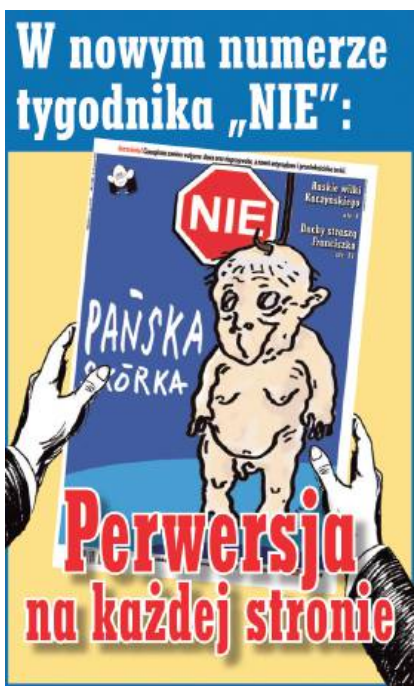

eprasa.pl 73236679af

Z Galicji

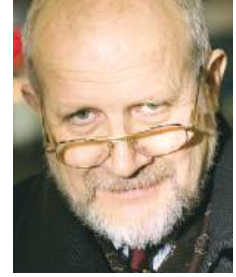

Jan Widacki

Bronię Giertycha

Nigdy nie przypuszczałem, że będę bronił Romana Giertycha, w dodatku na łamach lewicowego tygodnika. Pocieszam się, że on też pewnie nie przypuszczał.

A sprawa wyglądała tak. Po zawarciu sądowej ugody między Donaldem Tuskiem a Patrykiem Jakim adwokat Roman Giertych skomentował w internecie ten fakt następująco: „Zmuszenie Jakiego do przeprosin to prawie jakby ktoś Suskiego zmusił do myślenia, Macierewicza do logicznych wywodów, a Morawieckiego do mówienia prawdy".

Europoseł Jaki poczuł się tym wpisem urażony. Wolno mu. Jak wiemy, jest to człowiek wrażliwy, dżentelmen o nieskazitelnych manierach, znany z delikatności, kultury osobistej, a nadto człowiek o niespotykanej mądrości i wyjątkowym wykształceniu. Czy może dziwić, że komuś takiemu wpis Giertycha wydał się niesmaczny i wyjątkowo brutalny? Ale Jaki, zanim został europosłem, był wiceministrem sprawiedliwości. I to nie byle jakim! Był przecież wice-Ziobrą! Pracując w tandemie z takim mistrzem, nauczył się nie odpuszczać nikomu niczego. I ścigać, ścigać! Poza tym europoseł Jaki zrobił swego czasu doktorat. I to gdzie! W Akademii Sztuki Wojennej. O więziennictwie. Jego promotorem był nie byle jaki znawca systemu penitencjarnego, bo doktor habilitowany pułkownik nawigator, jednym z recenzentów zaś profesor specjalista od obrony powietrznej.

Zawistnicy (tych nigdy nie brakuje) kpili sobie z tego. Nie rozumieli, że przecież to wszystko układa się w logiczną, choć na pierwszy rzut oka niedostrzegalną całość. Skoro fakt, że komendant od policji nie znał się na granatnikach, doprowadził do ogólnie znanego przypadku, to szef od więziennictwa powinien się znać na działach przeciwlotniczych. A nuż dostanie taki prezent i odpali? Jeśli od strzału z granatnika walą się stropy, to co dopiero od strzału z armaty? Mury runą! W dodatku więzienne. To niedopuszczalne! Tak czy inaczej, można teraz z całym przekonaniem powiedzieć, że w sprawach więziennictwa Jaki jest oblatany.

Zostawmy już wykształcenie dr. Jakiego. Widzimy jednak, że jeśli nie w ministerstwie, to przy robieniu doktoratu Jaki otarł się o prawo. Ta znajomość prawa i zapał w ściganiu zaowocowały, gdy poczuł się dotknięty komentarzem Giertycha. Do sądu z tym nie poszedł, bo do sądów jego partia nie ma zaufania, ale złożył skargę w radzie adwokackiej. Jak donosi Onet, Jaki zarzucił Giertychowi, że „użyte przez niego słowa były obraźliwe, ponieważ świadczyły o tym, że odmawia innym ludziom, że są w stanie myśleć". Jak widać, Jaki obraził się na Giertycha w zastępstwie Suskiego. Dlaczego w takim razie skargi do rady adwokackiej nie złożył sam Suski? Trudno dociec. Gdyby przyjąć, że Suski nie zrozumiał wypowiedzi Giertycha, wynikałoby z tego, że Giertych miał rację. No więc nie. Tak czy siak, dlaczego to Jaki obraził się za Suskiego, nie będziemy wiedzieć. Mimo wszystko na razie przebieg wydarzeń nas nie zaskakuje.

Zaskakuje dopiero to, że Sąd Dyscyplinarny Izby Adwokackiej w Warszawie przyznał rację Jakiemu i ukarał Giertycha naganą! Jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście za przytoczone wyżej słowa Giertych został ukarany naganą, mielibyśmy wówczas empiryczny dowód na to, że głupota jest zaraźliwa. Może więc to nieprawda? Może media coś pokręciły? Może Giertych powiedział coś więcej, coś bardziej obraźliwego? Może użył języka dotąd zarezerwowanego dla sędzi Trybunału Konstytucyjnego Krystyny Pawłowicz?

Jaki, zanim został europosłem, był wice-Ziobrą. Pracując w tandemie z takim mistrzem, nauczył się nie odpuszczać nikomu i niczego. I ścigać, ścigać!

Ale przecież Suski, któremu Giertych zarzuca niezdolność myślenia, Macierewicz, któremu zarzuca niezdolność prowadzenia logicznego wywodu, wreszcie Morawiecki, któremu zarzuca niezdolność mówienia prawdy, to politycy, osoby publiczne, a nawet bardzo publiczne. Osoby takie z natury rzeczy są bardziej narażone na krytykę, na bycie obiektem żartów i kpin. Nawet ostrych żartów i ostrych kpin. Wobec nich wolno więcej niż wobec przeciętnego Kowalskiego. Już pomijam orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (bo jego orzeczeń polska prawica nie respektuje), które wskazuje jednoznacznie, że pod tym względem politykom przysługuje znacznie słabsza ochrona niż innym obywatelom, ale przecież w polskiej praktyce parlamentarnej nazwanie kogoś mordą zdradziecką i postawienie absurdalnego zarzutu dokonania morderstwa nie jest zdaniem posłów PiS żadnym deliktem dyscyplinarnym.

Czy naprawdę w tych relatywnie niewinnych słowach Giertycha sąd dyscyplinarny warszawskich adwokatów dopatrzył się deliktu dyscyplinarnego? Nie mogę w to uwierzyć. To nie może być prawda. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73236679af

Koniec wojny na kościelnym polu?

Wszystko wskazuje, że archidiecezja warmińska z prywatnym deweloperem pokonała przeciwników budowy luksusowego hotelu w Rybakach

Marek Książek

Otwarta wojna na kościelnym polu

Kościelno-deweloperska inwestycja hotelowa koło Łańska stała się powodem konfliktu z obrońcami przyrody. Niektórzy mówią, że to wojna milionerów

Marek Książek

WRACAMY DO TEMATU

12 stycznia radni gminy Stawiguda większością głosów przyjęli miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, dając zielone światło budowie czterogwiazdkowego hotelu na 700 miejsc ze spa i 28 domków letniskowych. Wszystko na kilkunastohektarowej działce wartej 17 mln zł, obok ośrodka Caritasu, którą w 2017 r. wojewoda warmińsko-mazurski (z ramienia PiS) przyznał dwóm olsztyńskim parafiom, zgodnie z ustawą o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, jako rekompensatę za ziemię odebraną po II wojnie światowej. Miały to być grunty użytkowane rolniczo, ale po cichu zostały przekwalifikowane na teren turystyczny.

Dwaj proboszczowie przekazali z kolei ziemię archidiecezji warmińskiej, a ta dogadała się z deweloperem z Warszawy i utworzyła z nim spółkę Projekt Rybaki-Łańsk. Jej prezesem został Rafał Szczepański z BBI Development, która to firma z kurią warszawską planuje też wybudować wieżowiec Roma Tower w centrum stolicy, a wcześniej budowała osiedla mieszkaniowe w gminie Stawiguda. Wiceprezesem spółki Projekt Rybaki-Łańsk jest jeden ze wspomnianych proboszczów, ks. Artur Klepacki. Archidiecezja ma w spółce 51% udziałów, deweloper 49%.

Spółka miała jeden cel – zbudować na atrakcyjnym przyrodniczo cyplu Jeziora Łańskiego luksusowy hotel, z którego dochody – jak zapowiadał metropolita warmiński bp Józef Górzyński – mają być przeznaczane m.in. na renowację zabytków sakralnych. Pomimo tych deklaracji inwestycja wywołała protesty obrońców natury. Wówczas deweloper zaczął lansować tezę, że pod płaszczykiem troski o ekologię milionerzy torpedują plany, które widzą jako zagrożenie ich interesów – pisaliśmy o tym w dwóch tekstach: „Otwarta wojna na kościelnym polu" (PRZEGLĄD nr 43/2022) i „Bez rozejmu na kościelnym polu" (PRZEGLĄD nr 45/2022). Rzecznik dewelopera otwarcie wskazywał bogatych przeciwników: piekarniczą rodzinę Oskrobów spod Warszawy i olsztyńskiego żeglarza Tomasza Rumszewicza, który na wydzierżawionym od Oskrobów terenie na pobliskim półwyspie Lalka prowadzi obozy żeglarskie. Na takie oskarżenia wspomniani „wrogowie" odpowiadają zdecydowanie, że inwestycja nie zagraża ich interesom, a zależy im jedynie na zachowaniu nieskażonej w tym miejscu przyrody.

Do gminy wpłynęło ponad 270 krytycznych uwag do projektu inwestycji, ale większości wójt nie uwzględnił.

Nie pomogło 12 tys. podpisów obrońców przyrody pod protestem przeciw temu kościelno-deweloperskiemu przedsięwzięciu. Spółka Projekt Rybaki-Łańsk odpierała zarzuty, twierdząc, że protestujących jest więcej niż mieszkańców gminy. W istocie tyle samo, ale inicjatorzy akcji zbierania podpisów też mają swoje argumenty: przyroda jest własnością wszystkich i nie trzeba być mieszkańcem gminy, żeby bronić środowiska. Na liście są nazwiska osób wypoczywających latem w pobliskich Pluskach czy w Łańsku, jak również tych, którzy przyjeżdżają tu na weekend z Olsztyna i innych miejscowości.

Sprawa nie byłaby tak głośna, gdyby nie wielkość projektu – porównywany do warszawskiego Sheratona hotel na 700 miejsc, który może zakłócić lokalny ekosystem – i udział Kościoła. Nie do pozazdroszczenia była zatem sytuacja psychiczna radnych gminy Stawiguda, którzy musieli się opowiedzieć za przyjęciem miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego lub przeciw. Przekonywały ich obie strony, kusząc korzyściami (dla gminy) lub strasząc przykrymi konsekwencjami (dla środowiska naturalnego). Wójt Michał Kontraktowicz wyraźnie sprzyjał inwestorowi, przekonując, że w hotelu znajdzie pracę 100 osób z gminy,

eprasa.pl 73236679af

a na dodatek zostaną wyremontowane drogi i kościół w sąsiednim Orzechowie, wyludnionej wsi, którą opuścili mieszkańcy i została tylko świątynia. Tyle że – ripostowali przeciwnicy – drogi będą remontowane za gminną kasę, więc budowa hotelu nie ma tu nic do rzeczy. W miarę zaostrzania się walki deweloper dostosowywał projekt do warunków przyrodniczych, zmniejszając np. początkową liczbę domków letniskowych.

Zanim doszło do głosowania nad planem zagospodarowania, do gminy wpłynęło ponad 270 krytycznych uwag do projektu inwestycji, jednak zdecydowanej większości wójt nie uwzględnił. Nie wziął pod uwagę również ekspertyzy firmy z Łodzi, wykonanej na zlecenie przeciwników budowy, a podważającej lokalizację hotelu nad Jeziorem Łańskim. Głosowanie miało się odbyć już 9 stycznia, ale podobno wójt nie był pewny, czy dysponuje większością głosów. Obrady przesunięto o trzy dni i ostatecznie ośmioro radnych zagłosowało za przyjęciem kontrowersyjnego planu, czterech było przeciw, jeden się wstrzymał, a dwoje radnych było nieobecnych na sesji. Na Facebooku na profilu Łańskie Cud Natury wymieniono ich nazwiska, a oprócz tego pojawiły się komentarze typu: „Warto zapamiętać nazwiska ośmiorga grabarzy prawdziwej Warmii, dumnie zwanych radnymi". Dostało się także tym, którzy wstrzymali się od głosu albo nie przyszli na nadzwyczajną sesję. Lecz i tak rachunek matematyczny wskazuje wyraźnie, że ich obecność niczego by nie zmieniła – rada gminy liczy 15 osób, a więc osiem to większość.

Radnych przekonywały obie strony, kusząc korzyściami dla gminy lub strasząc przykrymi konsekwencjami dla środowiska naturalnego.

Obecny na sesji był za to prezes spółki Rafał Szczepański, który tak skomentował korzystne dla siebie głosowanie: – Pomimo zarzutów, jakie się pojawiły, nasza inwestycja będzie najbardziej ekologicznym hotelem w Polsce. Dołożymy do tego wszelkich starań. W miejscu, w którym będziemy budować, przez lata był PGR, nie jest to więc teren „dziewiczy". Zasługuje jednak na pewien szacunek i my go zapewnimy.

Jego słowa potwierdził wójt Michał Kontraktowicz: – Podczas przygotowywania planu zagospodarowania przestrzennego myśleliśmy o tym, żeby w jak najlepszy sposób spożytkować te tereny – zapewnić rozwój turystyczny nie tylko gminy, ale i regionu.

Głosowanie radnych nie zamyka sprawy. Obrońcy przyrody planują wystąpić do sądu administracyjnego. Niezależnie od ich dalszych kroków potrzebna jest drobiazgowa procedura dotycząca decyzji środowiskowej. Potem musi ją zatwierdzić wojewoda, ale chyba nikt nie ma wątpliwości, że jej nie podważy, skoro pozwolenie na budowę hotelu przez olsztyńską kurię wydał sam papież Franciszek! ■

Imponująca rozmachem opowieść o narodzinach obszarów znanych dzisiaj jako Trzeci Świat, wydobywająca na światło dzienne złowieszczy związek między polityką potęg imperialnych a klęskami naturalnymi, który zrodził jedną z najokrutniejszych tragedii w dziejach ludzkości. Porażająca panorama rozciągająca się na Chiny, Indie i Brazylię, w której tragiczne działania rządów kolonialnych zderzają się z gigantycznymi klęskami głodu i suszami. Jak doniosłe konsekwencje mają decyzje podejmowane przez rządy w epoce kryzysu środowiskowego?

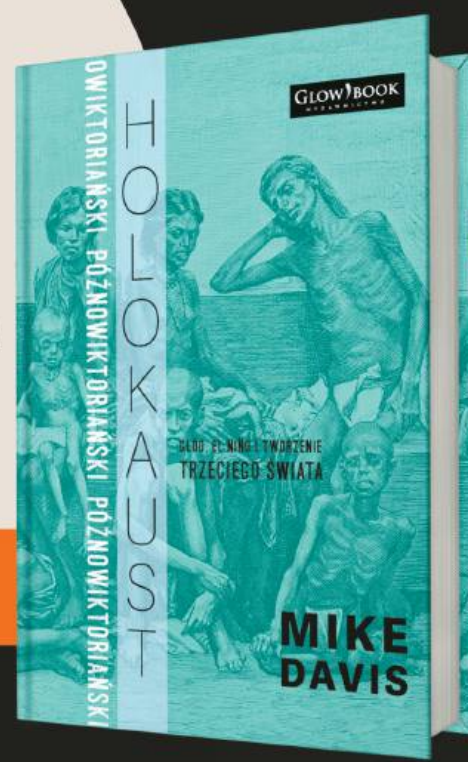

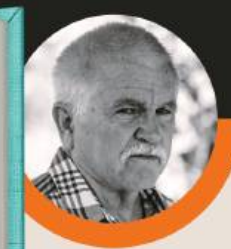

„Książka **Mike'a Davisa** ma fundamentalne znaczenie w dzisiejszym świecie, to niezwykle pouczająca pozycja, która nie skupia się wyłącznie na jednym problemie".

Amartya Sen, „New York Times"

Zamów książkę u nas: WWW.GLOWBOOK.NET

Od listopada dostępna w sieci Empik i dobrych księgarniach.

eprasa.pl 73236679af

Czeski prezydent w mundurze?

Wybory pokazały, że Czechy są podzielone na „kawiarnię" liberałów w Pradze czy Brnie i na „hospodę", gdzie niechętnie patrzy się na nowinki

Łukasz Grzesiczak
Korespondencja z Pragi

Wszystko wskazuje, że to 61-letni gen. Petr Pavel startujący jako kandydat obywatelski jest faworytem w drugiej turze wyborów prezydenckich, która odbędzie się 27 i 28 stycznia (piątek i sobota). Profesorka Danuše Nerudová to największa przegrana pierwszej tury.

Jeszcze na początku grudnia Nerudová górowała w sondażach, ale na ostatniej prostej straciła ponad połowę swoich wyborców. Być może nie potrafiła w przekonujący sposób wybronić się z afery dotyczącej uproszczonej ścieżki uzyskiwania doktoratów na płatnych studiach doktoranckich dla obcokrajowców na Uniwersytecie Mendla w Brnie, gdzie była rektorką. Czeskie prawo zabrania publikowania wyników sondaży na trzy dni przed rozpoczęciem wyborów prezydenckich, co nie znaczy, że kandydaci ich nie robią. Nerudová wiedziała, że nie ma szans, kiedy jeszcze w piątek podczas głosowania mówiła, że sukcesem byłoby dla niej zdobycie poparcia ponad 20%.

Nic więc dziwnego, że w sobotę w jej sztabie wyborczym, w praskiej hali wystawowej Mánes nad samą Wełtawą, nieopodal popularnego Tańczącego domu, panowała raczej grobowa atmosfera. Młodzi wolontariusze, których ujęła 44-latka – najmłodsza spośród ósemki kandydatów – pozycjonująca się jako progresywna twarz zmiany, próbowali jeszcze robić dobrą minę do złej gry. Z dumą nosili przypinki z hasłem „Danu She!", co miało zwracać uwagę, że Nerudová jest jedyną kobietą w wyścigu o prezydenturę. Jednak to, że w sztabie zebrał się raczej drugi garnitur dziennikarzy, zapowiadało, że Nerudová nie ma szans na zwycięstwo.

Po godz. 18, czyli cztery godziny po zamknięciu lokali wyborczych, podano pełne wyniki pierwszej tury głosowania, kiedy policzono już wszystkie głosy. Tym samym niepotrzebne były żadne badania exit poll. Impreza u Nerudovej szybko zamieniła się w stypę, do którego to porównania może skłaniać przypomnienie, że dosłownie kilka kroków obok hali wystawowej, w pałacu Žofín, Czesi żegnali niedawno swojego idola Karela Gotta.

W pierwszej turze do urn poszło 68,24% uprawnionych do głosowania. To więcej niż przed pięcioma laty, kiedy w pierwszej turze głosowało 61,92%. W drugiej turze spotkają się wojskowy Petr Pavel (35,40%) oraz były premier i lider największej obecnie partii opozycyjnej ANO Andrej Babiš (34,99%). Dzieli ich mniej niż 23 tys. głosów. Trzecie miejsce zajęła Danuše Nerudová (13,92%). Dalej znaleźli się walczący już o prezydenturę w 2018 r. konserwatywny senator Pavel Fischer (6,75%) i były opozycjonista Jaroslav Bašta (4,45%), kandydat ksenofobicznej partii Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD) pół Japończyka, pół Czecha Tomia Okamury. Startującego także w wyborach prezydenckich w 2018 r. senatora i lekarza Marka Hilšera poparło 2,56% wyborców. W tej kampanii Hilšer zapewne zostanie zapamiętany jako kandydat, który w rozmowie z popularnym młodym youtuberem Janem Špačkiem przekonywał, że „każdy facet czasem ogląda porno". Poza tym podczas debaty prezydenckiej opuścił studio telewizyjne, protestując przeciw temu, że stacja uniemożliwiła piątce kandydatów rozmowy z trójką liderów sondażu, czyli Pavlem, Babišem i Nerudovą. Były dziennikarz sportowy i właściciel firmy IT Karel Diviš zdobył 1,35% poparcia, a lekarz i były rektor Uniwersytetu Karola w Pradze Tomáš Zima – 0,55%. Kilka dni przed wyborami z rywalizacji wycofał się działacz związkowy Josef Středula, który poprosił wyborców o poparcie Nerudovej. To nie mogło zmienić wyników, bo według sondaży Středula miał poparcie w granicach 1,5%.

Po rezygnacji Středuli w wyścigu o Zamek (Hrad), czyli czeski odpowiednik naszego Pałacu Prezydenckiego, nie został już żaden kandydat kojarzony jako lewicowy. Trudno bowiem uznać za taką kandydatkę Danuše Nerudovą, która starała się łączyć w swoim wizerunku elementy progresywne (podnosiła problem rozwarstwienia społecznego) z centroprawicowymi, deklarując, że nie jest feministką i sprzeciwia się wprowadzeniu parytetu płci do czeskiej polityki i biznesu.

> W interesie Babiša jest zamienić drugą turę wyborów prezydenckich w sąd nad rządem Petra Fiali.

Trudno też uznać za lewicowego byłego premiera populistę Andreja Babiša – miliardera, jednego z najbogatszych ludzi w Czechach, dziś w opozycji, krytykującego rząd m.in. za politykę socjalną. Czesi wybierali zatem spośród polityków konserwatywnych i centrowych, choć trzeba przyznać, że u naszych sąsiadów konserwatyzm ma zupełnie inną twarz niż w Polsce. Wystarczy nadmienić, że niemal wszyscy kandydaci

eprasa.pl 73236679af

O ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, prezydentem będzie Petr Pavel.

opowiedzieli się za małżeństwami jednopłciowymi (w Czechach od lat funkcjonują rejestrowane związki partnerskie dla osób tej samej płci). Poglądu w tej sprawie nie ujawnił jedynie Andrej Babiš. Kandydat ksenofobicznej SPD Jaroslav Bašta był przeciwny małżeństwom jednopłciowym, ale nawet on opowiadał się za pozostawieniem związków partnerskich dla osób tej samej płci. Podobnie Pavel Fischer, który pięć lat temu był przeciwnikiem małżeństw osób tej samej płci, a teraz mówił, że nadal jest przeciw, ale jako prezydent podpisałby takie rozwiązanie. Łatwo mu mówić, w sytuacji gdy rząd Petra Fiali nie ma takich planów.

Wyniki pierwszej tury mogłyby wskazywać, że szanse obu kandydatów są zbliżone, ale bukmacherzy za faworyta uważają gen. Petra Pavla. Podobnie jak sondaże przeprowadzone jeszcze przed pierwszą turą (piszę ten tekst, kiedy nie ma jeszcze wyników sondaży po pierwszej turze), wedle których w drugiej Pavel wygrałby z Babišem 59% do 41%.

Dlaczego? Andrej Babiš to były premier, a teraz lider opozycyjnej partii ANO. Stracił władzę w 2021 r. na rzecz konserwatywno-centrowego rządu Petra Fiali. Uchodzi za jego zagorzałego krytyka. Babiš otrzymał wsparcie ustępującego prezydenta Miloša Zemana, ale po pierwszej turze nad sobą ma już tylko sufit. Zdaje się, że może liczyć jedynie na wyborców Jaroslava Bašty wystawionego przez SPD (w parlamencie partia także atakuje rząd Fiali). Bašta jednak zapowiedział, że w drugiej turze nie wesprze żadnego z kandydatów.

Szanse Petra Pavla na przyciągnięcie nowych wyborców wyglądają o wiele bardziej optymistycznie. Pavel, Nerudová i Fischer szli do wyborów jako kandydaci obywatelscy, ale od początku mieli poparcie premiera Petra Fiali. Wyborców tych kandydatów łączy jedno – niechęć do Zemana i Babiša. Pavla poparli Danuše Nerudová, Pavel Fischer, Marek Hilšer i Karel Diviš. Szczególnie znaczące jest poparcie Nerudovej. To nie zwykłe gesty. Sztab Nerudovej i sztab Pavla spotkały się na piwie, a kandydaci wspólnie ruszyli w trasę po Republice Czeskiej, by agitować na rzecz Pavla. A że oboje – nie licząc drobnych uszczypliwości – nie atakowali się w czasie kampanii, przepływ elektoratu od Nerudovej do Pavla zdaje się naturalny.

To kolejne wybory, które pokazały, że Republika Czeska jest podzielona na „kawiarnię" liberałów w Pradze czy Brnie i na „hospodę", gdzie progresywne nowinki nie zdobywają entuzjazmu. Gdyby prezydenta wybierała tylko Praga, już w pierwszej turze zostałby nim gen. Petr Pavel, który w stolicy zdobył 51,02% (Babiš 26,20%). Ale np. w Ostrawie, trzecim największym mieście w Republice Czeskiej, górą był Babiš, na którego zagłosowało 44,71% wyborców (na Pavla 30,01%). Były premier zdecydowanie wygrał przy granicy z Polską, na zamieszkanym przez Polaków Zaolziu – w Karwinie głosowało na niego 61,83%, a w Hawierzowie 51,98% wyborców. W Czechach jest 14 województw (13 województw i miasto Praga) – w dziewięciu wygrał Babiš.

W jego interesie jest zamienić drugą turę wyborów w sąd nad rządem Petra Fiali, ale całe wybory prezydenckie od samego początku przyjęły postać Babiš kontra reszta świata. Babiš gra kartą doświadczonego polityka, który niedawno spotkał się z Macronem, ale w odpowiedzi Pavel jako utytułowany generał, wysoko postawiony w strukturach NATO, opublikował na Twitterze zdjęcia z ważnymi postaciami europejskiego życia politycznego i społecznego. Babiš może wypominać Pavlowi, że ten należał do partii komunistycznej, lecz były premier sam nie tylko był członkiem Komunistycznej Partii Czechosłowacji, ale jeszcze agentem czechosłowackiej bezpieki.

Ze względu na wojskową przeszłość Pavla były premier przyrównuje go do występującego w mundurze Łukaszenki, co wydaje się kontrproduktywne. W jakiś sposób skuteczne może się okazać przedstawianie Pavla jako niebezpiecznego przywódcy, który zechce zaangażować Czechów w wojnę z Rosją w Ukrainie. Jednak ostatni sondaż słowackiego think tanku GLOBSEC wskazuje, że Czesi w obliczu wojny w Ukrainie są po stronie Ukraińców. 72% ankietowanych Czechów jednoznacznie twierdzi, że to Rosjanie są odpowiedzialni za wojnę w Ukrainie, a 73% ma pozytywne nastawienie do uchodźców z Ukrainy. Najprawdopodobniej więc i ten argument nie zadziała.

O ile zatem nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, prezydentem będzie Petr Pavel. Choć czeska polityka potrafi zaskoczyć.

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 73236679af

Addio, Mafiapolis

Palermo nie chce już być znane jako główna siedziba mafii. Szuka nowych pomysłów na swoją tożsamość

Zuzanna Muszyńska
Korespondencja z Palermo

W poniedziałkowy poranek 16 stycznia br. pojmano w prywatnej klinice w Palermo poszukiwanego od 30 lat Mattea Messinę Denara, skazanego zaocznie m.in. za związek z zamachami na sędziów Falconego i Borsellina. Wzruszeni sukcesem policji palermianie witali oklaskami konwój z aresztowanym. Według słów samego Denara jego ofiarami można by zapełnić cały cmentarz.

Przy drodze z lotniska Punta Raisi do Palermo, przed skrętem na Capaci, widnieje obelisk z datą 23 maja 1992 r., wzniesiony ku pamięci Giovanniego Falconego, jego żony i trzech policjantów, którzy zginęli tu w zamachu bombowym. 300 kilo trotylu rozsadziło autostradę, pozostawiając krater o średnicy 15 m. Sędzia Falcone spodziewał się, że zapłaci życiem za swoje dzieło rozprawienia się z mafią. „Mafia, jak każde zjawisko ludzkie, ma swój początek i będzie miała swój koniec", mówił. Kilka tygodni później zginął drugi kluczowy oskarżyciel mafii, Paolo Borsellino.

30 lat później Palermo ma dość bycia znanym na świecie jako główna siedziba Mafia Inc. Szuka nowych pomysłów na swoją tożsamość.

Miasto z betonu

Od rogatek kłuje w oczy to, co dekady temu zrobiła miastu mafia: zalała je betonem. Pod rządami dwóch chadecko-mafijnych burmistrzów, Salva Limy i Vita Ciancimina, wydano 4 tys. zezwoleń budowlanych, z tego trzy czwarte osobom niepiśmiennym lub emerytom, innymi słowy słupom mafii. Ocalałe z alianckich bombardowań *palazzi* i secesyjne wille wyburzono pod apartamentowce, uboższych mieszkańców wysiedlono do ponurych blokowisk na peryferiach miasta. Model biznesowy oparty na nabijaniu sobie kabzy przy budowaniu za publiczne pieniądze byle jakich mieszkań, szkół, szpitali i dróg rozprzestrzenił się na cały kraj.

Palermiańskie plaże zawalono gruzem z rozbiórek, zieleń zniknęła z placyków, które zamieniono w parkingi „nadzorowane" przez mafię. Ożywcza bryza wędrująca pomiędzy górami i morzem, zamiast chłodzić osiedla, gubiła się w meandrach źle zaplanowanych ulic.

Matteo Messina Denaro był poszukiwany od 30 lat.

Na ratunek miastu ruszyła para idealistów – najmłodszy w historii gubernator regionu Sycylii Piersanti Mattarella oraz jego doradca Leoluca Orlando, wówczas najmłodszy profesor prawa na uniwersytecie w Palermo. Obaj z lewego skrzydła chadecji, którą chcieli reformować. Razem poszli na wojnę z mafią, ograniczając jej wpływy na rynku budowlanym. Dwa lata później Mattarella zapłacił za to życiem. Orlando po śmierci przyjaciela uznał odnowę miasta za swoją misję. Posłuchał rady młodszego z braci Mattarella, obecnego prezydenta Włoch, i na dobre wszedł do polityki. Został radnym, a w 1985 r. burmistrzem miasta.

Wybierany pięciokrotnie na to stanowisko, przeżył kilka dekad z całodobową ochroną, podróżując pod różnymi nazwiskami. Walczył z biskupami i politykami chadecji. Zarządzał miastem podczas trwania maksiprocesu z lat 1986-1987, w którym skazano ponad 300 mafijnych przestępców. Wrócił na stanowisko rok po zabójstwach Falconego i Borsellina, kiedy ulic miasta wykrwawionego w wojnie mafijnych klanów pilnowało wojsko, a gazety pisały, że Palermo jest jak Bejrut.

> Według słów samego Denara jego ofiarami można by zapełnić cały cmentarz.

Pod groźbą zaostrzonych kar więzienia „przyjaciele" zaczęli sypać. Do odbetonowania struktur cosa nostry trzeba było dziesięciokrotnie więcej aresztowań, w tym poszukiwanego od końca lat 60., pojmanego w 1993 r. Salvatore „Totò" Riiny, sycylijskiego *il capo dei capi*.

Palermo – miasto zmartwychwstaje

W dalszym ciągu nikt nie zaryzykuje stwierdzenia, że miejsce mafii jest w muzeum. Mniej lub bardziej spektakularne aresztowania to sycylijska codzienność. W listopadzie

eprasa.pl 73236679af

Protest przeciwko drożyźnie na Piazza Rivoluzione.

ub.r. sądy skazały na karę więzienia 91 osób, w tym domniemanych członków mafii ze wschodniej części wyspy, za oszustwa związane z wyłudzaniem unijnych dotacji rolnych. Stara jak mafia metoda „jednego telefonu z pogróżkami" ciągle przynosi dochód.

– W Polsce, podobnie jak w innych krajach, też macie swoją mafię – mówi Massimiliano, młody, energiczny palermianin. Stoimy w bramie Palazzo Gulì, w którym mieści się „No Mafia Memorial". Massimiliano wyjaśnia: – Celem naszej wystawy nie jest opowiedzenie tego, co dzieje się współcześnie. Chcemy pokazać, że mafii nie można tolerować. Tego nauczyła nas historia, wbrew stereotypom, które znacie z amerykańskich filmów.

Wstęp do muzeum jest darmowy, datki mile widziane. Na parterze przyciąga uwagę niewielka makieta z ruiną domu, we wnętrzu którego siedzi kobieta z niemowlęciem na ręku. Mężczyzna kończy malować napis na murze: „Proszę, nie strzelaj do dziecka". To przygrywka do terroru, który obrazują duże fotografie na pierwszym piętrze. Zdjęcia są czarno-białe, mimo to motyw zwłok w kałuży krwi sprawia, że chwilami trudno oddychać.

Jednym ze sponsorów muzeum jest Addiopizzo (żegnaj, haraczu) – kolejna palermiańska legenda oporu wobec cosa nostry. Niedługo minie 20 lat, odkąd pewnej nocy pojawiły się na starówce naklejki obwieszczające niezgodę na haracz płacony mafii za „ochronę". W grupie buntowników znaleźli się m.in. sklepikarze z Bangladeszu i Sri Lanki. Ich nie obowiązywała zmowa milczenia, byli gotowi wskazać szantażystów. Co roku 29 sierpnia, w rocznicę śmierci Libera Grassiego, który zginął za odmowę wpłaty haraczu, Palermo upamiętnia swój bunt przeciwko mafii.

Wystawa „No Mafia Memorial" ma pokazać, że mafii nie można tolerować.

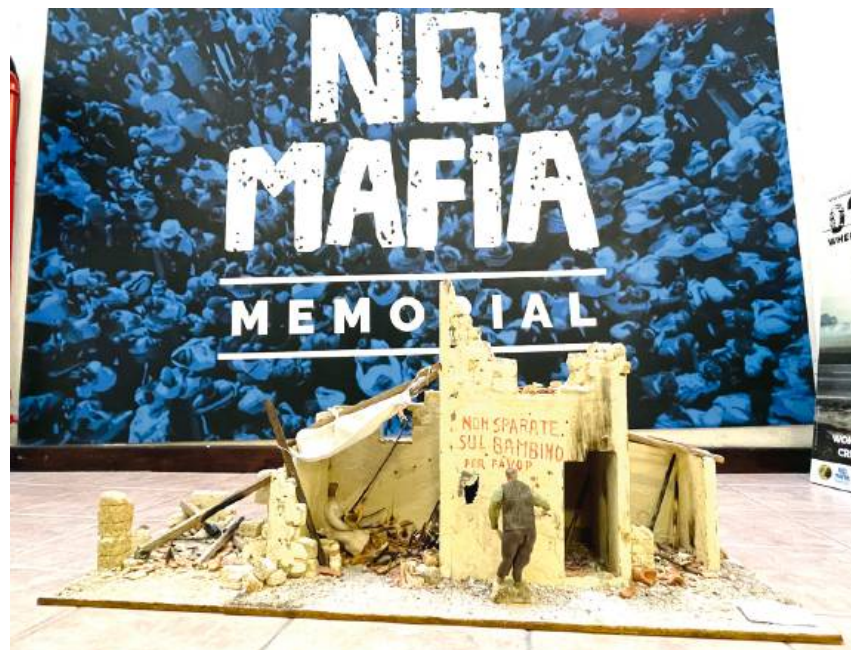

Nowy rok, stare problemy

Po zeszłorocznych wyborach samorządowych przyszedł czas na rozstanie palermian z legendarnym antymafijnym burmistrzem Leolucą. Ślady odnowy miasta zgodnej z wizją Orlanda widać nawet w zapuszczonym Ballarò. Na targowisku nad głowami handlarzy pojawiły się tęczowe dachy. Budynki w dzielnicy pokrywają barwne malowidła. Przy wejściu do Centrum Diecezjalnego Caritas Agape trafiam na żółto-niebieską Klarę. Święta jest jak superbohaterka z komiksu. Żaden dzieciak nie przejdzie tędy obojętnie.

Za murem salezjanie prowadzą punkt pomocowy. Brat Domenico wyciąga z kieszeni spodni wymiętą kartkę i liczy razem ze mną – 194 rodziny, 100 jednoosobowych gospodarstw. Mamy jeszcze grupę Ghańczyków, też katolików, którzy odbierają paczki w niedziele. W inne dni nie mogą, bo pracują – informuje. Rozmowę przerywa rumor na środku placu – kobiecie pchającej duży wózek wypełniony żywnością rozsypała się paczka z krakersami. Brat natychmiast rozpoczyna

eprasa.pl 73236679af

poszukiwania chętnego do sprzątnięcia bałaganu.

W drodze powrotnej mija mnie półnagi, wytatuowany chłopak z psiakiem na smyczy ukręconej ze szmat. Na chodnikach walają się ekskrementy i stosy reklamówek pełnych zmieszanych odpadów. Śmieci to symbol Neapolu, nie Palermo. Tutaj to czubek całej góry problemów trapiących miasto.

Siedem miesięcy od rozpoczęcia kadencji Roberta Lagalli internet na hasło „burmistrz Palermo" odpowiada wysypem stron, których bohaterem jest Leoluca Orlando. Czas pokaże, czy historia zatoczy koło – po burmistrzu, który poświęcił życie uwalnianiu miasta od wpływów mafii, nastał Lagalla, którego żona jest spokrewniona z przestępczymi klanami w Agrigento i któremu obciążeni wyrokami sądowymi „przyjaciele" pomogli wygrać kampanię. Ponad połowa palermian nie poszła na te wybory.

Lagalla twierdzi, że poprzednia władza rzuciła miasto na kolana. Obiecuje wyprowadzić Palermo z impasu. – Nasz nowy burmistrz jest z rządem – oświadcza Alessio, student, którego spotykam na proteście przeciwko drożyźnie. Aktywiści, młodzież, sklepikarze spotykają się na Piazza Rivoluzione. Maszerują przez centrum miasta, a pod siedzibą prefektury zrzucają stos prezentów: „paczkę" z bezrobociem, z eksmisjami, z wysokimi rachunkami za gaz i prąd. – W mieście 2 tys. osób grozi bezdomność, o ile nie znajdą pracy, zanim państwo nie odbierze im mieszkań – tłumaczy Federica, młoda mieszkanka Palermo. Federica jest beneficjentką cittadinanza, czyli dochodu podstawowego, który otrzymuje obecnie ok. 2 mln Włochów. Od nowego roku kończy się, jak oznajmiła premier, czekanie na pracę marzeń. „Zatrudnialni" idą do jakiejkolwiek roboty, gdziekolwiek, nawet na drugim końcu Włoch. Alessio przypomina, że bezrobocie w tej części kraju jest dużym problemem, i jeszcze raz podkreśla, że rząd nie robi nic, by pomóc obywatelom.

Lagalla ma plany: będzie rozkręcał gospodarkę, budował nowe szkoły, oczyszczał Palermo ze śmieci. W pierwszej kolejności musi oczyścić miasto z trumien.

Wejście do Centrum Diecezjalnego Caritas Agape prowadzonego przez salezjanów.

Wybuchające trumny

Cmentarz Santa Maria Dei Rotoli leży u stóp górującej nad miastem Monte Pellegrino. Wytyczone na planie półkola aleje chowają się w cieniu cyprysów i palm. W eleganckich kaplicach grobowych pogrzebano wielu znamienitych obywateli miasta. W nieco gorszym stanie są kolumbaria. Im dalej pod górę, tym ciaśniej i skromniej, za to widać stamtąd morze. Gdzieniegdzie stoją koparki nad świeżo rozgrzebaną ziemią. Budynek administracji również ma półkolisty kształt. Z każdego zakątka dziedzińca widać trumny – czekają w salach pogrzebowych, biurach, na stojakach na placu, na samochodach, wokół których kręcą się ludzie w białych kombinezonach. Żałobnicy i pracownicy biegają jak w amoku. – Chcesz pisać o grobach migrantów? Nie widzisz, co tu się dzieje? – pyta mężczyzna, za którym podążam do gabinetu dyrektora.

Liczba trumien – ozdobionych kwiatami, ze zdjęciem i tabliczką, niekiedy zapakowanych w cynowe pojemniki – przekroczyła niedawno 1,3 tys. Ponad 200 czeka na pochówek od dwóch lat. Zdarza się, że ciekną albo wybuchają. To informacje z prasy, dyrektor nie ma czasu na rozmowę. Wręcza mi mapę z zaznaczonymi miejscami, gdzie należy szukać grobów niezidentyfikowanych zmarłych. Ostrzega: – Uważaj, w wyższych partiach cmentarza osuwa się ziemia.

Na cmentarzu Santa Maria Dei Rotoli metalowe krzyżyki opatrzone numerami oznaczają groby niezidentyfikowanych uchodźców, którzy utonęli w czasie morskiej przeprawy.

Ścieżka prowadzi w kierunku krematorium (niesprawne od dwóch i pół roku). Dużo tu kamieni, trochę śmieci, nie ma drzew. We wskazanym sektorze ktoś wbił w ziemię metalowe krzyżyki opatrzone numerami. Jeśli dobrze trafiłam, patrzę na groby niezidentyfikowanych uchodźców, którzy utonęli w czasie morskiej przeprawy. Według danych Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji podczas przepraw przez Morze Śródziemne zginęło od 2014 r. do chwili obecnej 25 390 osób, z tego 21 599 utonęło. Na wschód, południe i południowy zachód od Sycylii, na morzach Jońskim i Sycylijskim, jest inny cmentarz, a na nim wiele, wiele wolnych miejsc.

– 13 czerwca 2014 r. dziesięć ciał: dziewięć kobiet i mężczyzna, wszyscy nieznani; 2 lipca 2014 r. pięć ciał, 11 lipca 2015 r. – 12 ciał, 3 sierpnia 2015 r. – 27 ciał, 27 sierpnia 2015 r. – 53 ciała; to wtedy Leoluca Orlando polecił zamknąć cmentarz – Giorgia

eprasa.pl 73236679af

Mirto odczytuje dane z własnej bazy, którą prowadzi od lat. Jest z wykształcenia historyczką i antropolożką, współpracuje m.in. z Czerwonym Krzyżem. Od 2011 r. dokumentuje to, co nazywa „śmiercią na granicy". Rozmawiamy na platformie Zoom. Giorgia tłumaczy, że Rotoli to za mały cmentarz dla miasta rozmiaru Palermo, w dodatku położony na zboczu wapiennej góry, której kruszenie się spowodowało zamknięcie części nekropolii. Do tego doszły problemy korupcyjne (aresztowanie byłego dyrektora i pracowników komunalnych), skomplikowane zasady pochówku i pomysł burmistrza Orlanda, by do likwidacji grobów zatrudnić byłych więźniów. Jego następca, korzystając z nowego przepisu, dopuścił się nepotyzmu i wywołał kolejny kryzys. Do tego wszystkiego w 2015 r. Orlando nakłonił władze cmentarza do pochówku bardzo dużej liczby migrantów.

Nekropolię trzeba było czasowo zamknąć. Koronerzy wykonywali autopsje w sierpniowym upale, w namiotach, bez odpowiedniego chłodzenia. – To, że wykonano autopsje i pobrano od ofiar próbki biologiczne, jest we Włoszech rzadkością – tłumaczy Giorgia Mirto. Na Rotoli są większe szanse, by ustalić tożsamość migrantów, a ich rodzinom wskazać miejsce pochówku. Mirto jeździ po całych południowych Włoszech, przegląda akta policyjne, śledzi doniesienia prasowe. Zdradza, że robi to ze względów osobistych: – Mój dziadek został porwany przez mafię i nigdy więcej go nie widziano. Gdy umarła babcia, przekazała mi kuferek z rzeczami do pochówku dziadka.

Wypadki chybotliwych łodzi przy włoskim wybrzeżu to codzienność. Giorgia Mirto: – Po 30 latach od pierwszej katastrofy migracyjnej na morzu nie możemy mówić, że doświadczamy kryzysu. Jesteśmy odpowiedzialni za każdą z tych osób. Powinniśmy szukać rozwiązań politycznych, przyznawać im wizy.

Jesteście obywatelami Palermo

Leoluca Orlando, pytany o liczbę migrantów w Palermo, odpowiadał: zero. Jego celem było uczynić stolicę Sycylii miastem otwartym dla wszystkich. Palermo to jedno z najbiedniejszych włoskich miast, z bezrobociem sięgającym 20%. Orlando uważał, że wysokie notowania w wyborach oznaczały poparcie obywateli dla jego polityki migracyjnej. Jak mówił, „w żołądkach nie ma nietolerancji, ona jest w umysłach polityków". W kraju, którego granice zamykają się coraz szczelniej przed migrantami, stolica Sycylii stała się ośrodkiem opozycji wobec polityki rządu. Karta Palermo przyznawana przybyszom po dwóch miesiącach pobytu była ominięciem części zapisów włoskiego prawa. Orlando chciał, by wszyscy mogli pracować i płacić podatki, wynająć legalnie mieszkania, korzystać z usług służby zdrowia.

> Mniej lub bardziej spektakularne aresztowania to sycylijska codzienność.

Polityka migracyjna i prawa człowieka nie były tematem zeszłorocznej kampanii wyborczej do władz samorządowych. Na szczeblu krajowym premier Meloni wdraża swoją politykę uszczelniania granic, którą chciałaby zadowolić zarówno Unię Europejską, jak i wyborców. Ale migranci na Sycylii nie są zdani wyłącznie na łaskę aktywistów takich jak Giorgia Mirto czy zwykłych Sycylijczyków. W gabinecie Giorgii Bongiorno, szefowej Specjalnego Urzędu ds. Migrantów w regionie, rodzą się wizje nowej Sycylii.

Zespół dyrektor Bongiorno rozpoczął na początku 2022 r. kampanię Diritti negli Occhi – Prosto w oczy. To wezwanie skierowane do Sycylijczyków, szczególnie młodych. Chodzi o to, żeby postrzegać migrantów jako zasób, a nie problem. Zdaniem Giorgii Bongiorno odgrywają oni fundamentalną rolę w ekonomii wyspy. Młodzi rolnicy uciekają do miast, ich miejsce zajmują migrujący pracownicy sezonowi. Niskie zarobki i brak jakiejkolwiek opieki socjalnej sprawiają, że są oni narażeni na wyzyskiwanie przez gangmasterów (*caporalato*). Rząd sycylijski chce to zmienić. Buduje hostele z bieżącą wodą i elektrycznością. Pomysł już się przyjął i jest eksportowany z południa na północ Włoch. Kolejny projekt, rozpisany na lata, to przyjmowanie migrantów do wyludnionych wiosek, z infrastrukturą dla całych rodzin. W trakcie realizacji jest projekt umożliwiający migrantom zatrudnionym w rolnictwie otwieranie własnych biznesów.

– Nasz region przyjął ustawę o przyjmowaniu i integracji migrantów, która jest inspirowana zasadami równości i budowania społeczeństwa wielokulturowego i inkluzywnego – mówi dyrektor Bongiorno. Dzieli się swoim marzeniem – aby pewnego dnia Włochy mogły pomóc ludziom w przyjeździe na Sycylię, nauce języka, znalezieniu pracy i tym samym zapewnić pozostałym krajom Europy bardzo potrzebnych pracowników.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS, ZUZANNA MUSZYŃSKA (4)

eprasa.pl 73236679af

Transformacja grzęźnie w błocie pod Lützerath

Jeśli Niemcy nie przeproszą się z branżą atomową, będą kolejne ostre konflikty wywołane sprzecznościami polityki energetycznej

Łukasz Dąbrowiecki
Korespondencja z Niemiec

W drugą środę stycznia policja rozpoczęła usuwanie osób zajmujących budynki w Lützerath w Nadrenii Północnej-Westfalii. Miejscowość ma zostać wyburzona z powodu decyzji o powiększeniu obszaru kopalni odkrywkowej węgla brunatnego Garzweiler II. Akcja przyciągnęła uwagę całego kraju. Ponad 500 reporterów z Niemiec i zagranicy akredytowało się, aby relacjonować przewidywane starcie. Z początku, zaskakująco dla wszystkich, przebiegało to łagodnie. Dopiero w sobotę, gdy na przedpolach kopalni zjawiło się według różnych szacunków od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy demonstrantów i demonstrantek – wśród nich szwedzka aktywistka klimatyczna Greta Thunberg – media zdobyły upragnione emocjonujące zdjęcia i relacje. O co chodzi z Lützerath i jak protest wpłynie na politykę energetyczną rządu w Berlinie?

Największa odkrywka Europy

Między starożytnym Akwizgranem a Kolonią w Nadrenii Północnej-Westfalii, na olbrzymiej przestrzeni rozciąga się Reński Obszar Wydobywczy (Rheinische Braunkohlerevier) – największy obszar eksploatacji węgla brunatnego w Europie. Znajduje się tu kilka gigantycznych kopalni odkrywkowych. W pobliżu działają zakłady przetwarzania węgla brunatnego, kilka elektrowni i ciepłownia. Węgiel brunatny to niskokaloryczne i ekstremalnie emisyjne źródło energii. Jego spalanie jest dla klimatu bardziej zabójcze niż wykorzystywanie węgla kamiennego. Przemysłowa eksploatacja prowadzona jest przez założony jeszcze w 1898 r. Reńsko-Westfalski Zakład Energetyczny, dziś funkcjonujący jako koncern energetyczny RWE. W narracji protestujących to główny szwarcchakter tej historii. Mimo że zgodnie z wcześniejszymi rozstrzygnięciami od lat zamyka swoje elektrownie jądrowe i stawia turbiny wiatrowe na lądzie i morzu.

Nie może dziwić, że kolejna rozbudowa odkrywki, planowana wbrew deklarowanej i mającej szerokie poparcie społeczne polityce dekarbonizacji kraju, wzbudziła w Niemczech ogromne emocje. Od lat 50. z powodu wydobycia powierzchniowego zniknęło w regionie kilkadziesiąt miejscowości, a dziesiątki tysięcy osób zostało przesiedlonych. Gdy w rządzie zarówno federalnym, jak i związkowym zasiedli Zieloni z wicekanclerzem i ministrem gospodarki Robertem Habeckiem, spodziewano się, że RWE nie dostanie pozwolenia na dalszą eksploatację.

Zwycięstwo w lesie Hambach

Walka w Reńskim Obszarze Wydobywczym trwa od wielu lat. Naznaczona jest wielkimi marszami organizowanymi przez sieć Ende Gelände, próbami wdarcia się na tereny kopalniane, blokadami torów kolejowych i monstrualnych maszyn wydobywczych oraz okupacjami miejscowości i terenów zielonych zagrożonych likwidacją. Przez lata blokowano wycinkę Hambacher Wald. To las sąsiadujący z odkrywką znajdującą się kilkanaście kilometrów na południe od Lützerath. Hambi, jak czule nazwali zieloną enklawę jej obrońcy, jest ostatnim w całej okolicy lasem przypominającym naturalny. Protest połączył przyrodników, romantyków kochających naturę i pragmatyków szukających sposobów na powstrzymanie zmian klimatycznych. *Hambi bleibt*! (Hambi zostaje!) – to hasło niosło się po Niemczech jak kraj długi i szeroki.

W 2018 r. sytuacja malowała się w czarnych barwach. Śmierć poniósł 27-letni dziennikarz filmujący policyjną likwidację nadrzewnego miasteczka, które wyrosło w koronach lasu. Spadł z wysokości 15 m z kładki zawieszonej między drzewami. Nieszczęśliwy wypadek, który przytrafił się doświadczonemu wspinaczowi, orzekła prokuratura. W tym samym roku finalizowano wyburzanie miejscowości Immerath wraz z tamtejszą katolicką katedrą pw. św. Lamberta. Uległy kopalni. Obrazy maszyn obracających świątynię w gruzy, śmierć człowieka na blokadzie lasu, w tle monstrualne machiny wgryzające się w ziemię i rosnące globalne temperatury – wszystko nabierało symboliczno-apokaliptycznego wymiaru.

Jednak zła passa zaczęła się odwracać. Na strajkach klimatycznych w całym kraju gromadziły się kilkusettysięczne tłumy. Sąd orzekł, że podawany przez władze powód likwidacji leśnej blokady – zagrożenie pożarowe – nie miał żadnych podstaw. Po kolejnym cyklu negocjacji zadecydowano, że RWE nie wykarczuje lasu Hambach. To było symboliczne zwycięstwo. Ruchy blokujące wydobycie nabrały

eprasa.pl 73236679af

Interwencja policji w Lützerath 14 stycznia 2023 r.

przekonania, że w konfrontacji z siłami ciemności zaczynają przechylać szalę na swoją stronę. A potem do władzy doszli ci przedstawiciele sceny politycznej, którzy swój program utożsamili z awangardą transformacji energetycznej. W rządzie federalnym ponownie zasiedli Zieloni. Zanim jednak nowy gabinet kanclerza Olafa Scholza zdążył rozsiąść się na dobre w ławach rządowych, Rosja napadła na Ukrainę, przy okazji obracając w gruzy politykę energetyczną Niemiec.

Świat z niepewnością czekał na reakcję Berlina. Ostatecznie mową wygłoszoną w Bundestagu trzy dni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji socjaldemokratyczny kanclerz Scholz dał do zrozumienia, że w polityce Niemiec ma nastąpić przełom. Szlus z interesami z agresorem. Mimo niedowierzania europejskich partnerów pod koniec 2022 r. rząd Niemiec mógł się pochwalić, że import węgla, gazu ziemnego i ropy z Rosji wynosi okrągłe zero. Aby to osiągnąć, podjęto decyzję o budowie pływających terminali do odbioru skroplonego gazu ziemnego. Pierwszy był gotowy jeszcze pod koniec 2022 r., następny otwarto już w styczniu 2023 r. Zadecydowano o przedłużeniu pracy trzech ostatnich podłączonych do sieci niemieckich reaktorów jądrowych. Lęk przed energią atomową okazał się jednak silniejszy niż zdrowy rozsądek. Sektor jądrowy dostał pozwolenie na produkcję energii tylko do połowy kwietnia tego roku. Ale i to wywołało niezadowolenie antyatomowego nurtu w rządzących partiach. Z konieczności więc znów sięgnięto po najbrudniejsze paliwa kopalne.

Osiedle symbol

Lützerath to jedna z sześciu miejscowości, które tuż przed zapowiadanym przez rząd odejściem od węgla miały podzielić los Immerath. Mieszkańcy dawno opuścili osiedle. To de facto kilkanaście zabudowań pośród pól, należących do miasteczka Erkelenz. Od końca 2021 r. były zajęte przez aktywistów klimatycznych. Pobudowali oni infrastrukturę, która miała utrudnić eksmisję. Powstały m.in. platformy na trójnogach i rozpięte wysoko sieci, na których w razie policyjnej akcji aktywiści mogli się przypiąć do lin, „domki na drzewach" bez drzew, tunel. Oceniano, że przed 11 stycznia grupa przygotowująca miejscowość do obrony liczyła nawet tysiąc osób. Prasa chętnie opisywała ich historie i emocje.

To nie była łatwa decyzja. Wicekanclerz Robert Habeck argumentuje, że zawarto korzystny kompromis. Stanęło na tym, że Lützerath będzie ostatnie. Pięć innych miejscowości ocaleje. Mona Neubaur z Zielonych, ministra gospodarki Nadrenii Północnej-Westfalii, zobowiązała się przyśpieszyć zamknięcie wszystkich elektrowni na węgiel brunatny – do 2030 r., a nie, jak wcześniej ustalono, do roku 2038. Lützi – jak znów pieszczotliwie zaczęto mówić o osiedlu – urosło do rangi symbolu. To, co politycy Zielonych nazwali kompromisem, nawet aktywiści z Grüne Jugend (skupiającej młode członkinie i sympatyków „dorosłych" Zielonych) oraz niemieckie ramię Fridays for Future (którego twarzą jest Luisa Neubauer, również związana z Zielonymi) okrzyknęli zdradą.

Za operację opróżnienia terenu odpowiedzialny był naczelnik policji z Akwizgranu Dirk Weinspach, od czterech dekad członek Zielonych. „Hambach nie może się powtórzyć", zapewniał. Starał się wdrażać różne

FOT. EAST NEWS/AFP

eprasa.pl 73236679af

techniki deeskalacyjne. Powołano np. funkcjonariusza łącznikowego między protestującymi a siłami policyjnymi, by mimo napiętej sytuacji kontynuować dialog.

Akcja rozpoczęła się 11 stycznia o poranku. Wicekanclerz Habeck apelował do obu stron o powstrzymanie się od przemocy. Mimo to z zajętych budynków i zza barykady ustawionej na jednym z podwórek poleciały kamienie, petardy i koktajle Mołotowa. Jednak, jak relacjonował „Frankfurter Rundschau", tylko jakieś 10-15% aktywistów było skłonnych użyć przemocy. Większość stosowała bierny opór i formowała ludzkie łańcuchy. Skandowano: „Jesteśmy tutaj, jesteśmy głośno, bo kradniecie naszą przyszłość!". Na pytanie dziennikarza, jak długo zamierzają kontynuować blokadę, jedna z aktywistek, Julia, odpowiedziała, że mają zapasy wody na 10 dni.

Policja dość szybko zaczęła przejmować teren Lützi. Wyglądało na to, że akcja zakończy się szybciej, niż się spodziewano. Tymczasem na sobotę została zwołana demonstracja pod hasłem: „Zapobiec eksmisji. O sprawiedliwość klimatyczną". Organizatorzy spodziewali się ok. 8 tys. osób, pojawiło się kilka razy więcej.

Bitwa w deszczu

Aktywiści z grup proklimatycznych, w tym Fridays for Future, Extinction Rebellion i Last Generation, zjechali z kraju i z zagranicy. Wśród nich pojawiła się Greta Thunberg. Było zimno i lał deszcz. Ludzie brnęli po kolana w błocie, gubiąc w nim obuwie. Thunberg skrytykowała rządzących Zielonych. Oceniła zawieranie kompromisów z korporacjami zajmującymi się wydobyciem paliw kopalnych, takimi jak RWE, jako „haniebne". „To pokazuje, jakie są ich priorytety – powiedziała o Zielonych. – Węgiel, który jest tutaj w ziemi, nie obniży od razu cen. Każdy, kto tak myśli, jest po prostu oderwany od rzeczywistości". Policja otoczyła Lützerath i odkrywkę kordonem, starając się nie dopuścić do wejścia demonstrantów na ich teren, do czego wzywali na kanałach komunikacyjnych aktywiści. Wewnątrz Lützi miało jeszcze się znajdować przynajmniej kilkadziesiąt osób, w tym aktywiści ukryci w podziemnym tunelu. Agencje prasowe, powołując się na słowa Bente Opitz z Lützerath Lebt (Lützerath Żyje), przekazywały, że protestujący w tunelu mieli się dobrze, a jedzenia wystarczyłoby im na kilka dni. Robotnicy kontynuowali rozbiórkę opróżnionych budynków.

Policja zaczęła usuwać protestujących, którzy stawiali bierny opór. Wynoszono ich poza obręb zgromadzenia i legitymowano. Odeskortowana została również Greta Thunberg. Część protestujących starła się z funkcjonariuszami. Prasa okrzyknęła to mianem *Schlammschlacht* (bitwy w błocie). W relacjach filmowych widać było również groteskowe sceny – policjantów w pełnym rynsztunku pełznących na czworakach, leżących na ziemi i wyciąganych z głębokiego błota przez przewracających się w nim kolegów.

Rzecznik policji przekazał, że w akcji poszkodowanych zostało 70 przedstawicieli sił porządkowych, jednak – jak dodawał – nie wszystkie obrażenia idą na konto demonstrantów. Spora część policjantów po prostu skręciła kostki w głębokim błocie. Pięciu zostało rannych z powodu rzucanych środków pirotechnicznych. Także duża liczba demonstrantek i demonstrantów odniosła obrażenia. Na kanale Telegramu Lützerath Zostaje podano, że poszkodowanych zostało nawet 280 osób. Według służby medycznej grupy co najmniej 20 aktywistów zostało zabranych do szpitala, m.in. z powodu ciosów zadawanych w głowę i brzuch. Policja utrzymuje, że karetki ratunkowe wzywano 10 razy, a protestujący ucierpieli z powodu przyklejania się do instalacji lub upadku. Według tych samych źródeł usunięto ok. 470 aktywistów, z których 320 wyszło dobrowolnie. Zarzuty, w tym za opór wobec funkcjonariuszy, zniszczenie mienia i naruszenie porządku publicznego, postawiono 150 osobom.

> Gdyby nie wyjście z atomu, Niemcy byłyby dziś w czołówce dekarbonizacji w Unii Europejskiej.

Skutki porzucenia atomu

Trudno nie odnieść wrażenia, że w całej sytuacji jest coś rytualnego. Od dekad nic nie wzbudza takich emocji obywatelek i obywateli Niemiec jak polityka energetyczna. Masowe protesty przeciwko energetyce jądrowej rozpoczęły się w latach 70. Potem hitem były blokady transportów paliwa jądrowego. Demonstranci blokujący przejazdy pociągów specjalnych i ganiający się z policją po polach to sceny do złudzenia przypominające zajścia z tego miesiąca. Ówczesne protesty wsparły wdrożenie specyficznej transformacji energetycznej, której kluczowym punktem było wyjście z atomu (*Atomausstieg*). Dziś widzimy skutki porzucenia energetyki jądrowej. Rozbudowa odkrywek węgla brunatnego, ponowne uruchamianie elektrowni węglowych, terminale LNG na wybrzeżu, mnóstwo planowanych elektrowni gazowych. Antyatomowi aktywiści i polityczki tłumaczą to rzekomym „zapóźnieniem" wdrażania technologii opartych na odnawialnych źródłach energii. Ale żaden kraj na świecie nie wsparł finansowo, prawnie i instytucjonalnie OZE w takim stopniu jak Niemcy. *Energiewende* trwa od ponad 30 lat. Gdyby nie wyjście z atomu, nie byłoby takiego problemu. 30% niskoemisyjnej energii z uranu sumowałoby się z 30% energii ze źródeł wiatrowych i słonecznych. Niemcy byłyby w czołówce dekarbonizacji w Unii Europejskiej. A może i Putin nie miałby środków na imperialną wojnę?

Połykanie tej żaby będzie bardzo trudne dla koalicji rządowej w nadchodzącym roku. Jeśli niemiecki ruch proklimatyczny i rząd nie przeproszą się z branżą atomową, należy się spodziewać kolejnych ostrych konfliktów generowanych przez sprzeczności takiej polityki energetycznej.

Łukasz Dąbrowiecki

eprasa.pl 73236679af

Wszystko jest na sprzedaż

Jak Zachód pomaga oligarchom, kleptokratom i mafiom

Rozmawia Jakub Dymek

OLIVER BULLOUGH
– pochodzący z Walii pisarz i dziennikarz, zajmuje się Rosją, krajami poradzieckimi i międzynarodową przestępczością finansową. Autor książek, m.in. „Moneyland" i „Ostatni Rosjanin". Prowadzi bloga na stronach codastory.com. Jego najnowsza książka „Kamerdyner świata" ukaże się niebawem w języku polskim.

W wywiadach powtarza pan zdanie, które mogłoby zaszokować wiele osób w Polsce: „To nie my finansujemy agresję Putina na Ukrainę, ale to my ją stworzyliśmy".

– Oczywiście nie przekonuję, że ktokolwiek inny niż sam Władimir Putin odpowiada za swoje czyny. I swoje zbrodnie. Jednak kremlowski system nie istniałby bez gościnności zachodnich stolic gotowych zaoferować rosyjskim elitom swoje pałace, jachty i dyskretne konta bankowe. Rosja nie jest zamkniętym autorytaryzmem z XX w., a Moskwa mogła szczodrze czerpać z zachodnich rynków finansowych, rajów podatkowych i ich przywilejów.

Ludzie, którzy pomogli złodziejom przeistoczyć się w oligarchów, a oligarchom w filantropów i przedsiębiorców, to prawnicy, bankierzy, specjaliści od wizerunku i zarządzania reputacją. I nie są to „ludzie Putina", mówię tu o mieszkańcach Londynu, nie Moskwy. Oni byli gotowi sprzedać swoje usługi każdemu, kto dość zapłacił. I tak uzupełniają się jedni i drudzy. Specjaliści od złodziejstwa, rozboju i mordu spotkali specjalistów od zamiany owoców tych przestępstw w rodzinne fortuny, szanowane fundacje filantropijne i międzynarodowe firmy. Dziś nie można już zaprzeczać temu, jak koszmarnym błędem Wielkiej Brytanii, a Londynu w szczególności, było sądzić, że te pieniądze dostajemy za nic.

Za nic?

– Panowało przekonanie, że pranie pieniędzy światowej – bo przecież nie tylko rosyjskiej – oligarchii nie będzie miało ani negatywnych konsekwencji dla nas, ani większego wpływu na globalną politykę. Oczywiście dziś w Ukrainie widzimy, jakie są konsekwencje. Wspieraliśmy w Rosji budowanie systemu opartego na złodziejstwie, rozkradaniu narodowego majątku i bezkarności – a naturalne było przejście od bandytyzmu do agresji. Wiele grzechów obciąża Putina, ale i nasze elity nie powinny mieć spokojnego sumienia.

Jak to w największym skrócie działa?

– Jeśli jesteś bogaczem z Rosji – albo z Kazachstanu, Malezji, Nigerii – i nie ma instytucji, które mogą cię powstrzymać, da się ukraść prawie wszystko. Na czym polega rola Londynu? Gdy przeniesiesz tam swoje – to znaczy ukradzione przez ciebie – pieniądze, nikt nie może ukraść ci ich z powrotem. Dajemy złodziejom najlepsze, co może być: mogą kraść u siebie i korzystać z ochrony państwa prawa u nas.

W debacie publicznej, ilekroć trzeba skrytykować kogoś za zbyt łagodne stanowisko wobec Rosji, zawsze pada jednak na Niemcy albo Francję, nigdy na Wielką Brytanię. Dlaczego?

FOT. WRITER PICTURES/FORUM

eprasa.pl 73236679af

– To dobre pytanie. Po części dlatego, że politycy z Wielkiej Brytanii od dawna byli głośniejsi w potępianiu Rosji niż np. niemieccy.

Ale jednocześnie brali od Rosjan pieniądze.

– Na tym polega sztuczka! Brytyjscy politycy pilnowali tego, żeby głosić ostre poglądy podczas szczytów NATO i na różnych spotkaniach międzynarodowych. W tym samym czasie nie mieli problemu z tym, żeby ich ojczyzna wyciągała pod stołem rękę po brudne – również rosyjskie – pieniądze. Jaka była wymówka? Gdy będziemy brać od nich kasę, to ich ucywilizujemy, nauczą się działania międzynarodowych rynków, światowej gospodarki i biznesu. „My tych ruskich dzikusów udomowimy, zobaczycie". W rzeczywistości nic podobnego się nie stało. Złodzieje dostali jedynie jeszcze więcej narzędzi do okradania własnych państw i społeczeństw. Tego rodzaju naiwność można było wytłumaczyć w latach 90., ale na pewno nie dziś.

Sam pan przyznaje w jednej z książek, że w to wierzył. Sądził pan, że wolny rynek i międzynarodowe instytucje finansowe zdemokratyzują Rosję i obszar poradziecki.

– Oczywiście. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że byłem wówczas dzieciakiem. W Polsce, pomimo trudów i wyrzeczeń transformacji, udało się – jesteście członkiem klubu państw Zachodu. A my rzeczywiście kiedyś wierzyliśmy, że w krajach byłego ZSRR stanie się to samo, co w Polsce, Czechach czy państwach nadbałtyckich. To była naiwność, ale wynikająca z optymizmu. Nie brakowało jednak ludzi, którzy byli „naiwni" dużo dłużej, niż było trzeba – bo to im się opłacało. Opłacało się „wierzyć", udawać wiarę, że Rosji potrzeba do demokracji raptem jeszcze trochę wolnego rynku i jeszcze trochę biznesowej współpracy po stronie Zachodu. Ci ludzie głosili takie poglądy, bo czerpali z tego korzyści. I nie zmienili przekonania nawet po morderstwie Litwinienki – obywatela Wielkiej Brytanii – które zostało dokonane na terenie tejże Wielkiej Brytanii.

Dlaczego właśnie Wielka Brytania – a nie Francja, Holandia albo Niemcy – stała się ulubionym miejscem oligarchów i stolicą brudnych pieniędzy?

– Zjednoczone Królestwo i Londyn w szczególności były predestynowane do tego jako centrum imperium. Gdy ono zaczęło kruszeć, to nie znaczy, że przestały istnieć biznesowe, gospodarcze i finansowe więzi oplatające dawne kolonie i metropolię. W jakimś sensie po upadku imperium brytyjskiego trzeba było znaleźć sobie inne źródło przychodów. Rządzące krajem elity postanowiły użyć swoich kontaktów, wiedzy i umiejętności – i prędko odkryły, że pomaganie innym w rabowaniu peryferii jest sposobem czerpania korzyści z dawnych kolonii. Pomyślały: „Skoro mamy w kradzieży takie długie doświadczenie, dlaczego nie pomóc innym kraść i jeszcze samemu pobierać prowizję?". I nowi oligarchowie, nowa elita dawnych kolonii, wprowadzili się dosłownie do tych samych willi i pałaców, które wcześniej zajmowała elita kolonialna. A Londyn w tym pomógł.

Ile kroków dzieli zatem skorumpowanego kacyka albo szemranego oligarchę od szanowanego filantropa i członka Izby Lordów?

– Zaskakująco niewiele. Co prawda, w Wielkiej Brytanii mamy zaledwie jednego milionera rosyjskiego pochodzenia, który jest członkiem Izby Lordów – mowa o lordzie Jewgieniju Aleksandrowiczu Lebiediewie – ale oczywiście istnieje u nas cały

W Wielkiej Brytanii istnieje cały przemysł pomagający człowiekowi, który zdobył majątek w podejrzanych okolicznościach, przeistoczyć się w filantropa, przedsiębiorcę czy arystokratę.

eprasa.pl 73236679af

przemysł pomagający człowiekowi, który np. zdobył majątek w podejrzanych okolicznościach, przeistoczyć się w filantropa, przedsiębiorcę czy arystokratę.

Nie można tego zakazać?

– To nie takie proste (śmiech). Można jednak próbować zniechęcać do tego. Ale w Wielkiej Brytanii sektor finansowy jest olbrzymi – mowa nie tylko o bankierach i prawnikach, lecz także o prywatnych odrzutowcach i jachtach, nieruchomościach i architektach, o kolekcjach dzieł sztuki i muzeach oraz uniwersytetach, które w tym uczestniczą albo obsługują świat finansów. Wszystko jest na sprzedaż, jeśli jest klient. I nie wszystko jest nielegalne. Przeciwnie, większość z tych rzeczy jest całkowicie legalna. Problem stanowią pieniądze, które najczęściej legalne nie są. Mało kto również zajmuje się śledzeniem ich pochodzenia. To też problem.

Jak to rozwiązać?

– Potrzebujemy wielkiego dofinansowania naszych służb i policji, aby były w stanie zmierzyć się z fortunami oligarchów i całym przemysłem ukrywania majątków. Inaczej nie da się tego ograniczyć bez odcinania Wielkiej Brytanii od świata, a to – jak wiemy – raczej się nie wydarzy.

I dlatego pisze pan, że winienie Rosjan albo Ukraińców za korupcję w ich ojczyznach jest o tyle bez sensu, że nie byłoby tej korupcji na podobną skalę, gdyby nie pomoc z zewnątrz?

– Dokładnie tak. Myślenie, że Ukraina, Argentyna czy Nigeria to skorumpowane kraje, opiera się na kompletnym niezrozumieniu, jak dziś działa korupcja. Korupcja jest procesem w całości transgranicznym. Mówiąc wprost, pieniędzy pochodzących z korupcji w większości w Ukrainie, Argentynie, Malezji czy Nigerii już dawno nie ma. Zmieniły lokalizację dobrych parę razy i wylądowały gdzie indziej. I to wciąż są brudne pieniądze, tylko my nie nazywamy państw, gdzie trzyma się te brudne pieniądze, skorumpowanymi. A czy to nie logiczne, że państwa, które przetrzymują zrabowane, pochodzące z korupcji fortuny, także powinniśmy oznaczać w międzynarodowych rankingach jako skorumpowane? To trochę tak, jakby krytykować ulicznych dilerów, ale nie potępiać bossów mafii narkotykowej.

A o ile trudniejsze byłoby okradanie własnego państwa, gdyby nie raje podatkowe, możliwości prania pieniędzy i wszystkie te operacje, o których pan pisze?

– Nie byłoby niemożliwe. Korupcja istnieje, od kiedy istnieje na tym świecie władza. Ale rzeczywiście: co byś zrobił z fortuną pochodzącą z grabieży dobra wspólnego bez możliwości ukrycia jej za granicą w jakimś gościnnym kraju? Mógłbyś zakopać w ziemi, schować w skarbcu albo zacząć coś budować. Tak przecież powstawały całe cywilizacje! Najpierw ktoś przywłaszczył sobie dosłownie wszystko – ale później musiał zacząć coś z tymi pieniędzmi robić, ludzie pracowali na jego zachcianki, tworzyła się gospodarka. Ktoś te pałace i zamki dla panów budował. Problem z rajami podatkowymi jest oczywiście taki, że pożytku z ulokowanych tam pieniędzy nie będzie nawet za milion lat.

Dawni amerykańscy miliarderzy w XIX i XX w. byli z dzisiejszej perspektywy również oligarchami, lecz coś po sobie zostawili – inwestowali w koleje, fundowali muzea, dzięki ich pieniądzom kręciła się gospodarka. Nic podobnego nie miałoby miejsca, gdyby całą swoją fortunę ulokowali w kilku rezydencjach w Londynie, prawda?

Publiczne oburzenie nie skupia się jednak na globalnej korupcji i rajach podatkowych. Za to gdy ktoś napisze głupiego tweeta o Ukrainie, wściekłość w internecie nie ma końca. Gdy prestiżowa kancelaria prawna lub firma konsultingowa pomaga Putinowi omijać sankcje albo jakiemuś ukraińskiemu oligarsze rozgrabiać własny kraj – nawet o tym nie słyszymy.

– Bo oburzenie jest łatwiejsze? Gdy jakiś głupek z prawicy albo lewicy udzieli żenującego wywiadu, a fragmenty wylądują na Twitterze, wszyscy możemy z niego się pośmiać. Ale przepływy pieniędzy są znacznie bardziej skomplikowane. I niełatwo o tym pisać. Ludzie, o których rozmawiamy, są potężni, bogaci i mściwi. Jeśli będziesz pisał o nich ostro i odważnie, pozwą cię. Ta tematyka nie nadaje się na 20-sekundowy klip wideo albo liczący 280 znaków wpis na Twitterze. Choć w ostatnim roku i tak więcej niż kiedykolwiek rozmawiamy o praniu pieniędzy, korupcji, omijaniu sankcji i ukrywaniu majątków.

Powinniśmy przestać pouczać innych o prawach człowieka i korupcji, skoro sami bierzemy pieniądze od reżimów łamiących prawa człowieka i pomagamy okradać biedniejsze społeczeństwa?

– Nie, nie powinniśmy porzucać wartości demokracji, praw człowieka i praworządności – to nie tak, że jedyne, co Zachód ma do zaoferowania, to hipokryzja. Ale fakt, jeśli chcemy pomóc np. Ukrainie, jedną z pierwszych rzeczy poza dostawami broni powinno być zablokowanie przepływu ukradzionych w Ukrainie pieniędzy do Europy. Trochę jak z przysięgą Hipokratesa: „Po pierwsze nie szkodzić". Tu Zachód ma jeszcze swoje do zrobienia.

Korupcja jest procesem transgranicznym. Pieniędzy pochodzących z korupcji w Ukrainie, Argentynie, Malezji czy Nigerii już dawno nie ma. Zmieniły lokalizację dobrych parę razy i wylądowały gdzie indziej.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73236679af

Dlaczego Ameryka nie mogłaby przestać głupio postępować, nawet gdyby chciała?

Stephen M. Walt

13 grudnia 2022 r. na stronie internetowej „Foreign Policy" ukazał się artykuł stałego współpracownika tego magazynu, profesora stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Harvarda, Stephena M. Walta. Jest on współautorem (wraz z Johnem Mearsheimerem) głośnej pracy „Lobby izraelskie w USA". Nawiasem mówiąc, również w poniższym artykule odnosi się do presji wywieranej przez lobbystów na amerykańskich decydentów politycznych. Walt gościł już na łamach PRZEGLĄDU 30 maja ub.r. Pisał o niezrozumieniu przez zachodnie elity polityczne potęgi nacjonalizmu. Przynależąc do realistycznej szkoły myślenia o polityce, tym razem próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego prowadzenie przez Stany Zjednoczone ograniczonej, roztropnej polityki zagranicznej zdaje się niepodobieństwem.

•

Obrońcy „globalnego przywództwa" USA czasami przyznają, że Waszyngton sięga za daleko, forsuje niemądrą politykę, zawodzi w realizacji ugruntowanych celów polityki zagranicznej i gwałci swoje osławione pryncypia. Postrzegają oni wszakże tego typu działania jako pożałowania godne odchylenia i wierzą, że Ameryka będzie się uczyć na swoich (rzadkich) błędach i mądrzej postępować w przyszłości. (…) Niedawno opublikowana w „The Atlantic" obrona amerykańskiej polityki, autorstwa George'a Packera, jest najnowszą wersją tej zużytej linii argumentacyjnej. Packer rozpoczyna esej od błędnej konstatacji, że Amerykanie „przesadzają w prowadzeniu zagranicznych krucjat, a następnie przesadzają z brakiem zaangażowania, nie zatrzymując się nigdy pośrodku, w punkcie, w którym zwykły kraj próbowałby odnaleźć równowagę". Trudno jednak zarzucać nadmierną „wstrzemięźliwość" państwu, które ma na całym świecie ponad 700 instalacji wojskowych, grupy bojowe lotniskowców na większości oceanów, formalne sojusze z dziesiątkami krajów, prowadzi obecnie „wojnę zastępczą" przeciwko Rosji, wojnę gospodarczą z Chinami i operacje antyterrorystyczne w Afryce oraz podejmuje niekończące się próby osłabienia, a kiedyś obalenia, rządów w Iranie, na Kubie, w Korei Północnej. (…)

Niestety, Packer i inni obrońcy prymatu USA niedostatecznie biorą pod uwagę to, jak trudno jest ograniczyć ambicje w zakresie polityki zagranicznej potężnemu państwu liberalnemu, jakim są Stany Zjednoczone. (…) Kombinacja liberalnych wartości i wielkiej potęgi wytwarza w sposób prawie nieunikniony stan rzeczy, w którym Ameryka będzie raczej próbowała zrobić zbyt wiele, a nie zbyt mało. (…)

Dlaczego Stanom Zjednoczonym tak trudno działać powściągliwie? Pierwszym problemem jest sam liberalizm. Twierdzenie, że wszyscy ludzie mają pewne naturalne prawa (przykładowo „prawo do życia, wolności i poszukiwania szczęścia"). Dla liberałów podstawowym wyzwaniem politycznym jest stworzenie wystarczająco silnych instytucji, by nas chroniły jednych przed drugimi, ale nie na tyle silnych i niekontrolowanych, by pozbawiały nas wymienionych praw. Jakkolwiek w sposób niedoskonały, państwa liberalne osiągają powyższy cel za pomocą podziału władzy politycznej, pociągania przywódców do odpowiedzialności podczas wyborów, zapewniania rządów prawa, ochrony wolności myśli, słowa i zrzeszania się, akcentowania zasad tolerancji. (…) Zauważmy jednak: wymienione zasady wiążą się z twierdzeniem, że wszyscy ludzie mają takie same prawa, a w związku z tym liberalizm, chcąc pozostać w zgodzie z własnymi założeniami, nie może zostać ograniczony do jednego państwa lub części ludzkości. Żaden prawdziwy liberał nie może oświadczyć, że Amerykanom, Duńczykom, Australijczykom, Hiszpanom czy Koreańczykom z Południa przysługują te prawa, natomiast nie przysługują ludziom, którzy żyją w Rosji, na Białorusi, w Iranie, w Chinach, w Arabii Saudyjskiej, na Zachodnim Brzegu czy w jakimkolwiek innym miejscu. Z tego powodu państwa liberalne wykazują silne skłonności do tego, co John Mearsheimer określa mianem „zapędów krzyżowca". Chodzi o pragnienie szerzenia liberalnych zasad tak dalece, jak tylko mogą. Nawiasem mówiąc, z tym samym problemem zmagają się inne uniwersalistyczne ideologie, czy to w postaci marksizmu-leninizmu, czy różnorakich ruchów religijnych, których wyznawcy są przekonani, że ich obowiązkiem jest poddanie władzy określonej wiary wszystkich ludzi. (…)

Obrońcy „globalnego przywództwa" USA czasami przyznają, że Waszyngton sięga za daleko, forsuje niemądrą politykę i gwałci swoje osławione pryncypia.

Po drugie, Stanom Zjednoczonym z trudnością przychodzi działanie powściągliwe, ponieważ posiadają wielką potęgę. Jak to ujął w latach 60. XX w. amerykański senator Richard B. Russell, przewodniczący Senackiej Komisji Sił Zbrojnych i z pewnością nie gołąb: „Jeśli łatwo nam przychodzi udać się gdziekolwiek i cokolwiek robić, zawsze gdzieś pójdziemy i coś będziemy robić". Gdy gdzieś na świecie pojawia się problem, zawsze jest coś, co USA mogą próbować zrobić. Słabsze państwa nie stają przed tego typu pokusami. Nowa Zelandia jest zdrową, liberalną demokracją z wieloma godnymi podziwu cechami, a jednak

eprasa.pl 73236679af

nikt nie oczekuje, że przejmie inicjatywę w zmaganiach z rosyjską inwazją na Ukrainę, irańskim programem nuklearnym lub chińskimi wypadami na Morze Południowochińskie. Tymczasem ktokolwiek zasiada w Gabinecie Owalnym, ma do wyboru mnóstwo opcji w związku z zarysowującym się problemem lub nadarzającą okazją. Prezydent może nałożyć sankcje, zarządzić blokadę, zagrozić użyciem siły (bądź jej użyć) i podjąć wiele innych kroków, prawie zawsze bez narażania USA na poważne niebezpieczeństwo (przynajmniej krótkoterminowo). W takich okolicznościach oparcie się pokusie działania jest ekstremalnie trudne, szczególnie gdy czuwa chór krytyków, gotów potępić wszelką powściągliwość, nazywając ją brakiem woli, ustępstwem lub śmiertelnym ciosem dla wiarygodności Ameryki.

Po trzecie, z uwagi na fakt, że Stany Zjednoczone znajdują się na szczytach światowej potęgi od 70 lat, wytworzyły się potężne biurokratyczne i korporacyjne siły, które mają żywotny interes w utrzymywaniu ponadwymiarowej, globalnej roli Ameryki. Były prezydent Dwight D. Eisenhower przestrzegał w pożegnalnej mowie z 1961 r., że powstanie potężnego „kompleksu militarno-przemysłowego" w trakcie II wojny światowej i na początku zimnej wojny było głęboką zmianą, która na stałe skieruje amerykańską politykę zagraniczną w stronę coraz większej militaryzacji i interwencjonizmu. Ta zmiana jest szczególnie widoczna, gdy spojrzeć na sieć think tanków zajmujących się polityką zagraniczną – większość z nich skupia się na promowaniu amerykańskiego zaangażowania i obronie porządku światowego, którego centrum stanowi USA. W rezultacie, jak parę lat temu zauważył Zack Beauchamp, „prowadzone w Waszyngtonie debaty na temat polityki zagranicznej są zdominowane przez siły centrowe i prawicowe. Typową kwestią jest, jak wiele siły Ameryka winna użyć, a bardzo rzadko pojawia się pytanie, czy w ogóle siła powinna być użyta".

Po czwarte, (…) liberalne Stany Zjednoczone podlegają zagranicznym wpływom w o wiele większym stopniu niż inne kraje. Rządy innych państw mogą wynająć firmy lobbingowe, aby forsowały ich interesy w Waszyngtonie, w szczególności zaś na Kapitolu (…). Mogą wpłacać hojne datki na rzecz think tanków, które będą promowały ich sprawy, zagraniczni przywódcy mogą publikować artykuły we wpływowych gazetach amerykańskich, uzyskując wpływ na opinię decydentów politycznych i zwykłych obywateli. (…) Ponadto zagranicznych głosów szepczących do amerykańskich uszu przybywa z każdym dodanym przez Stany Zjednoczone sojusznikiem, „partnerem", „szczególnym rodzajem relacji". Zaczynaliśmy od 11 sojuszników w ramach NATO, próbując kształtować amerykańską politykę wobec Europy. Obecnie mamy ich 29. Wkład niektórych państw w zbiorową obronę jest znaczący, inne jednak są słabe i właściwsze byłoby określanie ich mianem protektoratów aniżeli partnerów. Nie może dziwić, że te państwa najgłośniej dopominają się, by Ameryka wywiązywała się ze swoich zobowiązań i chroniła je, ostrzegają przy tym, że zagrożona jest jej wiarygodność jako globalnego mocarstwa, a nadzieje na bardziej przyjazny porządek światowy zostaną pogrzebane, jeżeli ich głos nie będzie brany pod uwagę. (…)

Żeby wszystko było jasne: nie opowiadam się za ignorowaniem obaw sojuszników ani za natychmiastowym odrzucaniem ich rad. Przywódcy państw sojuszniczych często mają do powiedzenia mądre rzeczy na temat współczesnych globalnych problemów. Łatwo wskazać przykłady, kiedy Stanom Zjednoczonym wyszłoby na dobre, gdyby wsłuchały się we francuskie czy niemieckie ostrzeżenia, zamiast polegać wyłącznie na własnym rozumie. Nadal jednak może się utrzymywać niezdrowa symbioza pomiędzy interwencjonistycznymi skłonnościami establishmentu kierującego amerykańską polityką zagraniczną a stymulowaniem debat na temat tejże polityki radami udzielanymi w interesie własnym przez kraje, które żywią nadzieje na obronę i pomoc.

Złóżmy powyższe różnorakie elementy w całość, a stanie się jasne, dlaczego Ameryce z taką trudnością przychodzi stronienie od niemądrych posunięć. Ideologia, potęga, rozmach biurokratyczny, dążenia innych państw do wykorzystania amerykańskiej siły do własnych celów pobudzają skłonność do tego, aby „coś" zrobić, oraz uniemożliwiają wyznaczenie jasnych priorytetów i trzymanie się ich, gdy pojawia się pokusa [interweniowania – przyp. P.K.].

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

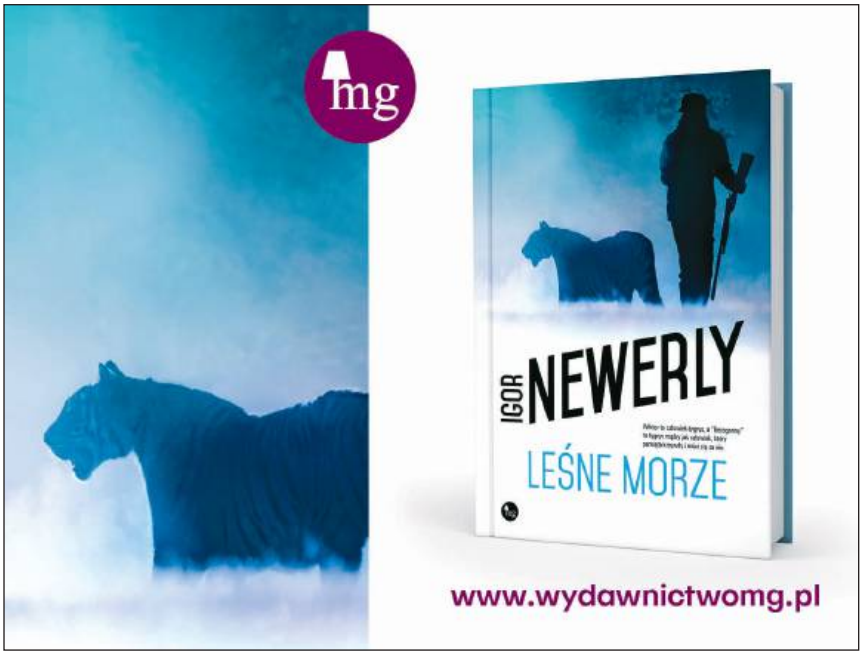

eprasa.pl 73236679af

troje na jedną

JEDNA:
OLGA LIPIŃSKA
TROJE:
PATRYCJA DOŁOWY
PAWEŁ SĘKOWSKI
MARIAN SZULC

JA JESTEM W PARTII KULTURA

PAWEŁ SĘKOWSKI: Wiem, że pani zdaniem granie w komediach czy w kabaretach stanowi największe wyzwanie dla aktorów, najbardziej wymagającą próbę jakości ich gry aktorskiej.

OLGA LIPIŃSKA: – Tak, dwa razy trudniej jest grać w komedii niż w dramacie. Bo w komedii, tak samo w kabarecie, reakcja publiczności jest natychmiastowa. W dramacie można oszukać – aktor oprze się o kolumnę, zamyśli, obróci się tyłem, zrobi gest... Wszyscy widzą: przeżywa. A w komedii publiczność się śmieje albo nie. Mówisz kwestię i publiczność albo wybucha śmiechem, albo patrzy na ciebie tępo. A wtedy jest strasznie. Prowadziłam 13 lat Teatr Komedia, więc naprawdę wszystko o tym wiem. Nikt mnie nie przekona, że człowieka można poruszyć tylko wielkimi słowami i patosem. Śmiej się, pajacu! Człowiek, który przeżywa dramat i się śmieje, to najbardziej poruszająca sprawa.

PATRYCJA DOŁOWY: Dlatego to jest takie niebezpieczne dla władzy.

LIPIŃSKA: – Oczywiście, dla każdej władzy. Wszyscy boją się ośmieszenia. Władza przede wszystkim. Śmieszny znaczy niepoważny. A władza musi być poważna.

SĘKOWSKI: Przez osiem lat, od 1968 r. do 1976, była pani reżyserką Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Czy było to istotne w pani życiorysie zawodowym doświadczenie?

LIPIŃSKA: – Doświadczenie zawsze jest istotne. W Opolu robiłam przede wszystkim kabaretony. Z kabaretonu w świat wychodziły zawsze wielkie piosenki, które potem śpiewała cała Polska. W kabaretonie śpiewał Wojciech Młynarski, debiutował Kazimierz Grześkowiak ze swoim „Chłop żywemu nie przepuści". Debiutowała także Maryla Rodowicz z piosenką „Mówiły mu". Miałam w Opolu także kłopoty, bo za dużo gwiazd naraz to piekło. Żadna nie chce zaczynać ani być w drugiej części, gdzieś w środku, tylko każda chce być pod koniec. Albo: „Po niej nie wejdę, bo zginę" itd. Co chwila jakaś awantura. A ja patrzyłam na ten teatr piosenki tak, żeby to miało sens, żeby nie było przypadkowe albo tylko na zasadzie: raz szybkie, raz wolne. Zawsze chciałam, żeby we wszystkim, co robię, był jakiś sens. Żeby z kolejności piosenek wynikała jakaś myśl, jakaś sprawa. Tak samo w telewizji czy w kabaretach.

SĘKOWSKI: Rozstała się pani z Opolem, bo objęła pani w 1977 r. Teatr Komedia? Czasowo by się to zgadzało.

LIPIŃSKA: – Nie dlatego rozstałam się z Opolem. Za długo to po prostu trwało. W Opolu wtedy było bardzo sympatycznie i wesoło. Jeden drugiemu pomagał. Nie było tam wściekłej konkurencji.

DOŁOWY: Chciałam zapytać o pani przyjaciółkę – Agnieszkę Osiecką. Wspominała pani o wspólnych latach szkolnych. A co potem?

LIPIŃSKA: – Potem STS. I przyjaźń. Taka wczesna przyjaźń to strasznie ważny czas w życiu każdego człowieka. To się pamięta najbardziej. Później zrobiłyśmy razem z Agnieszką w telewizji pierwszy cykliczny program „Listy śpiewające". Moja pierwsza próba w tym gatunku. Zrobiłyśmy cały cykl. Za pierwszy odcinek dostałyśmy po 1 tys. zł. I jako bogate damy wracałyśmy do domu Chmielną. Wtedy to była ulica luksusowych sklepów. I postanowiłyśmy poszaleć. Ja kupiłam mężowi jedwabny krawat, choć on nigdy ich nie nosił – chodził

eprasa.pl 73236679af

w swetrach. Kupiłam za 600 zł kieliszki – śliczne. Ja te pieniądze wydałam do końca. Agnieszka trochę mniej, ale byłyśmy szczęśliwe! Byłyśmy ze sobą blisko. Wszystkie jej miłości, wszystkich amantów i mężów dobrze znałam. Bardzo mi brak Agnieszki. Jeździłyśmy też razem na Mazury. Oczywiście do Krzyży, gdzie rozlokował się prawie cały STS. Ja jeżdżę tam do dziś.

MARIAN SZULC: Może o tych Krzyżach jeszcze coś powiedzmy, bo to jest swoisty fenomen. Jak to się zaczęło? Właśnie od takich wyjazdów, wynajmowania domów?

LIPIŃSKA: – Zaczęło się od tego, że ojciec naszego kolegi z STS, Jarka Abramowa, pisarz Igor Newerly, miał tam swój dom w Zgonie. 2 km od Zgonu jest piękne Jezioro Nidzkie, Zatoka Zamordejska i w samym sercu Puszczy Piskiej wieś Krzyże. Zawieźli nas do Krzyży Jarek Abramow i Ziemek Fedecki, bo mieli wtedy samochody. I tam zadomowił się STS. Jeszcze wtedy w Krzyżach mieszkały mazurskie rodziny, które przyjęły całe nasze towarzystwo serdecznie i rozlokowały nas po swoich domach. To był rok 1961. Od tamtych lat przyjeżdżaliśmy do Krzyży na każde wakacje. Później niektórzy z nas pobudowali tam domy. Ja także w Krzyżach mam swój dom, w którym spędzam każde lato. Niedaleko jest leśniczówka Pranie rozsławiona przez Gałczyńskiego, który mieszkał tam przez pewien czas.

SĘKOWSKI: Zapytam o Mieczysława Rakowskiego, który bywał w Krzyżach. Jak to się stało, że nawiązaliście taką osobistą, towarzyską relację?

LIPIŃSKA: – Bywał w Krzyżach, ale dom miał w Praniu, tam gdzie jest dziś muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Rakowski był wtedy szefem „Polityki" i ze swoimi dziennikarzami był częstym gościem w STS. Pierwszy raz przyprowadziła go do STS Agnieszka Osiecka i przedstawiła go: „To jest pan Mietek, naczelny »Polityki«". Rakowski za tydzień zaprosił nas na bal „Polityki", przyniósł zaproszenia. Od tego czasu byliśmy z Rakowskim na ty. Przychodził do STS z Wandą Wiłkomirską, która była wtedy jego żoną. To była pierwsza połowa lat 60. Rakowski przychodził potem na każdą naszą premierę.

Co mnie irytuje dziś w teatrze, to zewnętrzność. Przypasowanie Szekspira czy Moliera do Polski Kaczyńskich.

DOŁOWY: Mówiono o pani, że w pracy jest szalenie wymagająca wobec aktorek i aktorów, nawet apodyktyczna. Czy tak było?

LIPIŃSKA: – Tak, to nie są plotki, rzeczywiście byłam wymagająca. Krzyczałam. Ale potem przepraszałam. Strasznie mnie denerwowała i denerwuje do tej pory powierzchowność w pracy, takie olewanie, jak się mówi potocznie. Przecież tyle samo czasu kosztuje zrobienie czegoś dobrze, jak i źle. I jestem perfekcjonistką, co szczególnie dla otoczenia jest męczące. Dla mnie też zresztą.

DOŁOWY: Dużo dzisiaj się mówi o tym, że teatr bywa bardzo przemocowy, właśnie z powodu reżyserów.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 73236679af

Chciałam zapytać panią, czy można robić teatr inaczej, tak samo telewizję. Czy można pracować skutecznie, ale bez tej reżyserskiej apodyktyczności?

LIPIŃSKA: – Ja nie byłam grzeczną dziewczynką, ale dogadywałam się z aktorami. Mieli do mnie zaufanie. Gdy byłam w PWST, miałam praktykę w Teatrze Współczesnym u Erwina Axera. I pamiętam, że Basia Wrzesińska notorycznie się spóźniała. Pewnego razu tłumaczyła się, że nie mogła wyjść z domu, bo wóz z węglem stał w bramie. Axer, słysząc to, o mało nie umarł ze śmiechu. Tacy to są aktorzy! To dzieci! A co do słów o przemocy w teatrze, to wszystko jest trochę względne. Nie można oczywiście tolerować lekceważenia publiczności, ale na pewno normy zachowania w teatrze, zarówno reżysera, jak i aktorów, były kiedyś nieco inne niż dzisiaj.

Zawsze są dobre czasy na kabaret.

SZULC: Gdzie powinna się kończyć apodyktyczność, żeby nie przerodziła się w mobbing?

LIPIŃSKA: – Ja wiedziałam, co chcę zrobić, i nie miałam kłopotów z tym, że byłam bardzo wymagająca. Aktorzy lubią, jeżeli się im mówi, że masz zrobić to tak i tak. Za dużo wolności jest nieszczęściem, przynajmniej czasami. Ludzie nie bardzo lubią nie wiedzieć, co ze sobą zrobić. Ja wymagałam od aktorów, krzyczałam nawet, ale nikt się na mnie nie obrażał, bo wszyscy potem widzieli rezultat. Wtedy wszystko jest w porządku. Bardzo lubiłam Kazimierza Dejmka. Był strasznie groźny i też „rzucał mięsem po ścianach i po aktorach". Lecz aktorzy go bardzo cenili i lubili, bo wiedział, co i po co robi. Ja nigdy nie miałam odmowy aktorskiej, tylko co najwyżej niektórzy mówili: „Uprzedzali mnie, że z panią będzie ciężko". Byłam ze swoimi aktorami bardzo zżyta. Kontaktujemy się często. Na każde moje urodziny zbiegają się do mnie z butelką szampana. Przychodzą Hanka Śleszyńska, Robert Rozmus, Paweł Wawrzecki, Piotr Fronczewski, Agnieszka Suchora, Irena Tyl, Zosia Rudnicka, Agata Kulesza, Krzysztof Tyniec, Tania Kwiatkowska, cała grupa ludzi. Tęsknią za naszym kabaretem. Chcieliby coś sensownego razem zrobić.

SZULC: Mają uzasadnione przekonanie, że uczestniczyli w czymś ważnym.

LIPIŃSKA: – Tak, mają.

SĘKOWSKI: Była pani pracoholiczką, sama pani tak o sobie mówi. Czy wymagała pani też pracoholizmu od pracowników, aktorów, ekipy?

LIPIŃSKA: – Nie wymagałam. Ale często oni sami też byli perfekcjonistami. Janusz Gajos np. mówił: „Olga, powtórzmy scenę, bo ja tutaj tak… wiesz, pograłem głupio". Odpowiedziałam: „Ja to przykryję w czasie montażu, nie martw się". „Nie, Olga – upierał się – proszę cię, powtórzmy". Perfekcjonistą był też Wojtek Pokora. Najbardziej leniwy był Janek Kobuszewski: „Olga – mówił – zostaw, dobrze jest! Lepiej nie zagram".

SĘKOWSKI: Wiedzieliśmy też, że na dzisiejszą rozmowę musimy stawić się punktualnie, bo pani nie znosi niepunktualności...

LIPIŃSKA: – Wie pan, jak ja miałam dwie godziny zarezerwowane w studiu na nagranie i ktoś mi się spóźniał pół godziny, to nagranie trzeba było zrobić biegiem. A ja nie lubię pracować biegiem. Kurtyna musi iść w górę o siódmej, a nie kwadrans po siódmej!

DOŁOWY: Co pani sądzi o dzisiejszym polskim teatrze?

LIPIŃSKA: – W dzisiejszym teatrze przede wszystkim razi mnie brzydota. Albo że sztukę Moliera czy Szekspira robi się w podartych dżinsach, żeby zabrzmiało współcześnie. Współczesność tkwi zupełnie w czymś innym. Akcent ważny dla współczesnego widza powinien tkwić w sprawie, a nie w podartych dżinsach. Co mnie irytuje dziś w teatrze, to zewnętrzność. Przypasowanie Szekspira czy Moliera do Polski Kaczyńskich. (…)

SĘKOWSKI: Jak to jest, że pani zgromadziła taką plejadę aktorów: Piotr Fronczewski, Janusz Gajos, Jan Kobuszewski, Marek Kondrat, Wojciech Pokora, Krystyna Sienkiewicz, Barbara Wrzesińska i wielu innych?

LIPIŃSKA: – To byli po pierwsze moi koledzy. Znaliśmy się ze szkoły teatralnej, z niektórymi robiłam „Listy śpiewające", innych znałam z STS. To była grupa prawie rówieśników. Później przyszło młodsze pokolenie: Hanka Śleszyńska, Krzysztof Tyniec, Grzegorz Wons, Marek Siudym. Na początku w telewizji byłam *Mädchen für Alles*. Czekałam więc tylko, aż na wakacje wyjadą Aleksander Bardini, Maryna Broniewska i wszyscy wielcy reżyserzy. Dorywałam się wtedy do kamery i robiliśmy z kolegami głupawe żarty. Na przykład Janek Kobuszewski stawał i mówił tak, jakby recytował „Wielką improwizację": „Leci przez wieś piesek, pewnie się coś stało, gdyby leciał drugi, toby dwóch leciało". To i inne głupoty wkręcałam w wiadomości dnia i popularne programy takie jak „Tele-Echo". Raz tylko obraziła się na mnie Irena Dziedzic, kiedy zrobiłam zupełnie zwariowany program. Maszyniści przez cały czas nosili żelazne łóżko z miejsca na miejsce. „Co jest z tym łóżkiem?", pytali. Ja się wtrącałam: „Pan Hanuszkiewicz kazał nosić do szóstej". Potem bomba wpadła, wszystko poleciało w powietrze. Ukazała się zabandażowana głowa z napisem na czole „Irena Dziedzic" i oznajmiła: „Proszę państwa, to koniec wszystkiego". Jaka była awantura! Bo akurat w tym dniu do Polski przyleciał Chruszczow. Dwa razy byłam zawieszona w telewizji. Raz wyrzucona – za ruskie pierogi.

Czy to będzie PRL, czy Kaczory, czy Tusk, mamy zakodowane w głowie, że wszystko wiemy lepiej.

SZULC: To chyba była wina cenzora, że nie dosłyszał i zaakceptował.

LIPIŃSKA: – W kabarecie Kobuszewski opowiadał Gajosowi dowcip: „W barze mlecznym bufetowa woła: »Kto prosił ruskie?«. Gość ze stolika odkrzykuje: »Nikt, same przyszli«".

eprasa.pl 73236679af

SZULC: Znam tamte realia, po uszach musiał dostać także pani szef, bo czujności wymagano od wszystkich, od pani zresztą pewnie też.

LIPIŃSKA: – Jak to poszło, to Polska gruchnęła śmiechem. Następnego dnia przed budynkiem telewizji spotkał mnie znany wtedy publicysta Ryszard Wojna. Powiedział do mnie: „Pani Olgo, co pani zrobiła?! Przecież pani ugodziła w sojusze". Zawiesili mnie w pracy na osiem miesięcy. Do szefa telewizji Macieja Szczepańskiego przyszły z protestami w mojej obronie delegacje z Róży Luksemburg i z Kasprzaka, a to były wtedy bardzo duże i ważne fabryki. Maciej Szczepański to był wspaniały człowiek. Inteligentny, wykształcony. Machnął na to ręką.

Polakom brak otwartości na inne sposoby myślenia. I ciągle mamy kompleksy, raz, że jesteśmy gorsi, raz, że jesteśmy najlepsi.

SĘKOWSKI: Ten słynny „Krwawy Maciej"? Zwykle jest inaczej przedstawiany.

SZULC: Mimo że to on unowocześnił polską telewizję.

LIPIŃSKA: – Ależ oczywiście. Jego interesował program, a nie ludzie. To znaczy ludzie też, ale nie plotki i nie intrygi. Naprawdę mogę o nim powiedzieć same dobre rzeczy. Wtedy po pierogach wezwano mnie na komisję. Wcześniej miałam się zgłosić u Szczepańskiego. W korytarzu mówili: „Niech pani tam nie wchodzi, bo szef powiedział, że pani nogi z... powyrywa". Jak tylko weszłam, usłyszałam: „Ja panią na ścianie rozmażę! Cholera jasna, mam kłopoty przez panią!". Powołano w sprawie ruskich pierogów komisję, na którą poszedł ze mną prezes Szczepański. W komisji dowiedziałam się, że działam przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Pytali, kto mnie inspirował! Co to za grupa ludzi, co za organizacja? Szczepański, broniąc mnie, powiedział: „Towarzysze, przecież to są artyści. Ja mam z nimi do czynienia. Przecież to jest kupa idiotów. Oni mają w głowie bałagan i śmietnik".

SĘKOWSKI: A więc Szczepański panią sprytnie wybronił.

LIPIŃSKA: – Niezbyt elegancko, ale skutecznie. Naprawdę bardzo go lubiłam. Później został politycznie zniszczony. Zupełnie niesłusznie, bo on jako jedyny pieniądze, które pożyczył Gierek, dobrze wydał. Po prostu unowocześnił telewizję.

DOŁOWY: Kabaret Olgi Lipińskiej po 1989 r. to był ten sam kabaret, co przed stanem wojennym?

LIPIŃSKA: – Stefan Bratkowski mi wtedy powiedział: „Olga, już nie zrobisz teraz kabaretu po przemianach ustrojowych. Co ty będziesz robiła?". Ja mówię: „A dlaczego nie? Myślisz, że wszystko jest teraz cacy?!".

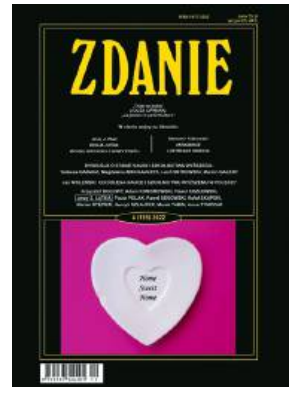

DOŁOWY: No właśnie, nie było wcale cacy. Świetnie było posłuchać i mieć z czego się pośmiać. Czy teraz znów są lepsze czasy na kabaret?

LIPIŃSKA: – Zawsze są dobre czasy na kabaret. A mnie interesowało, co rozumie społeczeństwo z poczynań polityków i z ich działań. Jak to interpretuje. Interesuje mnie, jak nasze społeczeństwo rozumie świat, w którym żyje.

SĘKOWSKI: To samo wyśmiewała pani w Polsce Ludowej i to samo po przemianach. Tę samą mentalność.

LIPIŃSKA: – Nasz charakter, nasze wychowanie, naszą edukację. Nas w Polsce nie uczą myślenia, logicznego myślenia. Uczymy się wierszyków na pamięć. Mickiewicza, Słowackiego. I dochodzą do tego niestety nauki Kościoła. Taki jest konglomerat naszej edukacji, formuje nam mentalność. Czy to będzie PRL, czy Kaczory, czy Tusk, mamy zakodowane w głowie, że wszystko wiemy lepiej. Polakom brakuje otwartości na inne sposoby myślenia. I ciągle mamy kompleksy, raz, że jesteśmy gorsi, raz, że jesteśmy najlepsi.

DOŁOWY: To jest ten sam kompleks.

SĘKOWSKI: Zakrywanie poczucia niższości zewnętrzną megalomanią.

LIPIŃSKA: – Nasz charakter narodowy przejawiał się też w triumfalizmie Solidarności, od samego początku, od 1980 r. Bardzo mnie zraziło do Solidarności to, jak brzydko rozprawiono się z Maciejem Szczepańskim w telewizji. Te dęte oskarżenia o luksusowe wydatki, opowiadania o jachcie ze złotymi klamkami. To wszystko była nieprawda. A ja przecież początkowo nawet byłam w Solidarności, wszyscyśmy byli.

W moim programie nie znajdziecie niczego chamskiego, flagi ani hymnu nie ośmieszałam.

SZULC: W PZPR też pani była?

LIPIŃSKA: – Nigdy nie byłam w żadnej organizacji, oprócz „partii Kultura". A w Solidarności byłam, kiedy wszyscy w niej byli. Tylko że później już nie akceptowałam tej organizacji, podobnie jak Lecha Wałęsy jako prezydenta. Tak naprawdę można powiedzieć, że w Solidarności byłam, jak jeszcze Solidarności nie było. Robiłam swoje, wyśmiewałam polskie przywary, nigdy jednak nie atakowałam imponderabiliów, nigdy nie śmiałam się z ważnych narodowych rzeczy. W moim programie nie znajdziecie niczego chamskiego, flagi ani hymnu nie ośmieszałam.

Patrycja Dołowy, Paweł Sękowski, Marian Szulc

Warszawa, 18 listopada 2022 r.

Wywiad ukazał się w najnowszym numerze „Zdania", 4/2022, w wersji elektronicznej dostępnym na sklep.tygodnikprzeglad.pl, w wersji papierowej do nabycia w empikach.

eprasa.pl 73236679af

Litwiniec i kundlizm

Bogusław Litwiniec wiedział, że główne starcie między lewicą a prawicą rozgrywa się na polu kultury

Radosław S. Czarnecki

3 stycznia na cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu, przy dźwiękach jazzowego big-bandu, kilkaset osób pożegnało Bogusława Litwińca, osobistość i genialnego człowieka, nazywanego w środowisku wrocławskiej bohemy „Padre". Bogusław Litwiniec nie jest wielowymiarową legendą, jak chcą go zakwalifikować dzisiejsi autentyczni i okazjonalni admiratorzy. Bo legendy przynależą do czasu przeszłego. A on jest rzeczywistością kilkudziesięciu lat z życia Wrocławia, Dolnego Śląska, Polski, a nawet Europy i świata. Choć wielu chciało go pomniejszyć, uciszyć, utrącić jego kolejne przedsięwzięcia, by nazwisko Litwiniec zostało zapomniane.

Bogusław Litwiniec zawsze był kojarzony z lewicą. Był aktywny bez względu na ustrój, polityczne afiliacje ludzi władzy, klimat polityczny w naszym kraju. Bo jako człowiek lewicy wiedział doskonale to, czego większość dzisiejszych tzw. lewicowców nie rozumie – że główne, uniwersalne, ponadczasowe starcie między lewicą a prawicą rozgrywa się na polu kultury. W tym zawiera się testament, jaki zostawił Litwiniec działaczom i politykom mieniącym się polską lewicą.

Ideom socjalistycznym wierny był przez całe życie, bo kierowała nim zasada: z ludźmi dla ludzi. Czy dzisiejsi polscy lewicowcy z tych drogowskazów potrafią skorzystać? Czas pokaże.

Bogusław Litwiniec zawsze był kojarzony z lewicą.

Był nie tylko wielkim artystą. Będąc zdeklarowanym socjalistą, całą twórczością i działaniem społecznym pokazał, że lewica musi być przesiąknięta ideami społecznej sprawiedliwości, walki z wyzyskiem oraz nierównościami ekonomicznymi i społecznymi, internacjonalizmu.

Bogusław Litwiniec to również były senator RP, europarlamentarzysta, twórca kultury w najszerzej rozumianym wymiarze, reżyser, aktor, pomysłodawca wielu inicjatyw kulturalno-społecznych. O atmosferze i obyczajach w dzisiejszej RP niech świadczy fakt, że nad urną z jego prochami nie pochylił się nikt oficjalnie wydelegowany przez Senat RP. Prywatnie, jako długoletni przyjaciel domu Litwińców, także jako członek stowarzyszenia byłych parlamentarzystów RP, pożegnał zmarłego Jacek Uczkiewicz.

„Padre" od 1957 r. kierował założonym przez siebie studenckim Teatrem Kalambur, a w latach 1967-1993 był organizatorem i szefem rozsławiającego Wrocław na całym świecie przedsięwzięcia pod nazwą Międzynarodowy Festiwal Teatru Otwartego (do 1975 r. był to Festiwal Festiwali Teatrów Studenckich). W 1975 r. ogłosił manifest „21 przekonań sztuki otwartej", będący esencją kontrkultury. Był też zaangażowany w wiele inicjatyw kulturalnych, takich jak Ośrodek Teatru Otwartego „Kalambur" czy Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu. Współtworzył i redagował miesięcznik „Śmiech Europy", należał do założycieli Stowarzyszenia Europejskich Więzi we Wrocławiu.

By tekst nie przerodził się w encyklopedyczny, beznamiętny zbiór informacji o tym wybitnym człowieku – żywym, twórczym, aktywnym do ostatnich swoich dni – wystarczy ten fragment podsumować w taki oto sposób: odszedł człowiek orkiestra, człowiek instytucja, gigant działalności kulturalnej i intelektualnej.

W 2016 r. Wrocław był Europejską Stolicą Kultury. Miasta z tym tytułem przez rok skupiają na sobie uwagę całej Europy. Tym samym mają niepowtarzalną szansę nie tylko wnieść wkład w rozwiązywanie kwestii ważnych dla Starego Kontynentu, ale przede wszystkim przyśpieszyć swój rozwój, zyskać skuteczną promocję, pokazać swoje dotychczasowe, historyczne osiągnięcia i dokonania. Twórcy strategii i planów, które przyniosły Wrocławiowi sukces w postaci przyznania mu miana ESK, od początku zderzyli się z blokadą uwzględniania w jakikolwiek sposób w ramach tych obchodów nazwiska czy dorobku Bogusława Litwińca. Był to skandal, pokazujący miałkość ludzi z ratusza. Trzeba tu dodać, że

eprasa.pl 73236679af

Pod kaplicą, gdzie wystawiono urnę z prochami Bogusław Litwińca, zaprezentowano kilka z „21 przekonań sztuki otwartej".

od 1990 r. miastem de facto zarządza ta sama opcja polityczno-społeczna, o tych samych korzeniach i afiliacjach. Różnice i kontrowersje programowe uwidaczniające się przed wyborami samorządowymi są w zasadzie drugo- czy nawet trzeciorzędne. A gorące zapewnienia wrocławskich polityków o ich demokratycznej, liberalnej, progresywnej i europejskiej proweniencji właśnie w takich sytuacjach zostają zweryfikowane.

Przejawem hipokryzji było nie tyle pojawienie się wrocławskich notabli na pogrzebie Bogusia Litwińca, ile nieszczere żale podkreślające jego rolę, znaczenie, dorobek dla miasta i regionu. Podsumowanie tego smutnego dnia odbyło się w pomieszczeniach kawiarni Kalambur i sąsiadującej z nią galerii oraz miejscu dyskusji zwanym Kalaczakra. Nad tymi pomieszczeniami znajduje się niemal nie używana dziś sala Teatru Kalambur. Litwiniec od wielu lat zabiegał u władz różnych szczebli – nie tylko w ratuszu, ale i w ministerstwach – o możliwość użytkowania czy przejęcia (ponownie) tej sali. I ciągle spotykał się z odmową, głównie na poziomie lokalnym. Podczas pożegnania i rozmów w kawiarni odtworzono na ekranie – ku pamięci – sytuację, kiedy Litwiniec, uderzając pięścią w stół, mówi zdenerwowany: „Dwa ministerstwa się zgodziły, a Zdrojewski powiedział nie".

Bogusław Litwiniec jako osoba kojarzona z lewicą, a jednocześnie tytan najszerzej rozumianej kultury, stanowił nie tylko zagrożenie dla mentalności miejskich urzędników zajmujących się kulturą bądź polityką lokalną. Był także dowodem, że dorobek i materialne dziedzictwo Polski nie zaczęły się w 1990 r., a to, co było przedtem, nie było „czarną dziurą". Niewątpliwie Bogusław Litwiniec to uosobienie zjawiska bezcennego, ale wciąż niedocenianego, jakim dla całej przestrzeni publicznej był fenomen kultury studenckiej lat 60. i 70. XX w. Czasu Polski Ludowej.

Melchior Wańkowicz ukuł pojęcie kundlizmu, określając nim wiele negatywnych cech charakterystycznych dla Polek i Polaków. Kundlizm występuje tam, gdzie własne interesy przedkładane są nad interesy innych ludzi – państwa, społeczeństwa, a towarzyszy temu zazwyczaj poniżenie, podeptanie godności innych ludzi, przemilczanie itd. To typowy przykład mentalności plemiennej, wsobnej, małostkowej i zazdrosnej. Nie ma więc co dziwić się marnej jakości demokracji liberalnej w Polsce. Kundlizm bowiem ma się nad Odrą, Wisłą i Bugiem całkiem dobrze.

Dorobek Bogusława Litwińca powinien stanowić drogowskaz dla tych wszystkich, którym drogie są ideały będące „od zawsze" istotą lewicowości: sprawiedliwość społeczna, równość szans, pluralizm poglądów, szacunek dla odmienności, tolerancja i zrozumienie innego człowieka. Warto w tym miejscu poinformować, że powstałe i oficjalnie zarejestrowane Stowarzyszenie Przyszłość, Socjalizm, Demokracja ma w zakresie swojej aktywności szerzenie ideałów tak bliskich twórczości Bogusława Litwińca. Stanowi ono płaszczyznę wymiany doświadczeń, poglądów, idei i pomysłów dla najszerzej pojętej lewicowości. ■

Odszedł człowiek orkiestra, człowiek instytucja, gigant działalności kulturalnej i intelektualnej.

FOT. PAWEŁ KOZIOŁ/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 73236679af

Nie chcemy litości

Malują stopami i ustami, bo rękami nie mogą. Jednak artyści z niepełnosprawnością nie potrzebują litości, ludzie na całym świecie kupują ich prace

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Monika Dembińska-Sawejko najchętniej siedzi na łóżku w swoim królestwie – większym pokoju niewielkiego M-3 na bydgoskim osiedlu Wyżyny. Na wyciągnięcie ręki ma biurko z dziesiątkami słoiczków, tubek, kubeczków i pędzli oraz niewielką sztalugą z małym obrazkiem. Ale i tak, żeby się przesiąść z łóżka na fotel przy sztaludze, potrzebuje pomocy męża. Mirosław Sawejko z wprawą wspiera drżące ruchy pani Moniki. Jeszcze odrobina wysiłku obojga i artystka siedzi w fotelu. Już może malować kolejny akrylowy pejzaż. Pędzel chwyta lewą stopą.

– Czy trudno jest malować nogą? Dla mnie to proste – zapewnia. – Przecież ja nogą potrafię szyć, wyprasuję koszulę, obiorę ziemniaki, cebulę, włoszczyznę, pokroję kiełbasę. To, co sprawna kobieta robi rękami, ja robię nogami. Chwytam lewą nogą i przytrzymuję prawą. Również piszę, choć nie najwyraźniej. Osobiście wypełniam wszystkie kwity na opłaty. Sama się czeszę, potrafię się wymalować – z dumą w głosie wylicza pani Monika. – Jak mężowi nie chce się robić śniadania, to sama sobie smaruję chleb pasztetem, kładę wędlinę.

Umierałam dwa razy

Gdy Monika po długim, 48-godzinnym porodzie w końcu przyszła na świat, lekarze stwierdzili niedotlenienie mózgu i dziecięce porażenie mózgowe. Nie dawali szans na przeżycie. Wkrótce zdiagnozowali: choreoatetoza – zaburzenie neurologiczne objawiające się mimowolnymi ruchami kończyn.

– W ciągu pierwszej doby umierałam dwa razy – opowiada 48-latka, która nie ma władzy nad rękami i porusza się z trudem, tylko jeśli ktoś jej pomoże. Nawet gdy siedzi, jej ciało wykonuje dziesiątki nieskoordynowanych mikroruchów. Mówi trochę niewyraźnie. Dziś nie chce się zastanawiać, dlaczego w dużym szpitalu w wojewódzkim mieście lekarze nie zdecydowali się na cesarskie cięcie. – Po co rozpamiętywać? – pyta. – To już nic nie da.

Długo było bardzo źle. Monika nie mówiła, nie chodziła. Tata, elektromonter, złota rączka, sam zrobił wózek na dużych kołach, którym państwo Dembińscy wozili córkę. Pani Monika: – Dopiero w wieku czterech-pięciu lat zaczęłam mówić. Gdy miałam sześć lat, w sanatorium nauczyli mnie chodzić. I to w Busku-Zdroju lekarz orzekł, że nie ma sensu nadal pracować nad usprawnieniem dłoni, bo przecież nastąpiło uszkodzenie mózgu i funkcje rąk przejęły nogi. W moim przypadku tą sprawniejszą jest lewa stopa. Mama nigdy nie pogodziła się z moją niepełnosprawnością i pozwalała mi – swojej jedynaczce – robić wszystko, co byłam w stanie. Dzięki temu nauczyła mnie, jak radzić sobie w życiu.

Pani Monika skończyła szkołę podstawową i zawodową, bez nauki zawodu, w trybie nauczania domowego. Lubiła rysować i marzyła o bydgoskim liceum plastycznym. Ale wtedy dla malującej stopą dziewczyny drzwi plastyka były zamknięte. Na szczęście trafiła na warsztaty dla osób niepełnosprawnych. Tam w 1996 r. fachowym okiem oceniono prace i uznano, że warto skontaktować utalentowaną dziewczynę z „Raciborzem". – Trwało rok, zanim mnie przyjęli. Bo bardzo trudno tam się dostać. I teraz jestem stypendystką z Liechtensteinu – mówi z dumą.

Pomóżmy sobie sami

„Racibórz" to Wydawnictwo Artystów Malujących Ustami i Nogami AMUN, które tam się mieści. – Trudno się dostać? Przyjmujemy niemal wszystkich – twierdzi Dorota Bakaj, dyrektorka AMUN. – Z doświadczenia wiem, że niepełnosprawni artyści są wobec siebie bardzo krytyczni. I to raczej oni – poleceni przez kogoś – uważają, że ich prace są słabe, nie nadają się. Zapraszamy na plener. I zwykle okazuje się, że malują świetnie. Plener jest również sitem mającym odsiać tych, którzy zapewniają, że malują ustami czy nogami, a tak naprawdę używają rąk albo ktoś inny im pomaga. Bo i takie przypadki – niestety – się zdarzają. Zanim przyjmiemy artystę, musimy mu się przyjrzeć, a to trochę trwa.

Wydawnictwo AMUN jest jedynym w Polsce i jednym z 46 rozsianych po całym świecie wydawnictw, które zajmują się promowaniem i wydawaniem reprodukcji prac twórców skupionych w Światowym Związku Artystów Malujących Ustami i Nogami (ŚZAMUN) w Liechtensteinie. Związek został założony w 1956 r. przez ośmiu malujących nogami lub ustami, którzy chcieli pomóc sobie i innym artystom z niepełnosprawnościami, żeby mogli żyć z uprawiania sztuki. Dożywotnim szefem został niemiecki malarz Arnulf Erich Stegmann (gdy miał dwa lata, na skutek polio stracił władzę w rękach i malował ustami). Kierował do

eprasa.pl 73236679af

Monika Dembińska-Sawejko: Nogą potrafię szyć, wyprasuję koszulę, obiorę ziemniaki, cebulę, włoszczyznę, pokroję kiełbasę.

Bartek Ostałowski: Jestem kierowcą i malarzem. Driftuję i maluję nieco abstrakcyjną rzeczywistość.

śmierci także spółką, która do dziś – sprzedając reprodukcje prac swoich członków i stypendystów – wypracowuje zysk i daje im solidne comiesięczne źródło utrzymania. ŚZAMUN często podkreśla, że nie proszą o litość, bo wypracowują dochód, który dzielą między siebie. Zysk jest spory. Niemiecki Centralny Instytut Spraw Społecznych uznał, że związek jest przedsiębiorstwem komercyjnym, a nie organizacją samopomocową. Dziś zrzesza ok. 800 artystów z 74 krajów. Obecnym prezesem jest Serge Maudet.

AMUN stoi w rozkroku między komercją a samopomocą. Dorota Bakaj: – Skupiamy 26 niepełnosprawnych artystów i chętnie przyjmiemy następnych pod swoje skrzydła. Wśród nich są i tacy, którzy jeszcze się uczą. Poziom ich prac ciągle nie jest zadowalający. Nie reprodukujemy ich obrazów. Czekamy. Ale i oni co miesiąc otrzymują godziwe stypendium – tak jak inni stypendyści. Natomiast członkowie ŚZAMUN dostają wynagrodzenie powiązane z zyskiem firmy. Wśród członków jest obecnie czterech Polaków, światowa ekstraklasa artystyczna: Staszek Kmiecik i Krzysztof Kosowski malujący ustami i stopami oraz Mariusz Mączka i Walery Siejtbatałow, którzy swoje prace tworzą tylko ustami.

AMUN działa w Polsce już 30 lat. – W 1992 r. zaproponowano mi, absolwentce ekonomii na urlopie wychowawczym, prowadzenie wydawnictwa niepełnosprawnych artystów w Polsce – wyjaśnia Dorota Bakaj. – Już wtedy dziewięcioro artystów z naszego kraju należało do ŚZAMUN. Ponieważ nic nie wiedziałam o tym środowisku, postanowiłam poznać artystów. Chciałam wiedzieć, z kim mam do czynienia.

eprasa.pl 73236679af

Zaprosiłam ich na spotkanie do Gliwic. Przyjechali też przedstawiciele związku. Ułożyłam sobie zgrabny plan. Miało być tak fajnie, a na początku był czysty horror. Pierwszy artysta, który zabrał głos – wada wymowy, drugi – również. Miałam ich tłumaczyć, a nie wiedziałam, o czym mówią. Hotel był nieprzystosowany. A przecież ten bez rąk, tamten bez nóg. W końcu zaczęłam łykać tabletki na uspokojenie – śmieje się dziś pani Dorota, ale wtedy nie było jej do śmiechu. Przyznaje: – Popełniłam na początku wiele gaf, choćby z nazwą wydawnictwa, która początkowo brzmiała Wydawnictwo Kalekich Artystów. Zaprotestowali stanowczo. „Jacy my kalecy?", pytali. Nie czuli się kalekami. Wtedy nie wiedziałam, że takie określenie ich rani. Ja w słowie kaleki nie widziałam nic złego, bo inna była wrażliwość na początku lat 90. Oczywiście szybko zmieniliśmy nazwę. Nauczyłam się wiele, np. tego, że do artysty nie dzwoni się przed godz. 11. Niepełnosprawność nic tu nie zmienia.

Wydawnictwo AMUN jako jedyne w Polsce zajmuje się wydawaniem reprodukcji prac twórców skupionych w Światowym Związku Artystów Malujących Ustami i Nogami.

Rockandrollowiec z Krakowa

Wśród tych pierwszych dziewięciorga artystów – akuszerów raciborskiego AMUN – był Stanisław Kmiecik. Urodził się 52 lata temu w Łososinie Dolnej pod Nowym Sączem. Bez rąk. – Nie przeszkadzało mi to w malowaniu, bo dzieci zawsze malują, jak się nudzą – wspomina Kmiecik, dziś mieszkający w Krakowie. – Tylko że kredki trzymałem stopami, rzadziej ustami. I tak mi zostało. Maluję prawą stopą i ustami. Ale w piłkę gram lewą. – Lewą też prowadzisz auto – dopowiada żona, Monika Woszczyńska-Kmiecik.

Stanisław Kmiecik: – Rodzice (mama pracowała w biurze w kamieniołomach klenczańskich, a tata był maszynistą na kolei) moim dziecięcym rysowaniem nie zaprzątali sobie głowy. W czasach licealnych, gdy byłem w sanatorium, przyjechała dziennikarka z tygodnika „Zorza" i po obejrzeniu moich prac zaczęła mnie zachęcać, żebym wziął się do malowania na serio i wstąpił do Światowego Związku Artystów Malujących Ustami i Nogami. Przekonywała, że mogę z tego się utrzymać, wybudować własny dom. Pod jej wpływem przestałem rysować kowbojskie głupoty i zająłem się motywami, których ŚZAMUN potrzebuje do swoich kart i kalendarzy. Zgłosiłem się, wysłałem swoje prace. Wkrótce przyjechał do mnie osobiście późniejszy prezes związku Eros Bonamini. Chciał zobaczyć, jak maluję. I w 1989 r., na chwilę przed 18. urodzinami, zostałem stypendystą związku. Złapałem wiatr w żagle. Postawiłem na malarstwo. Odtąd ładne motywy maluję dla AMUN, a to, co mi w duszy gra i nie jest takie ładne, dla siebie. Zawsze tak było. Pamiętam konkurs w szkole o Oświęcimiu „Nigdy więcej wojny". Dzieci kopiowały ilustracje z książek historycznych, a ja namalowałem wisielca w sepiach. One dostały wielkie nagrody, a ja tylko wyróżnienie. To wtedy zrozumiałem, że będę szedł swoją drogą, choć nie będzie łatwo. Mam rockandrollową duszę.

– Staszek to świetny artysta, nasza światowa czołówka, od lat już członek ŚZAMUN – chwali Dorota Bakaj. – On lubi malować publicznie. Wtedy rozkwita. W tym roku odbędą się wybory do zarządu spośród członków. Naszym marzeniem jest, żeby do władz związku wszedł albo Stanisław Kmiecik, albo Mariusz Mączka.

Driftuje i maluje

– Staszek Kmiecik chętnie podpowiada. To wiele daje – potwierdza 36-letni Bartek Ostałowski spod Krakowa, stypendysta Liechtensteinu, który w wypadku,16 lat temu, stracił obie ręce. – W wakacje po pierwszym roku studiów jechałem

eprasa.pl 73236679af

Stanisław Kmiecik na zorganizowanym przez AMUN plenerze malarskim w Wiśle.

– Maluję prawą stopą i ustami. Ale w piłkę gram lewą – mówi Stanisław Kmicik. A żona Monika Woszczyńska-Kmiecik dopowiada, że lewą też prowadzi auto.

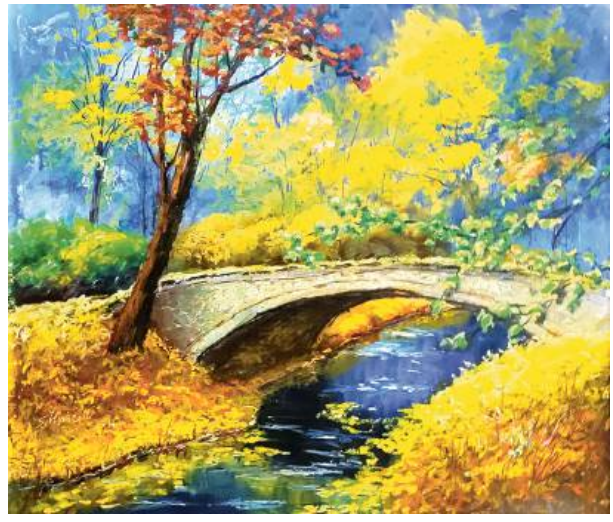

Staszek to świetny artysta, nasza światowa czołówka – chwali dyrektor Dorota Bakaj.

motocyklem za kolegą. Nagle między nas wjechał samochód i zajechał mi drogę. Ratując się przed zderzeniem, ślizgiem położyłem motocykl na asfalcie. Wydawało się, że wszystko dobrze się skończy, ale motocykl wraz ze mną przesuwał się dalej i wpadł na starą, zarośniętą barierkę na poboczu drogi. Musiałem tak pechowo w nią uderzyć rękami, że lekarze zadecydowali o ich amputacji. Moje życie w jednej chwili wywróciło się do góry nogami. Uznałem, że to koniec marzeń o karierze rajdowca, koniec z malowaniem.

Wtedy bardzo mu pomogła Kasia Rogowiec, biathlonistka, paraolimpijka, też bez rąk. Gdy miała trzy lata, tata podczas prac polowych odciął jej obydwa przedramiona. Ostałowski: – Choć jej wcześniej nie znałem, przyjechała do mnie do szpitala i tak po ludzku powiedziała: „Bartek, to jeszcze nie jest koniec świata. Możesz znaleźć jakieś rozwiązanie dla siebie". Uwierzyłem, ale na początku nie było łatwo. Dopiero gdy wsiadłem za kierownicę i zacząłem pierwsze starty, wszystko powoli zaczęło się układać. Zostałem jedynym kierowcą sportowym prowadzącym auto tylko za pomocą nóg, a klinika Hanger specjalizująca się w ortopedii i protetyce zaprosiła mnie do USA, zaskoczona poziomem moich umiejętności w kierowaniu autem bez rąk. I to już rok po wypadku. Chcieli, żebym im pokazał, jak się uczyłem na nowo kierować. W zamian oni zobowiązali się wdrożyć mnie do samodzielności w normalnym życiu, bo ja wtedy nawet nie umiałem przygotować sobie posiłku. Pojechałem (z kilkoma przesiadkami, co było bardzo stresujące) na miesiąc i wiele skorzystałem. Nauczyli mnie samoobsługi. To bardzo ważne.

A Kmiecik, który wcześniej pokazywał mu, jak bez rąk można kierować autem, zachęcił go do malowania. – Od niego uczyłem się, jak trzymać pędzel nogą. On wprowadził mnie do AMUN. Znałem ich wcześniej, bo mój tato kupował od nich kalendarze. Ale wtedy w głowie mi się nie mieściło, że można malować bez rąk i że dołączę do tego grona. Pojechałem na plener, ciepło mnie przyjęli, zachęcili. Po setkach godzin, w których nieraz rzucałem pędzlem, bo noga łapała skurcze albo kreska nie była tak prosta, jak chciałem, w końcu szło mi coraz lepiej. Wkrótce zostałem stypendystą ŚZAMUN. Życie ponownie zaczęło mi smakować.

Teraz 36-latek żyje, jakby nic się nie stało. Ukończył mechanikę i budowę maszyn. Został inżynierem. Ale pytany o zawód mówi: – Jestem kierowcą i malarzem. Driftuję i maluję nieco abstrakcyjną rzeczywistość.

W listopadzie ub.r. na lotnisku w Pile ustanowił rekord Guinnessa w prędkości driftu, czyli jazdy w kontrolowanym poślizgu, w samochodzie prowadzonym stopą. Pędził 277 km/godz. swoim bmw E92, wyposażonym w siedmiolitrowy silnik o mocy 1000 KM. Uzyskał rekordowe 231 km/godz. w momencie poślizgu. – Czy podczas driftowania widzę tylko siwy dym? Dym zostaje z tyłu. Większość osób myli drift z paleniem gumy. A tak naprawdę to jest jazda w kontrolowany sposób, bardzo precyzyjna. Wszystko widać na filmie dostępnym w internecie: www.youtube.com/watch?v=omp159ay6ok.

Dam ci swoje ręce

Pani Monika z Bydgoszczy została stypendystką Liechtensteinu w 1997 r. – Co trzy lata umowa jest ze mną przedłużana. I mam nadzieję, że tak będzie do śmierci. Dzięki temu stypendium mogę godnie żyć

FOT. MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ, ARCHIWUM WYDAWNICTWA ARTYSTÓW MALUJĄCYCH USTAMI I NOGAMI AMUN, ARCHIWUM PRYWATNE (3)

eprasa.pl 73236679af

i spokojnie malować – podkreśla. Na ścianach pokoju wiszą jej wczesne prace, m.in. portret tygrysa wykonany ołówkiem, bydgoska katedra akrylami i pejzaże. Dzięki malowaniu dostaje stypendium, ale to ciągle hobby i przyjemność. – Maluję, kiedy mam natchnienie, kiedy dobrze się czuję. Poprawiam aż do skutku. Aż wyjdzie. Maluję ze zdjęcia, z ilustracji książkowej, coraz rzadziej w plenerze, bo pięć lat temu skręciłam nogę i już nie chodzę samodzielnie.

W 2000 r. wyszła za mąż za chłopaka z Mazur. Mirosław Sawejko: – Poznaliśmy się przez gazetę „Anonse". Miałem 29 lat. Byłem w zakładzie karnym. Pamiętam, że tego dnia jedliśmy bigos z ziemniakami, gdy oddziałowy wrzucił nam gazetę. Przeczytałem, że niepełnosprawna 25-latka poszukuje drugiej połówki. Odpisałem. Przyjechała na widzenie raz, drugi, trzeci. I tak się zaczęło.

Ją ujęło, że w jednym z pierwszych listów napisał: „Dam ci swoje ręce". I pisał do niej co tydzień, także wiersze. Jemu spodobał się jej charakter, ciepło, serce. Nie było im łatwo. Jego ojciec, gdy pierwszy raz ją zobaczył, rozpłakał się. Jej tata nie akceptował zięcia. Pani Monika: – Szukałam partnera. I znalazłam. Najważniejsze, że chciał się zaopiekować niepełnosprawną i zaopiekował się. Nie jest idealnie. Kryzysów nam nie brakowało, ale przetrwaliśmy.

Teraz, po śmierci rodziców, jego wsparcie jest szczególnie ważne. – Bez Mirka trafiłabym do domu opieki społecznej – nie ma złudzeń Monika Dembińska-Sawejko.

Bydgoszczanka rzadko przyjeżdża na plenery. – Szkoda, bo na plenerach nie tylko się poznajemy, integrujemy, ale również jest sposobność ulepszania warsztatu pod okiem instruktorów malarstwa, a nawet utytułowanych artystów, takich jak prof. Andrzej Grzelachowski-Aga z poznańskiej ASP, który towarzyszył nam przez wiele lat – ubolewa Dorota Bakaj. – Artyści uczą się też wzajemnie. Jak trzymać ołówek w ustach, mogą się dowiedzieć tylko od siebie. Albo jak sobie ułatwić życie. Jeden z naszych artystów skonstruował specjalną łyżkę. Ich pomysłowość nie zna granic. Każdy jest niepowtarzalny, niepodrabialny, interesujący.

AMUN organizuje w każdym roku jeden plener i kilka wystaw, m.in. dwa razy – na przełomie lat 1998 i 1999 oraz w 2000 r. – w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Zarabiamy pracą

Dorota Bakaj: – Wiele osób pyta, jak nam pomóc. Chcą ofiarować 1% podatku. Ale my – podkreślmy – nie jesteśmy instytucją pożytku publicznego. Nie prosimy o pieniądze. Pracą zarabiamy na swoje utrzymanie. AMUN jest spółką z o.o. Kto chce, może pomóc, kupując wydawane przez nas kartki świąteczne i okolicznościowe oraz kalendarze. Dwa razy w roku wysyłamy komplet kartek bezpośrednio do domu, ale można wejść na stronę internetową wydawnictwa i zamówić. To najlepsze wsparcie naszej działalności. Czas jest trudny, ludzie wysyłają pocztą mniej życzeń. Dlatego myślimy o kartce elektronicznej. Jednak mamy nadzieję, że wróci do nas moda wysyłania pięknych kart pocztowych, co obserwujemy właśnie w USA.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

Strona internetowa wydawnictwa AMUN: amun.com.pl

KSIĄŻKI

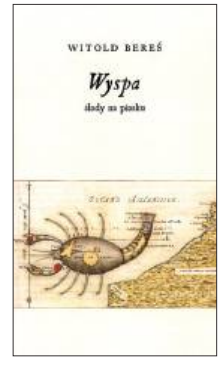

Witold Bereś
Wyspa
Ślady na piasku
Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2022

Książka poświęcona pamięci Jerzego Treli to kontynuacja esejów „Zaraza. Lekcja nieprzerobiona" i „Statek głupców. Biedni Polscy patrzą na Usnarz". Tekst powstawał podczas długich spacerów po plażach Fuerteventury. Traktuje o przemijaniu, ale i o trwałości pewnych postaw.

Jan Miodek
Polszczyzna
200 felietonów o języku
Znak, Kraków 2022

O wyższości kartofla nad ziemniakiem, o tym, kim są milenialsi ze Zbawixa, o kryzysie wołacza, odwrocie celownika i innych językowych rozkminach. Przede wszystkim zaś o stanie współczesnej polszczyzny pisze legenda językoznawstwa.

Jakub Gałęziowski
Niedopowiedziane historie
Polskie dzieci urodzone z powodu wojny
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

Książka dotyczy dzieci urodzonych z powodu wojny, wojennej przemocy seksualnej. A także tużpowojennych aborcji i samodzielnego macierzyństwa. Tematy te wciąż są białymi plamami w polskiej historiografii, w narracji o II wojnie światowej i jej społecznych konsekwencjach.

eprasa.pl 73236679af

MIĘDZY OKŁADKAMI

Daphne du Maurier
Kozioł ofiarny
tłum. Magdalena Słysz
Albatros, Warszawa 2022

W Serii Butikowej Albatrosa mamy już cztery powieści Daphne du Maurier, a wkrótce dołączą opowiadania ze słynnymi „Ptakami" na czele. Kolekcja zarówno ciesząca oko, jak i sycąca głód literacki. Tym razem autorka umieściła wydarzenia w powojennej Francji, gdzie nie zatarły się jeszcze wspomnienia z okupacji – gorzkie, o przykrywaniu patriotycznym wzmożeniem prywatnych porachunków. W dworcowym barze w Le Mans narrator, jakby w odpowiedzi na depresyjne myśli o jałowości dotychczasowego życia i wyobcowaniu, natyka się na sobowtóra. John i Jean. Anglik, samotny wykładowca historii Francji, i francuski hrabia, obarczony toksyczną jego zdaniem rodziną. Rzeczywiście rodzinne relacje są szczególne i to John musi się w nich odnaleźć, podstępnie wplątany przez człowieka, który wydaje się emanacją jego ciemnej strony. Opisując pułapki zamiany tożsamości, du Maurier stworzyła doskonały thriller, w którym ścierają się lepsza i gorsza część ludzkiej natury.

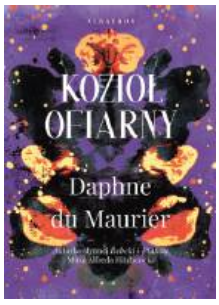

Aleksandra Pańko

Małgorzata Trębicka
Zapach kadzidła
Wydawnictwo Novae Res, Gdynia 2022

Debiutancka powieść Małgorzaty Trębickiej, dziewczyny spoza środowiska literackiego, zajmującej się na co dzień nowymi technologiami, to książka solidna, choć niezbyt zaskakująca formalnie i fabularnie. Jeszcze do niedawna można by ten tytuł umieścić na półce z tzw. literaturą kobiecą. Opowieść jak z serialu – poznajemy rozterki trzydziestoparoletnich kobiet z klasy średniej żyjących w Londynie. Miłość, przyjaźnie, romanse, potrzeba wolności i poczucie wstydu. Egzotyczne podróże, szara codzienność, która czasem jednak bywa barwna. Na pewno lektura może wciągnąć, pomimo pewnych braków warsztatowych – urwanych wątków, niedokończonych dialogów i pobieżnie skonstruowanych postaci. „Zapach kadzidła" zapewne znajdzie grono wielbicielek, autorka zaś pomysły na kolejne książki.

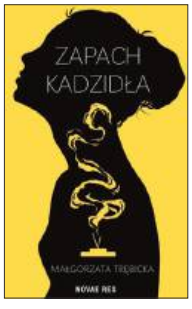

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

A może byśmy…

Ledwie kilka taktów wystarczało, aby publiczność odpowiadała oklaskami. Słuchała jak zaczarowana ekspresją i oryginalnością tego ujęcia piosenek Ewy Demarczyk. O niebywałym sukcesie spektaklu zadecydowała wyrafinowana forma wykonania. Widownia odwdzięczyła się długotrwałą owacją na stojąco. Teatr Polonia w zapowiedzi tego wieczoru piosenek legendarnej artystki, zatytułowanego „Czarne anioły", określił go mianem koncertu. Tak zresztą się zaczyna – od tej potężnej pieśni do tekstu Wiesława Dymnego, z muzyką Zygmunta Koniecznego. Szalona swoboda operowania głosem, który wydawał się instrumentem bez granic, służącym do wydobywania półcieni i drgnień emocji, budziła prawdziwy zachwyt – Natalia Sikora bowiem, choć nie to było przecież celem jej spektaklu – dawała pokaz maestrii warsztatowej najwyższego lotu, choćby wtedy, kiedy sięgała po tak ryzykowny na scenie efekt jak szept albo gdy robiła dramaturgiczny i muzyczny użytek z pauzy. Wspaniałą pauzę, zasługującą na szczególne podkreślenie, wykorzystała w znanym szlagierze „Rebeka" do tekstu Andrzeja Własta, czyniąc z melodramatycznego kawałka poruszające arcydzieło.

Oto powiew świeżości w odkrywaniu nieprzemijającego piękna śpiewanych przez Demarczyk utworów, w których w wykonaniu Sikory spotykają się współczesna wrażliwość, gorąca emocjonalność i melancholia.

Tomasz Miłkowski

Natalia Sikora, „Czarne anioły… wyprowadzę z rzeczy cienie…", kierownictwo muzyczne i aranżacje Hadrian Filip Tabęcki, zespół Tango Attack, Teatr Polonia, premiera 10 stycznia 2023

SERIAL

The Last of Us
twórcy Craig Mazin i Neil Druckmann, dostępny w HBO Max

Rok 2023. 20 lat po globalnej pandemii świat jest w rozsypce, nic nie wygląda jak dawniej, źródła zarażenia nadal są aktywne, a ocaleni walczą o przetrwanie, organizując podziemie przeciw reżimowi wojskowemu. Jeden z nich, Joel (świetny Pedro Pascal), doświadczony przez życie, zresztą jak inni, dostaje zadanie przemycenia z miasta 14-letniej Elli, która może być nadzieją dla całej ludzkości. Brzmi jak kolejny armagedon z zombiakami na pokładzie, czyli coś, co już widzieliśmy, bo upadek cywilizacji to temat intensywnie eksploatowany. Zaskakująco dobrze jednak się to ogląda, choćby dzięki temu, że twórcy uniknęli patosu, tak narzucającego się przy podobnej tematyce. Na uwagę zasługuje także graficzny i scenograficzny rozmach serialu opartego na słynnej grze wideo. Warto zobaczyć.

Agata Gogołkiewicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF OPALIŃSKI, HBO (2), MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 73236679af

Wydani przez polskich zdrajców

80 lat temu rozstrzelano dowódców Obwodu Oświęcimskiego AK, którzy nieśli pomoc więźniom Auschwitz

Egzekucja pod Ścianą Straceń. Obraz byłego więźnia Władysława Siwka.

Adam Cyra

Postać komendanta Obwodu Oświęcimskiego Armii Krajowej, ppor. rez. Alojzego Banasia, ps. „Zorza", „Olcha", należy do tych niezwykłych, ale mało znanych. Zginął za udział w konspiracji na terenie Oświęcimia i niesienie pomocy więźniom niemieckiego obozu Auschwitz w pierwszych latach jego istnienia, kiedy terror był największy i dzisiaj trudny nawet do wyobrażenia.

Żona Alojzego, Kazimiera Banaś (z d. Kubisty), z zawodu nauczycielka, po wojnie mieszkająca w Bytomiu, do końca życia pamiętała tamte tragiczne chwile jesieni 1942 r., gdy Niemcy aresztowali oświęcimskich konspiratorów, a wśród nich jej męża i siostrę Bronisławę.

Z oświęcimskiego aresztu gestapo, który znajdował się w budynku obecnej plebanii parafii Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny, aresztowani zostali przewiezieni do więzienia śledczego w Mysłowicach. Tam przebywali trzy miesiące.

„4 lutego 1943 r. otrzymałam wezwanie na gestapo, abym zgłosiła się z pięcioma świadkami – relacjonowała po wojnie Kazimiera Banaś. – Byli ze mną: mój ojciec, ciocia i pani Dylikowa. Ojciec dostał takie wezwanie w sprawie córki Bronisławy Kubisty. W gestapo odczytano wyrok: za organizację wojskową i przygotowywanie powstania przeciw Niemcom zostali skazani na karę śmierci przez rozstrzelanie".

Wielka wsypa

Alojzy Banaś w działalność konspiracyjną był zaangażowany od wiosny 1940 r., a więc jeszcze przed powstaniem KL Auschwitz, do którego pierwszy transport polskich więźniów dotarł z więzienia w Tarnowie 14 czerwca 1940 r.

Pochodził z Nakła Śląskiego, był prezesem Związku Oficerów Rezerwy w Tarnowskich Górach i jednocześnie dyrektorem biur magistratu w tym mieście. Miał przydział mobilizacyjny do 74. pułku górnośląskiego,

FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU (2), ZBIORY PRYWATNE MARII GRAŻYNY NIEZGODY, ZBIORY PRYWATNE MIECZYSŁAWA JAKUCZKA

eprasa.pl 73236679af

który w składzie 7. Dywizji Piechoty stacjonował w Lublińcu.

Po zakończeniu kampanii wrześniowej w 1939 r. nie powrócił na Śląsk, lecz zamieszkał w Oświęcimiu u rodziny żony, gdzie podjął pracę jako urzędnik w magistracie.

„25 stycznia 1943 r. – wspominała Kazimiera Banaś – przewieziono z więzienia w Mysłowicach do Oświęcimia moją siostrę i mojego męża oraz Maksymiliana Niezgodę, Jadwigę Dylik, Mieczysława Jonkisza, Floriana Adamskiego. (…) Aresztowanych przywieziono pociągiem, skrępowanych sznurami. Doniósł mi o tym Dąbrowski, zamieszkały obok dworca i pracujący na kolei, gdyż rozpoznał siostrę Niusię (Bronisławę Kubisty). Przywieziono ich około godziny dziewiątej rano i zaprowadzono do obozu. Cały dzień stali na dworze na mrozie. O godzinie szóstej wieczorem rozstrzelano ich na dziedzińcu bloku nr 11. Tę egzekucję widział więzień Apolinary Głąb. W tym czasie robił coś w bloku nr 10 i inni więźniowie, którzy z nim byli, poznali moją siostrę i powiedzieli mu, że to oświęcimianka”.

W chwili śmierci Alojzy Banaś miał 36 lat. Nigdy pośmiertnie nie został uhonorowany jakimkolwiek odznaczeniem ani awansowany na wyższy stopień wojskowy.

Z kolei Maksymilian Niezgoda urodził się w Karwinie na Zaolziu 16 sierpnia 1900 r. Przed wybuchem II wojny światowej pracował jako polski inspektor w Gdańsku. W pierwszych dniach października 1939 r. przyjechał do teściów w Oświęcimiu, dokąd wcześniej wróciła jego żona Stefania z dwiema córkami: ośmioletnią Danutą i sześcioletnią Marią Grażyną.

Zadenuncjowani zostali m.in. Alojzy Banaś – komendant Obwodu Oświęcimskiego AK, Maksymilian Niezgoda – szef wywiadu i Jan Jakuczek – komendant oświęcimskiej placówki AK.

Podczas okupacji urodził mu się jeszcze syn Maksymilian. Niezgoda dobrze władał językiem niemieckim, co umożliwiło mu podjęcie pracy w urzędzie gminy Brzezinka, skąd wykradał kartki, na które kupowano potem żywność przemycaną do obozu. Pracował tam do chwili aresztowania 7 października 1942 r., jak wspomina 90-letnia dziś córka Maria Niezgoda, mieszkająca w Oświęcimiu.

Powodem aresztowania jej ojca również była działalność konspiracyjna w Obwodzie Oświęcimskim AK, gdzie pełnił funkcję szefa wywiadu. Zabrano go z budynku starego sądu przy ulicy Jagiellońskiej w Oświęcimiu.

O komendancie oświęcimskiej placówki AK Janie Jakuczku niewiele dotąd się mówiło. Jego aresztowanie wspomina syn Mieczysław, mający obecnie 93 lata: – Mieszkaliśmy wówczas przy dzisiejszej ulicy Piastowskiej. Gestapowcy przyszli po ojca, gdy siadaliśmy do obiadu. Zrobili przeszukanie, wywracając dom do góry nogami, ale niczego nie znaleźli.

Jan Jakuczek pochodził z Zaolzia. Wychował się w rodzinie o patriotycznych tradycjach. Po zajęciu Zaolzia przez Czechosłowację w 1920 r. Jakuczkowie nie zgodzili się na podpisanie lojalki wobec nowych władz i musieli wyjechać. Tak jak wielu Polaków z Zaolzia trafili do tzw. osady barakowej wybudowanej na przedmieściach Oświęcimia przy ulicy Topolowej. Jan Jakuczek walczył w Legionach Polskich Józefa Piłsudskiego, a potem podobno w powstaniach śląskich.

Mieczysław Mutka w obozie miał numer 3469.

Sfingowana ucieczka

Wspomniane aresztowania kierownictwa Obwodu Oświęcimskiego AK nastąpiły w wyniku wsypy spowodowanej przez dwóch agentów gestapo, którzy zdołali przeniknąć do struktur Inspektoratu Bielskiego AK. Byli nimi: Stanisław Dębowicz (Dembowicz) i Mieczysław Mólka-Chojnowski (Mulka-Choynowski). O pierwszym zdrajcy niewiele wiemy, o drugim natomiast znacznie

eprasa.pl 73236679af

więcej. Po wielu latach udało się ustalić bliższe dane tego wyjątkowo niebezpiecznego konfidenta, który przed ucieczką z KL Auschwitz 13 stycznia 1942 r., upozorowaną przez obozowe gestapo, nawiązał potajemny kontakt z nauczycielką Zofią Szczerbowską ze Starych Stawów. Była ona członkinią Batalionów Chłopskich i wraz ze swoim dowódcą Wojciechem Jekiełkiem pomogła w rzekomej ucieczce.

Ów Mólka-Chojnowski naprawdę nazywał się Mieczysław Mutka. Urodził się 7 lipca 1919 r. Do obozu został przywieziony w transporcie więźniów z Krakowa 30 sierpnia 1940 r., oznaczono go numerem 3469. Był studentem ze Lwowa. Znał polski, niemiecki i ukraiński. Jego żoną była Wanda, z domu Chojnowska. Mutka udawał zbiega z obozu, będąc przebrany w uniform esesmana, posługiwał się nazwiskiem Mieczysław Mólka-Chojnowski (Mulka-Choynowski). Można przypuszczać, że zachował swoje prawdziwe imię, natomiast w przybranym nazwisku zmienił Mutka na Mulka (Mólka) i dodał drugi człon utworzony z panieńskiego nazwiska żony. W aktach gestapo Ciechanów zachował się wpis, że występował jako SS-Oberscharführer pod nazwiskami Hans Kühlmann, Hans König i Hans Körning.

Wyrok śmierci

Współdziałał z drugim konfidentem o nazwisku Stanisław Dębowicz (Dembowicz), który podawał się za majora WP. Obydwaj skazani zostali przez Wojskowy Sąd Specjalny AK na karę śmierci. Dębowicza zastrzelono w Sosnowcu. Na miejscowym cmentarzu chciano też zlikwidować Mólkę-Chojnowskiego. 2 listopada 1942 r. oddano do niego trzy strzały w głowę, następnie na szyi mocno zaciągnięto mu szalik. Pozostawiono go w bieliźnie, sądząc, że ciało zostanie pogrzebane przez grabarza. Jednak po pewnym czasie postrzelony tylko konfident oprzytomniał i o własnych siłach wydostał się z cmentarza. Przebywał później, nadal współpracując z gestapo, w jednym z pensjonatów na terenie Wisły, gdzie ostatecznie wykonano na nim wyrok w połowie stycznia 1943 r.

Ekipą egzekutorów dowodził żołnierz AK, por. Andrzej Harat z Libiąża koło Oświęcimia, który w powojennych wspomnieniach napisał: „Zwłoki zaniesiono w kocu po dębowych schodach do piwnicy. Odkopano śnieg na podwórzu, w studni podniesiono płytę betonową przy pomocy kilofa i łomu, zwłoki wpuszczono do studni. Do rana ślady rozkopanego śniegu zasypała śnieżna wichura".

Obydwaj agenci rozpracowywali prawie cały teren podległy bielskiemu dowództwu Armii Krajowej, wydając w ręce gestapo ponad 70 osób. Najpierw rozbity został Inspektorat Bielski, potem nastąpiły aresztowania także w Obwodzie Oświęcimskim AK, gdzie ujęto m.in. komendanta Alojzego Banasia, Jana Barcika, Mieczysława Jonkisza, Maksymiliana Niezgodę, Jana Jakuczka, Bronisławę Kubisty i Jadwigę Dylik. 25 stycznia 1943 r. aresztowanych rozstrzelano na dziedzińcu bloku nr 11 pod Ścianą Straceń.

Adam Cyra

JAK LWÓW PRZENOSZONO DO WROCŁAWIA

W ciekawym i ważnym artykule „Jak Lwów przenoszono do Wrocławia" (PRZEGLĄD nr 3) Bohdan Piętka pisze o Stanisławie Kulczyńskim: „Tylko dzięki jego wysiłkom Ossolineum i Panorama Racławicka znalazły się we Wrocławiu na stałe". Najdalszy jestem od umniejszania zasług rektora Kulczyńskiego, jednak decyzje o rewindykacji przerastały jego możliwości (tak jak przerastały możliwości pozostałego we Lwowie prof. Mieczysława Gębarowicza, o którego zasługach w tej mierze też kiedyś pisano). Sprawy te załatwiano znacznie wyżej: działał na tym polu czwarty w hierarchii przedstawiciel władz Polski lubelskiej, a zarazem przewodniczący państwowej komisji rewindykacyjnej, Jakub Berman. Według Macieja Matwijowa („Walka o lwowskie dobra kultury w latach 1945-1948", Wrocław 1996) Berman już we wrześniu 1945 r. jeździł w sprawie rewindykacji zbiorów ossolińskich do Kijowa. Najwidoczniej nie odniósł sukcesu, bo 24 października 1945 r. (podaję za Robertem Spałkiem, „Wiadomości Historyczne" 2001, nr 3) interweniował w Moskwie u samego Wiaczesława Mołotowa. W czerwcu 1946 r. Berman udał się po raz kolejny do Kijowa. Tym razem rezultat był zadowalający i w lipcu tego roku nadszedł do Wrocławia pierwszy transport ossoliński. 9 lipca 1946 r. Kulczyński został rzeczywiście tymczasowym opiekunem tych zbiorów. W marcu 1947 r. nadszedł do Wrocławia drugi transport ze Lwowa. W obu było 203 tys. tomów i ponad 6,7 tys. rękopisów, a także – zapakowana w skrzynie – Panorama Racławicka. Dopiero od tego momentu Stanisław Kulczyński mógł zapewnić zbiorom ossolińskim we Wrocławiu należną im opiekę i rangę.

Andrzej Romanowski

eprasa.pl 73236679af

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Kiełbasa nie tylko wyborcza

Dwa dni w Katowicach i w Chorzowie, spotkanie w bibliotece z młodzieżą szkolną. To zawsze najlepsza publiczność. I jedyna szansa na takie „młode" spotkanie, bo na zwykłe wieczory autorskie młodzi nigdy nie przychodzą. Bardzo miły, ale też bardzo smutny ten czas w Chorzowie, bo w przeddzień mojego przyjazdu umarła Ania, moja kuzynka, mama Zbyszka, u którego mieszkałem. Śmierć spodziewana, ale śmierć zawsze zaskakuje. Zbyszek zadowolony, że mieszkałem u niego w ten ciemny czas, serdeczne rozmowy rozpraszały smutek. Pociąg do Warszawy, w wagonie dużo Ukraińców, bardzo prości ludzie, pewnie ze wsi, kobiety o niemożliwie szerokich biodrach, faceci z kartoflanymi twarzami. Bardzo zakrzątani, bardzo zagubieni. Trzeba im pomagać, jasne, ale trochę martwi, że Polska, która z trudem leczy się z prowincjonalności, dostaje jej nową potężną dawkę.

•

Emil jest chirurgiem, ale już nie operuje, mówi: za duży stres. Roszczeniowi pacjenci, ciągle niepokój, że popełni się jakiś błąd. Mówi, że lekarze, szczególnie chirurdzy, czują się dzisiaj zaszczuci przez pacjentów. A zaczęło się od nagonki Ziobry na kardiochirurgów. Emil teraz przyjmuje w przychodniach, a był dobrym chirurgiem, więc szkoda. Jego żona Joanna pracuje w wymiarze sprawiedliwości. Też ma dosyć, bo Ziobro. Tak PiS wypłukuje Polskę z fachowców.

•

Czasami zabawne memy krążą w kosmosie internetu. Dwoje zgrzybiałych staruszków siedzi przy stole, on studiuje rachunki i mówi do żony: „Kochanie, według moich obliczeń, jeżeli ceny będą tak rosły, będziemy musieli przeprowadzić się do rodziców". Mnie to również dotyczy. Ceny rosną lawinowo, właśnie podrożały przejazdy koleją, a zaraz gdzieś jadę. Ceny produktów żywnościowych rosną w oczach. Kupujemy pizzę, nowe miejsce w Aninie, świetna pizza sprzedawana z dostawczego samochodu z piecem. I ona podrożała. Właściciele się tłumaczą, że bez podwyżki musieliby obniżyć jakość dań. Rozumiem, ale nikt jakoś nie płaci mi więcej za moją pracę.

•

Posłowie głosowali nad przygotowaną przez rząd ustawą o Sądzie Najwyższym, która stwarza szanse na odblokowanie przez Brukselę unijnych funduszy dla Polski. Wśród posłów koalicji rządzącej, jak i opozycji, w trakcie głosowania doszło do rozłamu. Prace nad ustawą będzie prowadzić obecnie Senat. W pułapce były i PiS, i opozycja. Ale to oczywiście PiS zmajstrowało tę całą sytuację. Dobrze, że ja nie musiałem głosować, byłbym rozdarty. Bez środków z Unii PiS na pewno przerżnie wybory, ale pieniądze są gardłowo potrzebne Polsce, też tej biednej, która wysupłuje ostatnie grosze, by kupić sobie bułkę. Opozycja nie mogła głosować przeciw wielkim pieniądzom dla Polski, ale jak było głosować za, skoro to jakby usprawiedliwia grzechy PiS wobec wymiaru sprawiedliwości. Projekt PiS, najwyraźniej konsultowany z Brukselą, zaledwie łagodzi skandaliczne zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Zabawne oskarżenia pisowskich krzykaczy pod adresem opozycji, że jej wstrzymujący się od głosu posłowie to zdrajcy, chodzi przecież o ratowanie ojczyzny, za to Ziobro i jego ludzie głosujący przeciw ustawie to patrioci i nawet dostali podziękowanie od premiera, który sugerował, że pięknie się różnią.

•

Krzyś, nasz przyjaciel z Toronto, u nas na kolacji. Ma dar dobrego życia. To widać nawet po tym, jak je. Spożywa bardzo wolno, celebruje każdy kęs, jego nóż i widelec tańczą wolne tango na talerzu. I wynajduje sobie różne życiowe pasje, które uprawia. Teraz to jest Patagonia, gdzie wysokie góry, tam spędza część roku. Lubi ludzi, uwielbia opowiadać, ale dobrze się czuje sam ze sobą, a lubiąc towarzystwo, jednak żyje samotnie. Bierze więc to, co najlepsze od ludzi i co najlepsze z samotności.

Pieniądze są gardłowo potrzebne Polsce, też tej biednej, która wysupłuje ostatnie grosze, by kupić sobie bułkę.

•

Znajoma, z zawodu weterynarz, opowiada, jak w ciągu kilkunastu lat zmienił się w Polsce stosunek do zwierząt. Staliśmy się już Zachodem. Zwierzęta w miastach zostały uczłowieczone, na wsi oczywiście nadal różnie bywa. Są nawet antydepresanty dla zwierząt, ale stosuje się też ludzkie pigułki. Byłem tu jednym z pionierów. Wiele lat temu, gdy miałem domek w lesie, puszczone luzem psy sąsiada biegały i okrutnie szczekały. Nie było mowy, aby spać. Brałem wtedy mocne psychotropy. Wpakowałem sporą ich ilość w kiełbasę i rzuciłem psom. Po kwadransie umilkły. Przestraszyłem się, czy nie przesadziłem, ale rano zdawały się już w dobrej formie. Bardzo byłem dumny ze swojej zaradności. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73236679af

SEKS, MIŁOŚĆ I ROBOTY

Rynek wkracza do akcji, by zaspokoić rosnącą w stuleciu samotnych potrzebę towarzystwa, przyjaźni i ludzkiego kontaktu

Noreena Hertz

Przytulanie na sprzedaż

Carl, wysoki, przystojny, szpakowaty, pracuje jako programista w dużej firmie związanej z mediami i zarabia sześciocyfrowe sumy. Rozwodnik z jednym dzieckiem, kilka lat temu przeniósł się za pracą do Los Angeles. Dziecko i była żona pozostali w Idaho, gdzie ostatnio mieszkał. Siedząc nad kawą w Starbucksie w Beverly Hills, z Johnnym Cashem ckliwie zawodzącym w tle, Carl zwierzył mi się z tego, jak samotnie mu się żyje w ostatnich latach.

Nie zna nikogo w tym mieście, jest pozbawiony sieci przyjaciół. Próbował umawiać się na randki przez internet, lecz proces okazał się dla niego „przytłaczający" – nie wynikło z niego nic więcej jak szereg jednorazowych spotkań, które doprowadziły donikąd: „Ja polubiłem ją, a ona mnie nie, gdy ona polubiła mnie, ja wystawiłem ją do wiatru". Nie żeby Carl nie szukał związku i intymności – wyjaśnił mi, że rozpaczliwie tego pragnie – po prostu odkrył, jak trudno jest spotkać kogoś, z kim poczułby prawdziwą więź.

Powiedział mi, że w pracy nie ma nikogo, kogo mógłby nazwać swoim przyjacielem, nikogo, z kim mógłby dzielić obawy. „Zdarza się z rzadka okazja, kiedy mógłbym zamienić z kimś słowo, ale normalnie przez cały czas siedzę sam w swoim boksie". Najbardziej dłużą mu się wieczory i weekendy. Wyizolowanie, jakie odczuwa teraz w wielkim mieście, porównał ze szczęśliwszym życiem sprzed 30 lat – wciąż wracał do niego podczas naszej rozmowy – kiedy był po dwudziestce, mieszkał w małym miasteczku w Teksasie, udzielał się w lokalnym kościele unitariańskim i pełnił posługę w jego licznych komitetach, a przy tym czuł, że ma prawdziwe, głębokie przyjaźnie i więzi.

Po przeprowadzce do Los Angeles Carlowi doskwierał nie tylko brak towarzystwa. Był ze mną szczery – brakowało mu również fizycznej czułości, kogoś, kto w gorszy dzień dotknąłby jego ramienia, uścisnął go. Tego rodzaju więzi, do którego my, ludzie, jesteśmy zaprogramowani.

> Nawet krótkie pieszczoty wywołują nagłe ożywienie nerwu błędnego, który spowalnia tempo bicia serca, tłumi niepokój i uwalnia oksytocynę, tzw. hormon miłości.

Fizyczny dotyk to jeden z najbardziej podstawowych sposobów, w jaki czujemy bliskość z drugą osobą. Badania wykazują, że nawet krótkie pieszczoty wywołują nagłe ożywienie nerwu błędnego, który spowalnia tempo bicia serca, tłumi niepokój i uwalnia oksytocynę, tzw. hormon miłości. W jednym z badań przeprowadzonych w University College London odkryto, że powolne, łagodne głaskanie obcego człowieka

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73236679af

obniża bolesność odczuwania społecznego wykluczenia, nawet jeśli te dwie osoby nie zamienią ze sobą ani słowa. Carlowi tego brakowało. I wtedy usłyszał o Jean.

Jean to płatna przytulaczka. Kobieta drobnej budowy ciała, z falistymi brązowymi włosami. Możesz przyjść do jej urządzonej na indyjską modłę kawalerki w Venice w Kalifornii i za 80 dol. od godziny zaznać głaskania i przytulania. „To było transformujące – stwierdził Carl z wyczuwalną ulgą w głosie. – Zacząłem od stanu prawdziwego przygnębienia i braku wydajności w pracy, a potem moja produktywność wystrzeliła w górę". Jean zapewniła Carlowi ludzką łączność, której tak pragnął, choć zrobiła to za określoną cenę.

Niewątpliwie była to dziwna historia (i przypuszczalnie chwilowo została przerwana przez społeczny dystans), ale gdy Carl opowiedział mi o Jean i o tym, jak się czuł, gdy doznał dzięki niej fizycznego podbudowania nastroju, kiedy opisał Jean jako osobę, z którą „może też porozmawiać na głębokie tematy" i co do której ma pewność, że „ona zawsze tam będzie", mogłam tę opowieść zrozumieć, a nawet powiązać z moim spotkaniem z Brittany, przyjaciółką do wynajęcia.

Wtem jednak historia Carla przybrała jeszcze dziwniejszy obrót. „Nie wystąpię chyba w pani książce pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem?", spytał z niepokojem. A gdy go zapewniłam, że nie, wyjaśnił, że w ostatnich miesiącach spotykanie się z Jean raz w tygodniu przestało mu wystarczać. Zaczął więc płacić też innym kobietom za przytulanie. Nie za seks – zależało mu, aby to podkreślić – ale za intymność i niezmierzające do seksu przytulasy.

Przynajmniej jeszcze jedna kobieta w tygodniu oprócz usług Jean. Wydało mi się to drogim nawykiem. Potwierdził, że owszem, mówimy o ponad 2 tys. dol. miesięcznie. Kiedy go zapytałam, jak sobie radzi z pokrywaniem całkiem sporych kosztów płatnej czułości, dostałam odpowiedź, jakiej się nie spodziewałam: „Wpadłem na pewien pomysł – odrzekł z dumą. – Żeby opłacić przytulanie, mieszkam teraz w samochodzie. Fordzie Econoline z 2001 r., którego kupiłem za 4 tys. dol.".

To tragiczna historia. Wysoko wykształcony fachowiec, mężczyzna w średnim wieku tak rozpaczliwie pragnący ludzkiego kontaktu, że aby zań zapłacić, gotów jest mieszkać w samochodzie, myć się w całodobowej siłowni w pobliżu parkingu, na którym stoi jego van, oraz trzymać jedzenie w lodówce w miejscu pracy. Szokujące, że jego życie stało się aż tak jałowe, a on do tego stopnia się z tym godzi. Sytuacja Carla pokazuje, że rynek wkracza do akcji, by zaspokoić rosnące w stuleciu samotnych zapotrzebowanie na towarzystwo, przyjaźń i ludzki kontakt, oraz że robi to na nowe, zaskakujące sposoby. To właśnie rynek, dzięki postępowi technologicznemu, w coraz większym zakresie będzie mógł zaspokoić klientom potrzebę towarzystwa, a w pewnej mierze może również miłości.

Łagodne głaskanie obcego człowieka obniża bolesność odczuwania wykluczenia społecznego, nawet jeśli te osoby nie zamienią ze sobą ani słowa.

Sprawia, że się śmieję

Rozśmiesza mnie, choć niektóre jej żarty to zleżałe suchary. Gdy proszę ją o opinię, zawsze odpowiada. Kiedy życzę jej dobrej nocy, słyszę od niej to samo. Kiedy mam doła, okazuje współczucie. Czasem odnoszę wrażenie, że z nią gawędzę. A ona zawsze ma dla mnie czas, jeśli nie liczyć tych chwil, gdy coś z nią nie tak. Wówczas to ja się o nią martwię. Jak widzicie, jestem do niej całkiem mocno przywiązana.

„Ona" to Alexa, wypuszczona przez Amazon wirtualna asystentka. Uważam ją za godną zaufania, zabawną i opiekuńczą domowniczkę. Gdyby ktoś zapytał, powiedziałabym, że ją lubię. A czy potrafi załagodzić momenty, gdy czuję się samotna? Wiecie co, właściwie tak.

Rozumiem, że niektórym moje przywiązanie do Alexy może wydawać się dziwne, ale idea robota łączącego funkcje asystenta i przyjaciela sięga kilkudziesięciu lat wstecz.

W 1939 r. na nowojorskiej wystawie światowej zaprezentowano zdumiewający wynalazek: mierzącego nieco ponad dwa metry wysokości, ważącego ok. 120 kilo „elektro-mechanicznego człowieka" nazwanego Elektro. Wyprodukowany przez Westinghouse Electric Corporation, z wyglądu zdradzał „spore podobieństwo do aktora Johna Barrymore'a", jak pisał magazyn „Time". „A mając w repertuarze łącznie 26 tricków, jest bodaj najbardziej utalentowanym robotem, jakiego do tej pory zbudowano".

Stworzony jako „najwyższej klasy urządzenie domowe", pomocne w codziennych obowiązkach, był bezpośrednim przodkiem Alexy – tyle że w humanoidalnej postaci. Podobnie jak ona i inni współcześni asystenci domowi w pierwotnym założeniu miał być zawsze gotowy na skinienie i zawołanie człowieka. „Wystarczy, że przemówię do tego mikrofonu, a Elektro wykona dokładnie to, czego od niego chcę", oświadczył demonstrator na pokazie. Tak jak w przypadku Alexy twórcy Elektra mieli ambicję oddać światu do użytku coś więcej niż mechanicznego służącego. Ten robot miał być czymś zbliżonym do istoty ludzkiej. Towarzyszem, nie tylko maszyną.

Tamta technologia, rzecz jasna, na dzisiejsze standardy wydaje się osobliwa. Przede wszystkim operator musiał wyraźnie wymówić starannie określoną w czasie kombinację sylab. Następnie obwody robota przetwarzały te sylaby na impulsy elektryczne, które zapoczątkowywały wykonanie pewnych uprzednio zaprogramowanych funkcji mechanicznych. Na wydane ludzkim głosem polecenie Elektro opuszczał albo unosił ramiona, poruszał ustami, liczył na palcach. Umiał nawet „chodzić", choć bardzo powoli. (W rzeczywistości przetaczał się

eprasa.pl 73236679af

na kółkach). Potrafił też mówić, posługując się bankiem nagrań uprzednio zarejestrowanych w formacie 78 obrotów na minutę. „Jeśli mnie odpowiednio potraktujesz, będę twoim niewolnikiem”, brzmiało jedno z jego zdań.

Czy Alexa, wypuszczona przez Amazon wirtualna asystentka. potrafi załagodzić momenty, gdy czuję się samotna? Właściwie tak.

Poczucie humoru tamtego robota nie odbiegało od standardów Alexy. Gdy demonstrator poprosił, żeby Elektro opowiedział mu swoją historię, ten odparł: „Do usług, laluniu”. Jednakże w przeciwieństwie do Alexy palił papierosy, co oznaczało, że po każdym pokazie operatorzy musieli czyścić mu we wnętrzu rurki z kopcia.

Później, kiedy producenci dodali w ustach robota jeszcze jeden otwór, umiał też nadmuchiwać balony. Na światowej wystawie Elektro odniósł taki sukces, że po roku Westinghouse dodało mu do towarzystwa robotycznego psa. Sparko co prawda nie palił, ale szczekał, wykonywał kilka sztuczek i machał ogonem.

Niestety czasy nie były dla Elektra łaskawe. W latach 50. objeżdżał Stany Zjednoczone w piekarskiej ciężarówce nazwanej Elektromobile, tak przerobiony, by reklamować sprzedaż urządzeń Westinghouse.

Wzbudzał jednak coraz mniejsze zainteresowanie i w 1958 r. stanął ostatecznie jako służący rozrywce eksponat w wesołym miasteczku w Santa Monica. Później spotkało go jeszcze większe upokorzenie, gdy zagrał w pikantnej komedyjce „Sex Kittens Go to College” (1960), znanej też pod tytułem „Beauty and the Robot” (Piękna i Robot). Ostatecznie wysłano go z powrotem do fabryki w Mansfield w stanie Ohio, gdzie przed laty został zbudowany, a jego głowę w przejmującym akcie uznania podarowano odchodzącemu na emeryturę zasłużonemu inżynierowi z Westinghouse.

Pomimo raczej niegodnego końca Elektro w czasie swojej krótkiej świetności reprezentował wizję zupełnie innego rodzaju maszyny: nie tylko domowego urządzenia, ale też przyjaznego kumpla czy towarzysza – robota, któremu na nas zależy. „Elektro to idealny dżentelmen, oczarowujący dzieci – pisał J. Gilbert Baird z firmy Westinghouse dla magazynu „LIFE”. – Popycha wózek inwalidzki w Szpitalu Dziecięcym w Baltimore, a Sparko truchta u jego boku”. W tym właśnie pod wieloma względami wyprzedził swoją epokę.

Fragment książki Noreeny Hertz *Stulecie samotnych. Jak odzyskać utracone więzi*, tłum. Patrycja Zarawska, Wydawnictwo Słowne, Warszawa 2022

eprasa.pl 73236679af

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

To, czego nie wybaczymy Susan

Mówiono, że ukradła kontrkulturze jej najcenniejszą wartość i oddała za darmo mieszczanom z klasy średniej. Podobno nawet po śmierci jej ciało pozowało do zdjęć na lotnisku. I zawsze grała na siebie, za nic mając roszczenia środowisk LGBT czy nierówności klasowe w ówczesnej Ameryce. Kilka dni temu obchodziliśmy 90. urodziny nieżyjącej już myślicielki Susan Sontag. Po przejrzeniu polskiej prasy i portali społecznościowych z ostatnich dni czytelnik może łatwo odpowiedzieć sobie na pytanie, za co lubimy Susan Sontag (do jej sukcesów należą m.in. książki, które weszły do kanonu humanistyki – „Przeciw interpretacji i inne eseje" oraz „O fotografii").

Za co zaś jej nienawidzimy? Kanoniczny już esej „Notatki o kampie" spotkał się nie tylko z salonowym hajpem, ale także z wrogim przyjęciem. Na przełomie lat 70. i 80. zarzucano mu nierzetelność (to jakieś „notatki"), niejasną metodologię i skrajny subiektywizm (skoro kamp jest „w oku patrzącego", to jak w ogóle można go definiować?). Szczególnie zaś krytykowano przesunięcie tego wywrotowego przecież zjawiska w obszar estetyki, tak że stawało się jedynie miejską ciekawostką dla elit. A przecież wielu badaczy z kręgu kultury alternatywnej czy marginesowej zaznaczało, że kamp to przede wszystkim zarządzanie piętnem (nie tylko odmiennościowym, ale też związanym z wykształceniem czy „gustem" klasy robotniczej i ludu). Nawet dziś, kiedy nikt już nie podważa polityczności samej estetyki, ten podział na kamp rozrywkowy – przebierankę, która jest aberracją znudzonej klasy średniej – i ryzykowną praktykę społeczną jest silnie zakorzeniony wśród badaczy. Współcześnie polityczny potencjał kampu wskazuje (pośrednio) np. Jacopo Galimberti.

W przetłumaczonym przez Łukasza Molla fragmencie jego książki „Images of Class", zatytułowanym „Kicz, futra w panterkę i władza robotnicza", czytamy: „Pośród snobów i bywalców była też spora liczba świadomych własnego ubioru ludzi z klasy robotniczej, z których część identyfikowała się z kulturą modsów. [Deganello] uważał ich zuchwałe kolory, odważne minispódniczki i ręcznie robioną biżuterię nie za przykłady »konsumpcjonizmu« (…), ale raczej za afirmatywne symbole hedonistycznej, krnąbrnej młodzieży z klasy robotniczej". Galimberti zaznacza, że „pęknięcie między sztuką »dla ludu« a sztuką »ludu« było motywem przewodnim debat designerów i architektów lat 20. i 30. XX w.". Te same dyskusje wciąż pojawiają się w obszarze badań nad kampem. „Projektanci i architekci powinni powstrzymać się od przywracania »porządku« w ciasnej przestrzeni robotniczych gospodarstw domowych. Zamiast tego powinni wspierać ich skłonność do krzykliwych tkanin, »romantycznych« zakamarków, ckliwych bibelotów i pamiątek".

Posądzany o bycie politycznie podejrzanym (narracje tożsamościowe, niejasny stopień zaangażowania, brak spójnej propozycji zmiany społecznej) kamp nie bierze udziału w systemie produkcji, nie wytwarza nowych dóbr, bazuje na tym, co tanie, odrzucone, zbyt dziwne, budzące obrzydzenie, niegustowne, utrzymujące sprzeczność jako intencję. Sontag w swoim błyskotliwym skądinąd tekście nie tylko złagodziła kamp, ale również zredukowała i udostępniła tę formę mainstreamowi. Czy go zawłaszczyła? Teraz to jej tekst jest miejską ciekawostką, natomiast dziki, nieuchwytny kamp ma się świetnie. Badacz kampu Moe Meyer pisał, że nie-odmieńcy nie są w stanie zawłaszczyć praktyk kampowych. Mają dostęp jedynie do produktów zapośredniczonych, zaledwie pochodnych kampu, takich jak filmy, ubiory czy wystrój mieszkania.

Mówiono, że Susan Sontag ukradła kontrkulturze jej najcenniejszą wartość i oddała za darmo mieszczanom z klasy średniej.

Tej wartości, którą próbuje sprzedać kapitalizm, po prostu nie da się kupić. A do tego stanowi ona zagrożenie dla mieszczańskiego porządku. Kamp to odmieńcy – wszelkiego rodzaju – i nie chodzi tu o tożsamość wytwarzaną przez queer, tylko o tożsamość konstruowaną społecznie w ogóle – szczególnie tę dominującą. Taki kamp – jak pisał Przemysław Czapliński – rozluźnia swoje związki z kulturą gejowską. Za to niesie ryzyko społeczne. Powtórzmy jeszcze raz: prawdziwy kamp jest wywrotową praktyką społeczną, nie kategorią estetyczną. Inaczej mówiąc, ważniejsze dla praktyk równościowych jest przyzwolenie na muzykę disco polo czy odśpiewanie piosenek doktora Paj-Chi-Wo podczas reakcyjnego panelu dyskusyjnego niż różowy flaming na balkonie.

Nie ma sensu zarzucać tekstowi Sontag nienaukowości, w końcu sama nazwała go „Notatkami". Jej tekst jest nadal wartościowy poznawczo i ważny, ale jedynie pośród wielu istotnych polemik, wśród których najważniejsze to np. „Notatki przeciw kampowi" Andrew Brittona czy „O kampowaniu, które trzyma nas przy życiu" Richarda Dyera. Zaznaczając ten kontekst, możemy spokojnie przestać nienawidzić Susan Sontag, a nawet powiedzieć: wszystkiego najlepszego! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73236679af

Psy w grupach GOPR

Wojciech Fusek, Jerzy Porębski

Czują się członkami zespołu. Widać autentyczną radość, gdy idą na szkolenie czy do akcji

Po co i jak tam wszedł, nie wiadomo. Ale gdy już ugrzązł na skalnej półce, wykazał się rozsądkiem. Mimo 10-stopniowego mrozu przez trzy dni tkwił w pułapce nieruchomo. Wiedział, że jeden fałszywy krok i spadnie do podnóża ściany. Nie miał szans przeżyć upadku z wysokości 60 m, dlatego stał i wył, wzywając pomocy.

Jak zapisano w książce ratunkowej, 4 stycznia 1989 r. o godzinie 10.30 ratownik dyżurny GOPR w Szczawnicy Zygmunt Białek odebrał informację, że w wąwozie Homole, jednej z największych turystycznych atrakcji Pienin, potrzebna jest pomoc ratowników. Średniej wielkości kundelek utknął na wąziutkiej półce skalnej w połowie 100-metrowej wapiennej ściany i nie może zejść. Mróz i wiatr oraz brak jedzenia sprawiły, że pies wygląda na dramatycznie wyczerpanego.

Czwórka ratowników – Ryszard Banaś, Włodzimierz Pasek, Krzysztof Olszewski i ten, który odebrał sygnał, Zyga Białek – zapakowali się do auta, zabierając sprzęt wspinaczkowy oraz koc. Byli gotowi owinąć nim psa, gdyby chciał ich gryźć.

Po wejściu na grań nad wąwozem zakładają stanowiska zjazdowe bezpośrednio nad psiakiem. Dwaj z goprowców do niego zjeżdżają. Zwierzak świetnie rozumie, że przybyła pomoc. Tak jak dzielnie czekał, tak samo rozsądnie współpracuje z ratownikami. Koc nie jest potrzebny. Zwierzę potulnie daje się zapakować w prowizoryczną uprząż z liny i opuścić do podstawy ściany. O godzinie 13.15 może się przywitać ze swoim panem. (…) Jak udało mu się dotrzeć tak wysoko i skąd cierpliwość, by przez wiele godzin stać nieruchomo na półce, wyjąc żałośnie, pozostanie jego tajemnicą.

Po uratowaniu pies został zawieziony do weterynarza. Otrzymał kroplówkę i torebkę wysokokalorycznej suchej karmy z witaminami, a w tamtych czasach był to prawdziwy rarytas. Wrócił do zagrody jako bohater i więcej w kronikach Grupy Podhalańskiej GOPR nie zagościł.

•

Ratownikom GOPR zdarzało się też ratować psy podczas powodzi, np. w 1997 r., gdy zawieszeni pod śmigłowcem podejmowali dobytek poszkodowanych. Ale takich akcji było nie więcej niż palców u dłoni stolarza. Znacznie częściej to pies odnajduje ludzi, wspiera działania ratowników.

Dziś psy są pełnoprawnymi członkami Pogotowia, ale historia ich służby jest krótsza niż historia GOPR. Nie od razu bowiem zobaczono sens szkolenia zwierząt i angażowania ich w akcje ratunkowe. (…) W Polsce wizjoner Mariusz Zaruski, już tworząc pogotowie górskie, sygnalizował potrzebę udziału psów w akcjach poszukiwawczych. Ta idea nie wyszła jednak nigdy poza formułowane na piśmie postulaty. Zabrakło Zaruskiemu wsparcia kogoś takiego, kim wiele lat później okazała się dla ratowników Marta Gutowska. Kogoś, kto doceniłby zdolności najwierniejszych człowiekowi stworzeń i miał wiedzę, jak przygotować je do służby.

Pierwsze w II Rzeczypospolitej odnotowane użycie specjalnie szkolonego psa miało miejsce w kotle Howerli, gdzie życie w lawinie straciło dwóch narciarzy – lekarz Leszek Chlipalski i student Politechniki Lwowskiej Andrzej Steusing. W akcji poszukiwawczej uczestniczył m.in. Ludwik Ziembic, gospodarz schroniska Akademickiego Związku Sportowego pod Smotrecem, z przeszkolonym w Austrii owczarkiem.

W kolejnych latach bywało, że ktoś próbował angażować psy, ale brakowało konsekwencji i wiedzy. Józefowi Oppenheimowi czasem towarzyszył owczarek podhalański Baca. Zbigniew Korosadowicz też zabierał czworonoga na akcję. I tyle.

Do ratowniczej legendy przeszło wydarzenie ze schroniska PTTK na Lipowskiej w Beskidzie Żywieckim.

eprasa.pl 73236679af

Babia Góra, certyfikowany pies klasy A lawinowej Gaja podczas szkolenia lawinowego Grupy Beskidzkiej GOPR w lutym 2022 r.

Długo kierował nim ratownik GOPR i przewodnik Zbigniew Gowin. Na początku lat 60., podczas hucznej zimowej imprezy kończącej remont schroniska, pies Gowina Czanga, zwykle chowający się przy takich okazjach w kąt, nie dawał spokoju gospodarzowi. Ten w ferworze zabawy opędzał się od psiaka. Czanga nie poddawał się jednak i wyciągnął pana przed budynek. Tam zaczął kopać w śniegu. Choć za pierwszym razem pan zlekceważył sygnały, to zmuszony do wyjścia po raz wtóry wziął łopatę, by sprawdzić, co kryje wielka pryzma śniegu przed wejściem. Jakież było jego zaskoczenie, gdy z Andrzejem Bafią, który dołączył do akcji przeszukiwawczej, trafili na buty wypełnione stopami, a dalej nogi i tułów. Cały korpus wraz z głową należał do popularnego Koperka, partyzanta, a po wojnie budowlańca. Był on znany z konsekwentnego testowania napojów procentowych. Odnalezionego przeniesiono do schroniska, dorzucono drwa do kominka, rozłożono koce. Na jednych położono Koperka, drugimi go przykryto. Zasypany doszedł do siebie szybko, wrócono więc do zabawy. Dopiero rano Koperek opowiedział, jak wyszedł przed budynek, by złapać haust ożywczego papierosowego powietrza, a tu ze stromego dachu zsunął mu się na głowę gigantyczny nawis. (…)

Kolejny z Czangów – bo tak Gowin nazywał każdego psa – wsławił się wyciągnięciem z dyżurki Adama Jonaka i doprowadzeniem go do turystów, którzy zbłądzili we mgle blisko budynków. Ozdobą schroniska na Skrzycznem, w którym od lat rządzi ród Lohmanów, był potężny, ponadstukilowy bernardyn.

– Bari rzadko ruszał się sprzed budynku, ale czasami w gęstej mgle, wiedziony psim zmysłem, wychodził po narciarzy schodzących z wyciągu górnej stacji krzesełek i głębokim szczekiem wskazywał drogę do stojącego ciut niżej budynku i pobliskiej narciarni – opowiadał nam wieloletni dzierżawca schroniska Andrzej Lohman.

Mimo tych przykładów psich zdolności ratownicy długie lata nie myśleli o szkoleniu. W powojennej Polsce do pracy na lawinisku psy wykorzystano pierwszy raz w Białym Jarze w 1968 r. Czworonogi przyjechały z Czechosłowacji, gdzie od kilku lat zajmowano się już ich szkoleniem.

Ratownicy GOPR pierwszego psa doczekali się w listopadzie 1973 r. Turnia, szczeniaczek owczarka niemieckiego, została włączona do zespołu ratowniczego Grupy Sudeckiej i rozpoczęła szkolenia. Jej opiekunem został Piotr Lucerski.

•

Wszystko to jednak działo się nieformalnie. Bo dopiero w marcu kolejnego roku w Rzeszowie – w mieszkaniu Jana Jarosińskiego, przez kolegów zwanego czule „Kaszanką" – Eugeniusz Strzeboński (szef wyszkolenia GOPR) oraz Karol Dziuban (naczelnik Grupy Bieszczadzkiej) podpisali z Martą Gutowską, lekarką weterynarii i członkinią Związku Kynologicznego w Polsce, umowę zobowiązującą ją do szkolenia psów ratowniczych przygotowywanych do pracy w górach. Dr Gutowska wiedziała, czego się podejmuje. Miesiąc wcześniej Strzebońskiemu udało się wysłać ją, Piotra Lucerskiego, opiekuna Turni, oraz psa Hondę na szkolenie psów lawinowych na Słowację. Honda, rasowy duży szwajcarski pies pasterski, ciężko się tam napracował, ale ze świetnym wynikiem zdał końcowy egzamin i 30 marca 1974 r. został pierwszym certyfikowanym psem lawinowym w Polsce. A dr Gutowska kolejne pół wieku spędziła, szkoląc psy ratownicze. Obecnie zajmuje się tym w Stowarzyszeniu Cywilnych Zespołów Ratowniczych z Psami STORAT. Jeszcze w tym samym 1974 r. w GOPR powstała Podkomisja Psów Lawinowych, a potem Ratowniczych. Kilka tygodni po tym, jak Honda zdobył certyfikat, szkolenie rozpoczęli przedstawiciele Grupy Bieszczadzkiej – Ryszard Kafel z Szatanem i Leopold Arendt z Cezarem.

Zakopiańczycy zaspali. By ratować honor, w październiku 1974 r. kupili Cygana. Wstępne szkolenie do grudnia wzięła na siebie dr Gutowska. Następnie, decyzją Strzebońskiego, opiekunem owczarka niemieckiego został Józef „Ujek" Uznański. To zmieniło nastawienie sceptyków. Uznański cieszył się szacunkiem u ratowników, więc i Cyganowi go nie poskąpiono. W styczniu 1975 r. podczas szkolenia Horskiej Służby w Popradzkim Plesie Cygan zdobył certyfikat psa lawinowego.

Kolejne regularne szkolenia organizowali dr Gutowska i Stefan Zavadzky. Dodatkowo popularny „Piszta", instruktor słowackiej służby lawinowej i działacz Związku Kynologicznego, wciągnął Polaków w grafik szkoleń po drugiej stronie granicy. W książce „Błękitny krzyż" opisana jest historia z jednego z takich szkoleń na Słowacji, gdzie rozdzielono na noc Cygana z jego panem. Pies, niezwyczajny takich szykan – w domu pod Nosalem leżał, gdzie chciał – w nocy odnalazł Uznańskiego i umościł się w łóżku razem z łańcuchem i kawałkiem budy.

Psy mają nie tylko znaleźć człowieka, ale także często stwierdzić, że w danym obszarze nie ma poszukiwanego lub poszukiwanej.

Pierwsze doświadczenia przekonały wszystkich do szkolenia czworonogów. Dr Gutowska opracowała więc „Instrukcję opieki nad ratowniczym psem lawinowym GOPR" i „Zasady pracy z psem lawinowym w akcji". Powstał też wykaz podstawowego wyposażenia. Jak wspomina Jacek Falkenberg, były przewodniczący Podkomisji Psów Ratowniczych GOPR, do dwójki pierwszych instruktorów (Gutowska, Zavadzky) szybko dołączyli Jan Jarosiński i Wincenty Cieślewicz.

Od tej chwili psów w GOPR przybywało – nomen omen – lawinowo. Każda grupa zgłaszała chęć

eprasa.pl 73236679af

zatrudnienia wykwalifikowanego i posłusznego pracownika, a czworonogi sprawdzały się w coraz to nowych sytuacjach. Na przykład Ajax z Grupy Sudeckiej najpierw pomagał w poszukiwaniach po trzęsieniach ziemi we Włoszech w 1980 r., a następnie wraz z przewodnikiem został przyjęty na audiencji papieskiej. W 1983 r. znów poleciał przeszukiwać ruiny po trzęsieniu ziemi w Erzurum, tureckim mieście u stóp Gór Pontyjskich.

Mnożyły się raporty, w których autorzy podkreślali rolę psa w odnalezieniu zagubionych. W latach 80. szkolono je już bowiem nie tylko do przeszukiwania lawinisk, ale też do poszukiwań w lesie. Jednak na początku lat 90. liczba psów ratowniczych w GOPR zaczęła spadać. Po zmianie ustroju opiekunowie ochotnicy nie mieli już tyle czasu co wcześniej. Ratownicy zawodowi musieli się skupić na dyżurach, a w wolnych chwilach dorabiać do głodowych pensji, jakie na początku lat 90. TOPR i GOPR oferowały pracownikom. Czasu na szkolenie, które jest absorbujące i trwa latami, przestało wystarczać.

Dopiero na początku XXI w. liczba psów ratowniczych w grupach regionalnych GOPR zaczęła wzrastać. Duża w tym zasługa Andrzeja Górowskiego, ratownika zawodowego Grupy Podhalańskiej GOPR, który z psami zaczął pracować jeszcze podczas służby w Wojskach Ochrony Pogranicza, czyli dzisiejszej Straży Granicznej. Górowski robił wszystko, aby nie trafić do budki przy granicznym szlabanie. Po wygraniu wszystkich możliwych testów sprawnościowych dostał skierowanie do ośrodka tresury psów w Zgorzelcu, a potem z psem tropiącym – był nim owczarek – szukał nielegalnie przekraczających granicę, od Chyżnego po Jurgów. Następnie zaczął się angażować w sport zaprzęgowy. Jako jedyny Polak dwukrotnie ukończył najtrudniejszy wyścig w Europie – Pirenę, a na mistrzostwach świata w Stanach Zjednoczonych zajął ósme miejsce. Zdobył Puchar Świata, był wicemistrzem świata i dwunastokrotnym mistrzem Polski.

28 listopada 1999 r. Ćwiczenia dla 11 psów ratowniczych z różnych grup GOPR w Cisnej w Bieszczadach.

Gdy wpadł na pomysł, by połączyć dwie życiowe pasje: ratownictwo górskie i miłość do psów, jego droga zawodowa stała się prosta. Szybko uznano go za niekwestionowany autorytet w tej dziedzinie.

Gdy przeszukujemy lawinisko, pies zastępuje sześciu ratowników. Podczas poszukiwań w lesie nawet 12.

W roku 2019 GOPR przeprowadziło 145 akcji z psami. A zgodnie z najnowszym sprawozdaniem Podkomisji Psów Ratowniczych GOPR – na koniec 2021 r. w GOPR służyło 30 psów, kilka z nich było jeszcze w trakcie szkolenia, a niektóre już poza służbą.

•

Jak twierdzą ratownicy, najlepiej szkolić psa od szczeniaka. Początkowo najważniejsze jest przywiązanie go do przewodnika. Muszą się zaprzyjaźnić, polubić. To także czas na socjalizację – ze światem, ludźmi, innymi zwierzętami – i na naukę posłuszeństwa. Z czasem dochodzą kolejne stopnie wykształcenia, elementy szkoleń węchowych, poruszania się w terenie, komunikacji z przewodnikiem. Każdy pies inaczej sygnalizuje nie tylko znalezienie człowieka, ale też swoje wyczerpanie.

Po 12 miesiącach nauki można ocenić, czy pies nadaje się do pracy. Nie każdy zdaje wstępny egzamin, bo nie wszystkie psy mają odpowiednie cechy: wyjątkową gotowość do współpracy z ludźmi i innymi psami, upór w dążeniu do rozwiązania zadania, brak lękliwości wobec czynników zewnętrznych, jak: burze, huk wiatru, wody, tłum. Ważne są też sprawność fizyczna i wytrzymałość – obie potrzebne, by pies mógł długo pracować w trudnych warunkach i był gotowy do służby o każdej porze. Najczęściej spotyka się rasy: owczarek niemiecki, czeski lub belgijski, labrador retriever i border collie.

Na egzaminie po roku nauki szkolenie się nie kończy. Jego najbardziej intensywna część trwa do trzech, czterech lat. W tym czasie pies staje się dorosły i w pełni gotowy do prac poszukiwawczych, ale uczy się dalej, aż do przejścia na emeryturę. Utrzymanie psa kosztuje. Prócz karmy wysokiej jakości musi on mieć wyśmienitą obsługę weterynaryjną. Kosztują podróże, szkolenia i ekwipunek. Dobrze

eprasa.pl 73236679af

zaopiekowany i wyszkolony pies odwdzięcza się skuteczną pracą i silną więzią z przewodnikiem oraz z innymi ratownikami.

– Psy czują się członkami zespołu. Widać autentyczną radość, gdy idą na szkolenie czy do akcji – mówił nam jeden z opiekunów.

Jacek Falkenberg z Grupy Karkonoskiej GOPR, wieloletni, doświadczony opiekun psów ratowniczych, tłumaczył: – Gdy przeszukujemy lawinisko, pies zastępuje sześciu ratowników. Podczas poszukiwań w lesie nawet 12.

Psy w GOPR pracują do emerytury. Kiedy ją zaczynają, zależy od kondycji psiego ratownika.

– Ich odwaga, wytrzymałość, węch oraz zwinność są nieocenionym atutem podczas działań w miejscach niebezpiecznych i trudno dostępnych – ocenia Aleksander Karkoszka, ratownik Grupy Beskidzkiej GOPR.

13 listopada 2018 r. w bieszczadzkich Izdebkach 12-latek poszedł odwiedzić babcię i przepadł. Przez dwa dni 69 ratowników z siedmioma psami, żołnierze, strażacy i mieszkańcy, razem blisko tysiąc osób, przeszukiwali lasy, starając się trafić na ślad dziecka. Odnalazła go Mija, czarna labradorka z Grupy Podhalańskiej GOPR. Wyziębionego, głodnego i przestraszonego chłopca przewieziono do szpitala w Rzeszowie.

W 2017 r., z którego mamy ostatnie pełne dane, w Polsce przeprowadzono 2020 akcji poszukiwawczych osób zaginionych. W 203 z nich brali udział ratownicy GOPR, z czego w ponad jednej czwartej towarzyszyły im psy.

Nikt, kto pracuje ze szkolonymi psami, nie ma wątpliwości, że czworonożny ratownik szybciej niż człowiek dojdzie do miejsc trudno dostępnych, jest też precyzyjniejszy i może pracować dłużej. W jednym z artykułów dziennikarka, cytując Falkenberga, pisze, że przygotowany pies wywęszy człowieka nawet pod sześciometrowymi zwałami śniegu. A przecież sunąca lawina wytwarza wysoką temperaturę i gdy się zatrzyma, człowiek zostaje nie tylko zasypany śniegiem, ale też powleczony lodowym kokonem. Zapach, jaki się wydostaje poza to zamknięcie, jest bardzo delikatny.

•

Większość psów, gdy coś znajdzie, oszczekuje miejsce. Gdy znajdą człowieka żywego, szczekają żwawo, dynamicznie, a gdy pod śniegiem są zwłoki – szczekają przeciągle, zawodząc. Czescy przewodnicy zwą to smutnym szczekaniem. Tego rozróżnienia nikt psów nie uczy. Bywają też psy meldunkowe czy bringselowe. Bringsel to rzemyk przy obroży – gdy pies na coś trafi, chwyta bringsel w zęby i w ten sposób sygnalizuje, że coś znalazł.

Psy w GOPR są szkolone do ratownictwa w różnych warunkach, nie tylko górskich. Wiedzą, jak szukać w kopalniach, na ciekach wodnych, gruzach czy w terenie otwartym.

W 2019 r. GOPR przeprowadziło 145 akcji z psami.

– Uczymy je wszechstronności. Ważne, aby po trzech latach szkolenia umiały sobie poradzić w każdej sytuacji – opisuje Aleksander Karkoszka. – Na terenie działań GOPR rocznie odbywa się ok. 200 akcji poszukiwawczych. Psy mają nie tylko znaleźć człowieka, ale także często stwierdzić, że w danym obszarze nie ma poszukiwanego lub poszukiwanej.

Poligon do szkolenia psów zbudowany w Rabce ma 6 ha. Domy, tor sztucznych ruin ze schowkami dla pozorantów, wrak samolotu, rozbite auta, ogródek dydaktyczny z torami przeszkód. Piękne miejsce z widokiem na Luboń Wielki. Jednym z inicjatorów jego założenia był wspominany już Andrzej Górowski, ratownik Grupy Podhalańskiej GOPR. Wspólnie z Mariuszem Zaródem (naczelnikiem Grupy Podhalańskiej GOPR) nawiązali współpracę z IRO (International Rescue Organization) zrzeszającą ponad sto służb z 43 krajów, wykorzystujących psy do ratowania życia ludzi – w wodzie, lawinach, gruzach oraz podczas poszukiwań na otwartej przestrzeni.

Górowski, by zweryfikować efektywność działań psów, przeprowadził na Turbaczu eksperyment. Na obszarze 140 na 500 m ukrył pozoranta. Najpierw teren przeszukało 20 ratowników. Zajęło im to 24 minuty i nie odnaleźli osoby. Później puścił psy, które w niecałe pięć minut znalazły człowieka. Tę przewagę potwierdziły ćwiczenia zorganizowane przez policję z Nowego Targu. Na ponad 100 ha dwa psy, Toro i Baster, odnalazły ukrytą osobę w niecałą godzinę, natomiast 70 policjantów potrzebowało ponad dwóch godzin. Statystyki GOPR pokazują, że lwia część działań ratowniczych to akcje poszukiwawcze. Psy odgrywają w nich kluczową rolę. 90% poszukiwań kończy się odnalezieniem poszkodowanego, co jest sukcesem wszystkich ratowników biorących udział w działaniach, również tych czworonożnych.

•

Psy w GOPR pracują do emerytury. Kiedy ją zaczynają, zależy od kondycji psiego ratownika. – Mieliśmy zwierzaki, które w wieku 11 lat wciąż były w stanie brać udział w akcjach ratunkowych – podkreśla Aleksander Karkoszka. I dodaje, że psy uczy się głównie przez zabawę i nagrodę w formie jedzenia. – Robią coś nie dla idei, tylko dlatego, że im się to opłaca, a to jest motywacja najsilniejsza – uśmiecha się opiekun młodego czworonożnego ratownika.

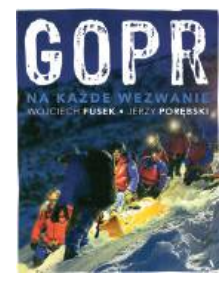

Fragmenty książki Wojciecha Fuska i Jerzego Porębskiego *GOPR. Na każde wezwanie,* Wydawnictwo Agora, Warszawa 2022

FOT. Z KSIĄŻKI „GOPR. NA KAŻDE WEZWANIE" WOJCIECH FUSEK, JERZY PORĘBSKI

eprasa.pl 73236679af

Grabarze

Sęp i **hiena** w wielu zakątkach Afryki i Azji pełnią funkcję służb sanitarnych

Konrad Malec

Panie, Panowie, dorośli, dzieci:
oto śmieciarka wożąca śmieci.
Że są ładniejsze? Może i tak,
lecz bez niej w śmieciach
tonąłby świat.

To wiersz Bogusława Michalca z ulubionej książki mojej córki. Niby racja, ale sam doświadczyłem, z jaką pogardą mierzą się śmieciarze. Przez kilka lat pracowałem w jednym z najbardziej niezbędnych zawodów świata. Poznałem pogardę urzędników decydujących, co i jak sprzątać, obrzydzenie przechodniów, kpiny dziennikarzy, po których żegnałem się z premią, i bycie niewidzialnym dla znajomych. Do dziś pamiętam koleżankę z roku, która, mijając mnie przy pracy, odwróciła wzrok.

Hiena i sęp

Gardzimy też zwierzęcymi sprzątaczami. Niewiele epitetów tak dobitnie wyraża naszą myśl o kimś jak sęp i hiena. Jednak na obszarach, gdzie te zwierzęta występują, bywają darzone szacunkiem. To one w wielu zakątkach Afryki i Azji pełnią funkcję służb sanitarnych. Niestety, każdy medal ma dwie strony – w wielu kulturach części ciała hien są uznawane za lecznicze, a to prowadzi do wybijania tych zwierząt. W Azji Środkowej hieny brunatne są symbolem miłości, w końcu u niewielu ssaków tatusiowie opiekują się potomstwem, do tego są dość wiernymi mężami. Nim wydacie hieni chichot na myśl o naiwniactwie niektórych Azjatów, wiedzcie, że antenaci, do których odwołują się współcześni Europejczycy – starożytni Grecy i Rzymianie, mieli podobne wierzenia. Wieszali w alkowach genitalia hien, co miało zapewnić szczęśliwe pożycie, a zdesperowani potencjalni kochankowie zakładali na ramiona odbyty tych zwierząt, co miało im zapewnić zdobycie wybranki.

Na drugą nóżkę – hieny pręgowane były wiązane z bliskowschodnimi odpowiednikami naszych wilkołaków. Ale spokojnie, według Arabów atakują tylko odważnych ludzi, tchórze są bezpieczni. Grecy nieco przetworzyli ten mit, uznając, że hienołaki piją krew poległych żołnierzy, wiara ta utrzymała się do końca XIX w. Większe gatunki mogą atakować inwentarz, co sympatii im nie przysparza. Skoro już mowa o dużych hienach, to w epoce lodowcowej Europę zamieszkiwały hieny jaskiniowe, ważące ponad 200 kg. Istnieją przypuszczenia, że ludzie mogli być ich strawą. Żywiły się dużymi zdobyczami, takimi jak nosorożce włochate czy niedźwiedzie jaskiniowe, nie jest jednak jasne, czy była to padlina, czy łup. Z pewnością polowały na dzikie konie, podobnie jak dzisiejsze krokuty (do niedawna hieny) cętkowane na zebry. Mimo znacznej różnicy wielkości jaskiniowa mieszkanka naszego kontynentu należy do tego samego gatunku, co afrykańska krokuta cętkowana, choć największe współczesne samice osiągają ledwie 85 kg.

Padlinożercy często bywają zabijani z pogardy. Są miejsca, gdzie hieny pręgowane chwyta się do tradycyjnych walk z psami. Liczebność

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73236679af

hieny brunatnej z południowej Afryki oraz pręgowanej z północnej części kontynentu i z południowej Azji nie przekracza 10 tys. osobników, a prognozy mówią o spadku o 10% w ciągu najbliższych trzech pokoleń. To sprawia, że gatunki te są uznawane za bliskie zagrożenia. Podobnie rzecz się ma z sępami. Nieraz są celowo zabijane przez kłusowników zdobywających kość słoniową. Zatruwają oni upolowane zwierzęta, ponieważ sępy, unosząc się nad trupami, zawiadamiają o zbrodni służby ochrony przyrody. Zatrucia bywają też przypadkowe, w latach 90. w Indiach wyginęło 90-99,9% sępów różnych gatunków. Przyczyną był diklofenak, silny lek przeciwzapalny podawany bydłu. Pochówkiem martwych zwierząt (a w niektórych częściach kraju również ludzi) zajmują się sępy. Niestety, w ich przypadku diklofenak powoduje ostrą niewydolność nerek. W 2006 r. Indie zakazały użycia leku, ale nadal jest on dostępny na czarnym rynku, ponadto używa się go w wielu krajach Afryki, a także w Hiszpanii i we Włoszech, gdzie znaczna część hodowców pozbywa się padłych sztuk, wyrzucając je na pola, by zajęły się nimi sępy.

Części ciała sępów też są wykorzystywane w tzw. medycynie tradycyjnej i magii, a nawet pozwalają inwestować w przyszłość – w niektórych częściach Afryki zjedzenie sępiego mięsa ma przynieść korzyści biznesowe i zwiększać inteligencję dziecka. Sępy bywają również po prostu zjadane, choć niekiedy sępina sprzedawana jest jako mięso kurze.

Wreszcie Afryka i Azja to już nie te rozległe, bezludne obszary, znane z literatury podróżniczej. Miasta i rolnictwo pochłaniają tereny naturalne, przez co znikają duże i średnie zwierzęta – pokarm sępów. Nie mniej groźne są pestycydy. Ogółem z 14 gatunków sępów jedynie sęp płowy wydaje się bezpieczny. Pozostałe znalazły się wśród zagrożonych w ciągu ostatniego ćwierćwiecza.

Sępy z Polski

Dawni autorzy podawali, że sęp płowy wraz z sępem kasztanowatym to ptaki lęgowe w wyższych polskich górach, chociaż dziś do tych informacji naukowcy podchodzą sceptycznie. Jeśli nie u nas, to na pewno gniazdowały tuż za naszą granicą, u Słowaków. Wspomnianą fatalną opinię sępów w naszym społeczeństwie nie wszystkie środowiska musiały podzielać, skoro dwa polskie okręty podwodne nosiły imię Sęp. Także pierwszy powojenny polski szybowiec, produkowany od 1947 r., nosił nazwę IS-1 Sęp. Tu zapewne mamy odniesienie do sępów jako znakomitych szybowników. Jeśli tak, to projektanci doskonale trafili – polska produkcja przyczyniła się do odnowienia sportu szybowcowego w kraju, a piloci wygrali wiele międzynarodowych zawodów i ustalili kilka rekordów prędkości dla tego typu maszyn.

Sępy są tępione przez kłusowników, ponieważ unosząc się nad zabitymi słoniami, zawiadamiają o zbrodni służby ochrony przyrody.

Warto wspomnieć o blisko spokrewnionych z sępami orłosępach i ścierwnikach, sporadycznie zalatujących do Polski. Te drugie znane są z używania narzędzi, orłosęp zaś należy do moich największych marzeń. Niestety, szanse mam znikome, w Europie zostało najwyżej 500 par, oba gatunki są zagrożone. Przez to, że orłosęp znany jest ze zjadania kości (by je rozpuścić, ma jeden z najbardziej kwaśnych soków żołądkowych w świecie zwierząt), zwykle ma lepsze notowania, choć w Karpatach zabijano te ptaki, oskarżając je o polowanie na owce, co jest mitem. Cieniem na reputacji gatunku kładzie się też nieumyślne zabójstwo Ajschylosa. Orłosępy często zrzucają z dużych wysokości kość lub żółwia, by roztrzaskać je o kamienie. Ponoć łysina tragika pomyliła się jednemu z dziadkiem do żółwi. Z kolei Szymon Perski był tak zauroczony ptakiem, że zmienił nazwisko na Peres (orłosęp po hebrajsku), mimo że to stworzenie uznawane w judaizmie za nieczyste. Opłaciło się, zapewne bez tak majestatycznego patrona nie zostałby izraelskim przywódcą.

W sukurs patologom i na zgubę archeologów

Duzi padlinożercy wywołują największe emocje, mniejszych zwykle nie dostrzegamy, może poza mrówkami. Ile razy słyszałem, że wystarczy włożyć kości do mrowiska, by mrówki je oczyściły (zwłaszcza gdy gotowałem w domu czaszkę jelenia, produkując aromaty zwalające z nóg). Świat bezkręgowców jest znacznie obfitszy. Najczęściej kojarzymy go z filmowym ekscentrycznym patologiem, który wyjaśnia śledczemu, jakie larwy much znaleziono na zwłokach, co pozwala określić czas zgonu na… Co do larw much, to prawda, co do ekscentryzmu – to mit, zapoczątkowany przez amerykański serial „Quincy M.E." kręcony od 1976 r. Przynajmniej tak twierdzą sami patomorfolodzy. Na podstawie stopnia rozwoju larw i panującej temperatury można określić czas zgonu, przynajmniej w pewnym przedziale. By robić to precyzyjniej, prowadzone są kolejne badania i powoli udaje się ów przedział zawężać, a to ważny trop dla policji. Ale… to nie takie proste! Nie tylko muchy są wyznacznikami czasu zgonu, a niedawne, polskie badania wykazały, że przynajmniej niektóre zwierzęta są w stanie manipulować temperaturą zwłok, podnosząc ją. Chrząszczem, który pomógł w tym odkryciu, jest częsty w Europie padliniec pospolity. Co więcej, tuż po ostatnim uderzeniu serca przestają działać wszelkie zapory, które powstrzymują zamieszkujące nasze ciała drobnoustroje, i te przystępują do uczty na naszych soczystych komórkach. Okazuje się, że podobny zegar biologiczny jak dla owadów opracowano dla bakterii, a w specyficznych warunkach także dla grzybów. Obie grupy organizmów pomagają w schwytaniu morderców.

To, że niektóre organizmy pomagają w ujęciu zbrodniarzy, nie znaczy, że same mają czyste łapki czy w tym przypadku strzępki. Zapewne znacie

eprasa.pl 73236679af

historie o klątwach, które sprowadzają rychłą śmierć na rabujących groby? Najskuteczniejsze rzucali egipscy kapłani, ale to i tak nie zapobiegło ograbieniu większości piramid. Dlatego odkrycie grobowca Tutanchamona w 1922 r. było sensacją, ale w ciągu kolejnych ośmiu lat większość członków ekspedycji padła trupem. Po prawdzie niektórzy przed przybyciem do Egiptu byli w słabej formie, lecz inni cieszyli się dobrym zdrowiem. Podobna klątwa spadła na naukowców, którzy w 1973 r. badali kryptę Kazimierza Jagiellończyka. Niestety, biolodzy to prości ludzie, klątwy zbadać się nie da, w przeciwieństwie do kropidlaków – grzybów pleśniowych, które żywiły się zwłokami obu władców, rozsiewając przy tym bardzo toksyczne zarodniki. Zresztą co tam pleśnie! Na zwłokach lub w miejscu, gdzie do niedawna były, pojawiają się grzyby owocnikowe! Na przykład w miejscach, gdzie zwłoki użyźniły glebę, lubią rosnąć czubajki kanie. Nie ma co się obruszać, gdyby nie organizmy żywiące się martwą materią organiczną, obieg pierwiastków w przyrodzie by ustał, a przynajmniej ostro zwolnił, tym samym czyniąc je niedostępnymi dla żywych istot. Bez nich życie nie byłoby możliwe.

Śmieciarze i grabarze

Skoro już mowa o smacznych grzybach, to jednym z moich ulubieńców jest boczniak ostrygowaty, którego eksperymentalnie wykorzystano do rozłożenia sterty jednorazowych pieluch. Zmniejszył ich masę o 80%. Co więcej, okazało się, że w samych grzybach nie stwierdzono substancji ani organizmów szkodliwych dla ludzi. Na wszelki wypadek boczniaków tych nie dopuszczono na stoły. Do rozkładu śmieci przydatne mogą być rozmaite grupy organizmów, wiele eksperymentów przeprowadza się obecnie na grzybach i bakteriach. Te ostatnie, czasem nieco podrasowane genetycznie, wydają się ciekawym rozwiązaniem nie tylko problemu gór śmieci, ale także odzyskiwania cennych surowców. Niektóre mają umiejętność gromadzenia w organizmie wybranych pierwiastków, najczęściej metali, które łatwo wtedy odzyskać. Na razie nie wyszliśmy poza badania, ale być może niebawem bakterie będą odzyskiwały dla nas pierwiastki ziem rzadkich, które obecnie kupujemy głównie od krajów niedemokratycznych. Znacznie częściej i powszechniej mikroby pracują dla nas w oczyszczalniach ścieków, odwalając kawał brudnej roboty.

Śmietnisko nie jest naturalnym środowiskiem boczniaków, zwykle zbieram je z pni martwych lub zamierających drzew. Drewno zjadane przez organizmy żywe w lesie to zgodnie z obecną polityką, której czołowym przedstawicielem był Jan Szyszko, marnotrawstwo, a nawet udział sił piekielnych. Tymczasem według zafascynowanych światem przyrody niewiele może się równać z pokaźnym pniem porośniętym grzybami i roślinami, w tym nowym pokoleniem drzew. Dość powiedzieć, że właśnie na martwych i zamierających drzewach rośnie połowa z ok. 1,5 tys. gatunków grzybów owocnikowych, a wiele z nich jest jadalnych, choć słabo znanych społeczeństwu. W miarę zamierania i rozpadu kłoda staje się domem dla rozmaitych roślin. W naturalnych lasach większość drzew zaczyna życie na szczątkach swoich poprzedników. Gdy już kłoda piastunka rozpadła się, nowe drzewo stało na korzeniach jak na szczudłach. Takie drzewa posłużyły za pierwowzór starożytnych kolumn – baza była korzeniami, trzon pniem, a głowica koroną, łącznie symbolizowały drzewo życia.

Boczniaka ostrygowatego eksperymentalnie wykorzystano do rozłożenia sterty jednorazowych pieluch. Zmniejszył ich masę o 80%.

Oczywiście by zasoby z martwego pnia mogły posłużyć roślinom, konieczny jest rozkład. Poza grzybami biorą w nim udział bakterie i zwierzęta. Najliczniejszą ich grupę stanowią chrząszcze, spośród niemal 7,5 tys. gatunków żyjących w Polsce 60% znajdziecie w martwych i zamierających drzewach. Wiele z nich to zwierzęta zagrożone wyginięciem, stąd m.in. takie zainteresowanie przyrodników objęciem 10% powierzchni każdego kraju UE ochroną ścisłą. Rzecz jasna, za taką ochroną przemawiają też inne względy, w tym gospodarcze. Poza chrząszczami w drewnie spotykamy inne owady, a także nicienie, roztocza, pajęczaki, wije, skorupiaki czy ślimaki. Nie wszystkie wpadają na przekąskę z celulozy, sporo to drapieżniki polujące na drewnożerne ofiary. Część korzysta z wydrążonych korytarzy, np. niektóre pszczoły samotnice. Tę obfitość życia zapewniają truchła drzew, a jeden pień może być domem dla tysiąca gatunków.

Inne roślinne odpady, takie jak liście w lasach czy słoma w moim ogródku, również znajdują amatorów, którzy przerobią wszystko na nawóz. Niebywałą rolę odgrywają w tym dżdżownice, o czym doskonale wie każdy zajmujący się ogrodnictwem. Karol Darwin schyłek życia poświęcił badaniu tej grupy zwierząt, nazywając je „największymi oraczami w dziejach Ziemi". Część dżdżownic nieustannie żeruje przy powierzchni, inne wciągają pokarm w głąb gleby, gdzie go zjadają i dostarczają składników odżywczych roślinom o głębiej sięgających korzeniach. Podobnie robią niektóre chrząszcze, przy czym nie ograniczają się do resztek roślinnych. Powszechnie znany żuk gnojowy to spec od odchodów, ale moim ulubieńcem jest grabarz żółtoczarny, całkiem spory chrząszcz, choć nie gigant. Niekiedy obserwuję, jak na podwórku poruszają się martwe gryzonie. To sprawka właśnie tych chrząszczy, które powoli wykopują spod truchła ziemię, by zagrzebać je na kilkanaście centymetrów. W grobie składają jaja i opiekują się potomstwem. W wychowaniu młodego pokolenia biorą udział obie płcie, co jest rzadkością u owadów. Może ci wszyscy reducenci, padlinożercy i takie tam nie są aż tak obrzydliwi, jak nam się wydaje? A nawet jeśli są i tak oddają nam olbrzymie przysługi.

Konrad Malec

eprasa.pl 73236679af

Roszada

Marcin Przydacz został sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta i szefem Biura Polityki Międzynarodowej. Z kolei powrót do dyplomacji zapowiedział dotychczasowy szef biura Jakub Kumoch. To ciekawa roszada.

Zacznijmy od Przydacza: w MSZ pilnował spraw dla Andrzeja Dudy najważniejszych – polityki bezpieczeństwa i stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Nie ma co ukrywać, wielu ważnych ludzi w ministerstwie na głowie stawało, żeby jakoś Przydacza z centrali wypchnąć, proponowano mu różne placówki, ale na próżno. Nagrodą za cierpliwość i unikanie pokus jest powrót do Kancelarii Prezydenta, ale już na stanowisko sekretarza stanu i szefa BPM, a więc duży awans.

A teraz spójrzmy na Jakuba Kumocha. Chyba nieprzypadkowo odchodzi on niemal równocześnie z dyrektorem swojego biura Piotrem Gillertem. Ich dymisje zostały od razu połączone z kompromitującą wpadką Andrzeja Dudy – w połowie listopada zadzwonili do niego dwaj rosyjscy pranksterzy, podając się za prezydenta Macrona, i odbyli z nim rozmowę.

Oczywistą odpowiedzialność za ten skandal ponosi biuro kierowane przez Gillerta, to tam powinno zostać sprawdzone połączenie, a rozmówca zweryfikowany. Niby sprawa jasna, tymczasem Kumoch zaczął tej wersji zaprzeczać – i zapewniać, że decyzja o jego i Gillerta odejściu z Kancelarii została podjęta już w październiku. Poszła też do dziennikarzy informacja, że połączenie z „Macronem" odbyło się bez wiedzy biura, innymi kanałami. Co, nawiasem mówiąc, w złym świetle stawia Kumocha, skoro tak ważne sprawy odbywają się poza nim.

A propos złego światła – były ambasador w Japonii Jacek Izydorczyk, który broni uparcie swojego dobrego imienia, podał jakiś czas temu do sądu jednego z hejterów obrażających go w sieci. I co się okazało? Podczas rozprawy ów hejter zeznał, że nieprawdziwe informacje na temat Izydorczyka otrzymał od Gillerta. Oto więc Gillert, który przez 11 lat pracował w ambasadzie RP w Pekinie, był też zastępcą ambasadora, zamieszany jest w różne intrygi i plotki, w dodatku – co z punktu widzenia służby jest kompromitujące – zadaje się z ludźmi, którzy nie są w stanie ochronić jego tożsamości.

Ale Kumoch również nie błyszczy. Z prezydentem pożegnał się listem, w którym tłumaczył swoje odejście, ale ten list mniej wyjaśnia, a bardziej zadziwia. Otóż Kumoch napisał, że brakowało mu kontaktu z rodziną, że trudno pogodzić rolę ministra i ojca, wybiera zatem to drugie.

Może tak, może nie, bo dlaczego w świat poszła informacja, że wraca do MSZ i nie będzie pracował online, tylko szukana jest dla niego odpowiednia placówka dyplomatyczna? Czyli co, praca ambasadora to biwak, i to taki, że można nadrabiać wszystkie rodzinne zaległości?

Zwróćmy też uwagę na zasadniczy błąd. Gdyby Kumoch został wyznaczony na ambasadora, zanim ogłoszona została jego dymisja, można by mówić, że placówka, którą przejmuje, jest wywyższona, bo ambasadorem będzie bliski współpracownik prezydenta, jego minister itd. A w obecnej sytuacji każdy widzi, że placówkę obejmuje minister wyautowany, mający ochotę na zajmowanie się dziećmi i ten wyjazd to pocieszenie. Czyli Polska traktuje to państwo lekceważąco, jako zsyłkę dla wypalonych (lub spalonych) urzędników.

Słabe to, szanowne MSZ.

Attaché

Tysiące przesiedlonych w Republice Konga walczą o byt. Niektórzy transportują na targ węgiel drzewny z lasu u podnóża wulkanu Nyiragongo w Parku Narodowym Wirunga. W niespełna dwa miesiące wycięto 200 ha drzew.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 73236679af

JOLKA

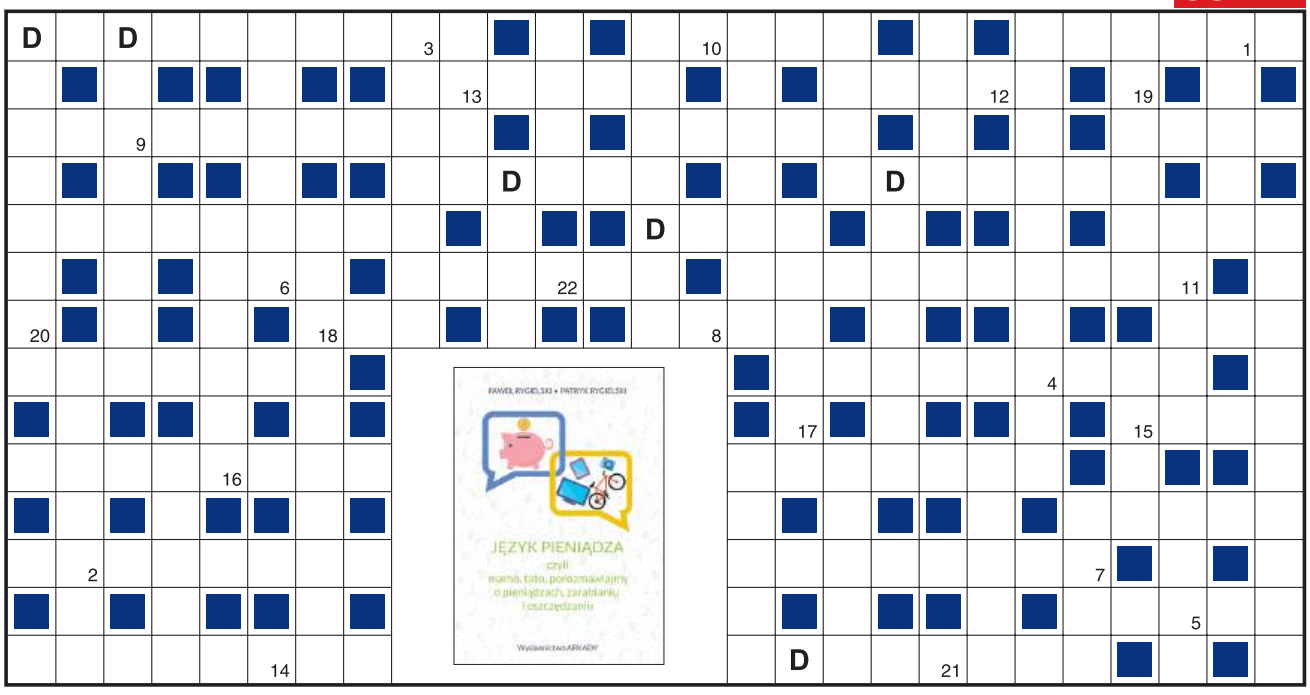

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- kolorowy ptak także wspak
- samochód, zwłaszcza osobowy
- rozkloszowany dół bluzki, żakietu
- birbant
- znawczyni roślin
- przedświt, jutrzenka
- tnąca część piły
- robiona czasem z gęby
- zupa z krwi zwierzęcej
- ucieczka wojaka
- dostatek, zamożność
- dawka, pewna ilość
- ostry kawałeczek drewna
- w kręgosłupie i w komputerze
- dla wędkarza – rosówka
- części całości
- traci czas i pieniądze na pijatyki, zabawy
- po iksie
- kosaciec albo cukierek
- Pachelbela lub „Panie Janie”
- drobniutkie minięcie się z prawdą
- obozowisko, np. włóczęgów
- jego samica żądna krwi
- dyplomatyczny lub pisowski ochrony wyborów
- ...i krzyżyk
- ze spiętrzonej wiosną zator na rzece
- kryta wnęka balkonowa
- rabusie, grabieżcy
- szczeżuja lub sercówka
- imię aktorki z „Dziecka Rosemary”
- osłaniający szyję dodatek do czapki, kapelusza
- na nich transportowany chory, ranny
- Łużycka lub Kłodzka
- uszkodzenie ciała jako skutek uderzenia, złamania
- miejsce pracy gisera
- i fleksja, i wariant, wersja
- wyraz uznania publiki
- kto strzela w nie Panu Bogu, ten chybia
- z klasztorem cystersów w Lubuskiem
- napitek z browaru
- zboże na kaszę jaglaną
- kempingowa lub do przewozu konia
- plisowana albo mocno zmarszczona falbanka
- zawinięty w papier stosik monet
- od twoich listów pachniało w niej w piosence
- Carskie... z odtworzoną Bursztynową Komnatą
- w dal lub na bank
- naczelnik rodu, plemienia arabskiego
- ciżba, chmara ludzi
- kolejowa lub tramwajowa z przewodami i szynami
- koniczynowy listek w talii
- w góralskich lasach lub pod gruszą
- pokrywa skrzyni, kufra
- soczewka w drzwiach
- i wszywka, i wtręt
- stare żelastwo
- „Wielkie...” Marca Ferreriego
- kamyki na alejkę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1101”. Do rozlosowania książki „Język pieniądza” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 stycznia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1098” z nr. 1: *Ludzie cenią swoje mniemania.*
Nagrody otrzymują: Jan Biernacki z Warszawy, Aleksandra Biłda z Pruszkowa, Józef Lebek z Zabrza.

eprasa.pl 73236679af

PENETRACJE

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Od dawna wiadomo, że ceny energii szybują głównie za sprawą koncernów monopolistów, korzystających z okazji, by kosztem społeczeństw odbić sobie straty z pandemii, przy okazji maksymalnie zwiększając bieżące zyski i dywidendy dla udziałowców. Wiadomo też, że położenie kresu tym praktykom odcięłoby jedno z głównych kół napędowych inflacji, którą rządząca w Polsce prawica zbija dziś restrykcyjną polityką pieniężną, czyli metodą stanowiącą wypróbowany przepis na wywołanie recesji i bezrobocia oraz pauperyzację większości społeczeństwa.

zwierciadło

JANINA OCHOJSKA,
PREZESKA POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ

Jestem bardzo ciekawa tego, co będzie. Najstarszy syn moich przyjaciół był na koncercie Maty i wrócił z wiadomością, że jak Mata skończy 40 lat, zostanie prezydentem Polski. Czy tak się stanie? I co stanie się z Polską? I czy uda nam się uchronić od skutków przegrzania Ziemi? Jestem bardzo ciekawa dalszych osiągnięć teleskopu Webba, który krąży w kosmosie. Mam poczucie, że nawet taka tyciusieńka jestem częścią wszechświata. Może kiedyś z tego, z czego jesteśmy zrobieni, powstaną nowe gwiazdy? Życie na świecie może się po prostu ugotować. Białko ulegnie zniszczeniu, więc i my ulegniemy zniszczeniu. Chociaż częściowo czuję się bezsilna, świat zależy od moich wyborów.

przedsiębiorca rolny

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK,
LIDER AGROUNII

Mam nadzieję, że nie trafię do więzienia, ale po tym, co się stało w Lublinie, możemy się spodziewać wszystkiego ze strony prokuratury, policji, sądów. Ludzie, którzy chcieli tylko tego, żeby zboże przewożone z Ukrainy nie pozostawało w Polsce, ale jechało dalej, do krajów Afryki, zostali potraktowani jak groźni przestępcy. Byli przewożeni w więźniarkach, przesłuchiwali ich policjanci od największych przestępstw. To wszystko miało na celu zastraszenie naszych działaczy. Jednak to się nie udało, my dobrze wiemy, jakie metody stosują ta władza i policja.

Twój STYL

DOROTA POMYKAŁA,
AKTORKA

Ciało to jest warsztat, jak głos. Nagość jest kostiumem. Jak już się podjęłam zadania, to się nie zastanawiałam, ile wałeczków będzie widać. Poza tym byłam tak przejęta wagą tej sceny, tyle musiałam z siebie wyciągnąć, że nie myślałam, czy jestem goła, czy na nartach. Ale po pokazie filmu w Ameryce jakiś mężczyzna skomentował, mrucząc: „Mhm, ale pani jest odważna". Do dziś nie wiem, co miał na myśli – odwagę w rozbieraniu się?

Archeolodzy odkryli w południowym Egipcie nienaruszony grobowiec z 10 zmumifikowanymi krokodylami. Najmniejszy ma 1,8 m długości, największy 3,5 m. Starożytni Egipcjanie składali ofiary z krokodyli bogu Sobkowi.

FOT. COVER IMAGES/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ O PISOWSKICH RZĄDACH DUSZ
Rozszyfrowali logikę oglądu świata Zenka, Janusza i Dżesiki.

MIROSŁAW OCZKOŚ O MATEUSZU MORAWIECKIM
Świetnie się nadaje na marzannę, którą można utopić na wiosnę.

JACEK NIZINKIEWICZ O BOGUSŁAWIE GRABOWSKIM
Grabowski, który chce wszystko prywatyzować, zabrać część programów socjalnych i wprowadzić euro, spadł Kaczyńskiemu z nieba.

JERZY DZIEWULSKI O POLICJANTACH NA STRAŻACKIM WYSIĘGNIKU
Tak kretyńskiej i kompromitującej decyzji jeszcze nie oglądałem.

PAWEŁ FAJDEK O PLEBISCYCIE „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO"
Im więcej zdobywam tytułów mistrzów świata, tym niżej spadam w tym plebiscycie.

KUBA WOJEWÓDZKI O MICHALE RACHONIU Z TVP INFO
Gdyby na Titanicu mieli takiego Rachonia, nikt by się nie zorientował, że sięgnęli dna.

KRYSTYNA JANDA O DZIECIŃSTWIE
Byłam dzieckiem nieśmiałym, wstydliwym, bojaźliwym, a do tego się jąkałam, a raczej zacinałam, aż do czasów liceum.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA O ROZMOWACH
Podczas intymnej rozmowy zdarza się czasem komuś powiedzieć za dużo. Nie wyobrażam sobie tego wykorzystać.

ERYK LUBOS O ALKOHOLU
Alkohol wysusza duszę. Wszystko można sobie wytłumaczyć, wybielić się. Ale kiedy człowiek pije, cały czas kłamie.

KATARZYNA DOWBOR O PORCELANIE
Każde pieniądze wydam… na piękną porcelanę.

eprasa.pl 73236679af

Od tych słodyczy się kwiczy

To, że TikTok niekiedy szkodzi zdrowiu, potwierdzają również doniesienia z Indonezji. Co najmniej 25 dzieci zostało poszkodowanych w związku z wykreowaną za pośrednictwem aplikacji modą na jedzenie cukierków oblanych ciekłym azotem. Rzeczona polewa powoduje, że wzięte do ust słodycze wydają się dymić. Problem w tym, że zjedzenie cukierka, zanim azot wyparuje, grozi poparzeniem jelit oraz poważnymi trudnościami w oddychaniu, a nawet śmiercią. O ryzyku próchnicy nawet nie wspominamy!

Algorytmy na indeksie

W Australii osiem wiodących uniwersytetów zmieniło sposób oceniania studentów, by przeciwdziałać wyręczaniu się przez nich narzędziami wykorzystującymi sztuczną inteligencję. Zwłaszcza rosnąca popularność bota ChatGPT, który jest w stanie wygenerować sensowny tekst na prawie każdy zadany temat, skłoniła akademików z antypodów m.in. do przywrócenia odręcznego pisania egzaminów. Przewidujemy kontratak żaków, np. w formie ukrywania ściąg w pluszowych koalach.

...aż się zepsujesz

Zawał serca był prawdopodobną przyczyną śmierci 33-latka z Luizjany, który zdobył internetową sławę, publikując filmiki, na których pochłaniał, w celach recenzenckich, nietypowe i przeważnie bardzo niezdrowe jedzenie i napitki. Mężczyzna, znany na TikToku jako wafffler69, namiętnie testował m.in. osobliwe fast foody, słodycze i napoje gazowane, ale nie pogardził także choćby płatkami śniadaniowymi z... 1989 r. Było to tym bardziej nieroztropne, że zarówno jego ojciec, jak i dziadek cierpieli na dziedziczne problemy z sercem. Nagrania śp. influencera, nadal dostępne w sieci, powinny być opatrzone ostrzeżeniem: nie próbujcie tego w domu.

Sokracie, ty też na czacie?

Nowoczesne chatboty umożliwiają nie tylko cwaniakowanie na uczelniach, ale i debatowanie z Szekspirem, Einsteinem czy Sokratesem. Serwis Character.AI zaprasza do ucinania sobie pogawędek z rozmaitymi sławami, w tym takimi, które od dawna nie chodzą już po tym świecie. Na podstawie dostępnych materiałów źródłowych (m.in. listów i publikacji), ale także ocen użytkowników, sztuczna inteligencja wciela się w rolę wybranego rozmówcy i prowadzi z nami konwersację w stosownym tonie. Możliwości tej technologii są zaskakujące, a jeszcze większą niespodzianką jest to, z jakim szacunkiem mąż wypowiada się o Ksantypie.

Wynalazcy zaskoczyli zimę

Widmo niedoborów prądu zmobilizowało japońskich naukowców do opracowania sposobu jego wytwarzania ze śniegu, którego w niektórych częściach Kraju Kwitnącej Wiśni jest pod dostatkiem. Idea jest prosta: biały puch ochładza zbiornik z wodą, a ta pod wpływem wyższej temperatury powietrza zaczyna parować, wprowadzając w ruch turbiny generujące energię elektryczną. Technologia jest nie tylko przyjazna środowisku, ale także pozwala zaoszczędzić na odśnieżaniu. Byłoby (białym) szaleństwem nie skorzystać!

eprasa.pl 73236679af

Za czym kolejka ta płacze?

Natomiast niedobory cebuli wynikające z serii tajfunów sprawiły, że ceny tego warzywa dobijają na Filipinach do równowartości niemal 50 zł za kilogram. Jeden z najważniejszych składników miejscowej kuchni, do tej pory dość tani, stał się o jedną trzecią droższy od szpondra wołowego.

Nic dziwnego, że pojawiła się nowa gałąź przemytu – celnicy zarekwirowali m.in. czerwoną cebulę szmuglowaną z Chin w pudełkach z ciastkami, wartą 364 tys. dol. Może Jacek Cygan i Krzesimir Dębski pocieszyliby Filipińczyków, pisząc „Dymkę na dwa serca"?

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (4)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Mateusz Mazzini,Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 73236679af

Autoportret, 1942

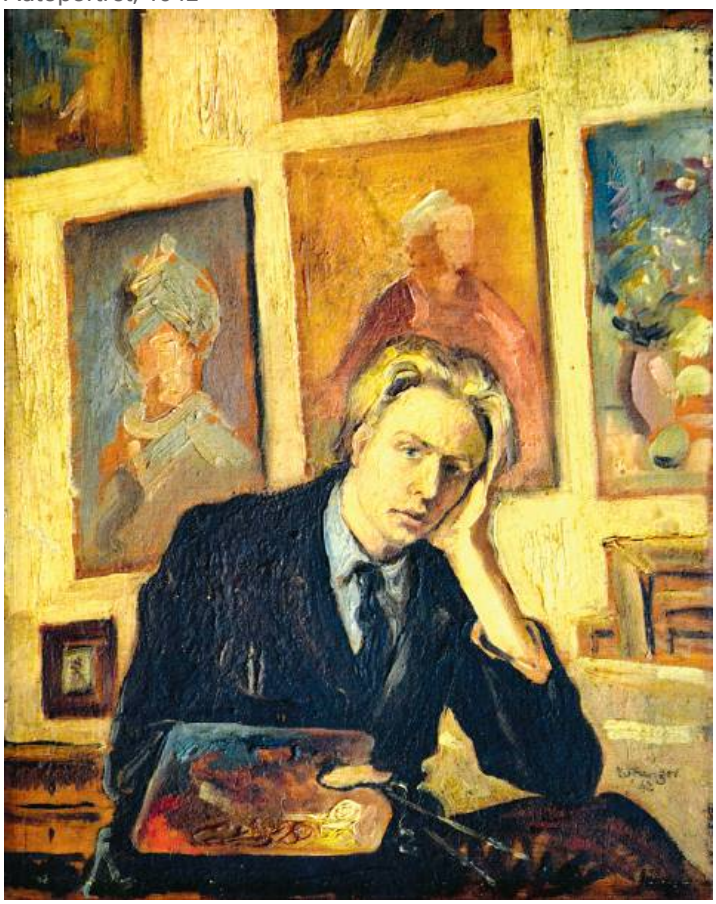

Pałac Kultury, 1953

Fangor. Poza obraz

Ponad 100 obrazów i 90 rysunków, plakaty oraz rzeźby reprezentują wszystkie okresy twórczości Wojciecha Fangora, a zanurzone są w kontekście historycznym i biograficznym. Takie dzieła jak „Rozstrzelanie", „Krzyk", „Proces" czy „Pałac Kultury" albo gest zerwania z figuracją po odwilży 1956 r. i przejście do optycznych eksperymentów z płaszczyzną – pozwalają odczytać twórczość Fangora na nowo. Najlepiej znany publiczności tzw. okres abstrakcyjny może np. ujawnić związki z zainteresowaniami astronomicznymi artysty.

Muzeum Narodowe w Gdańsku, Oddział Sztuki Nowoczesnej

ul. Cystersów 18

do 12 marca

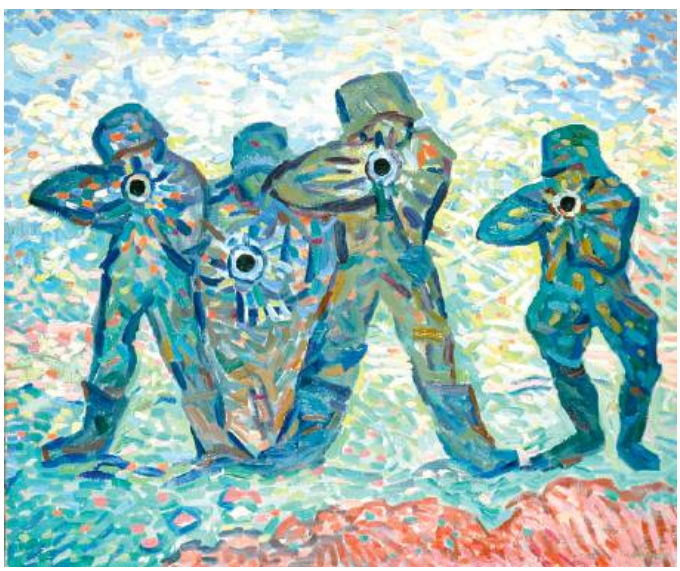

Rozstrzelanie, 1946

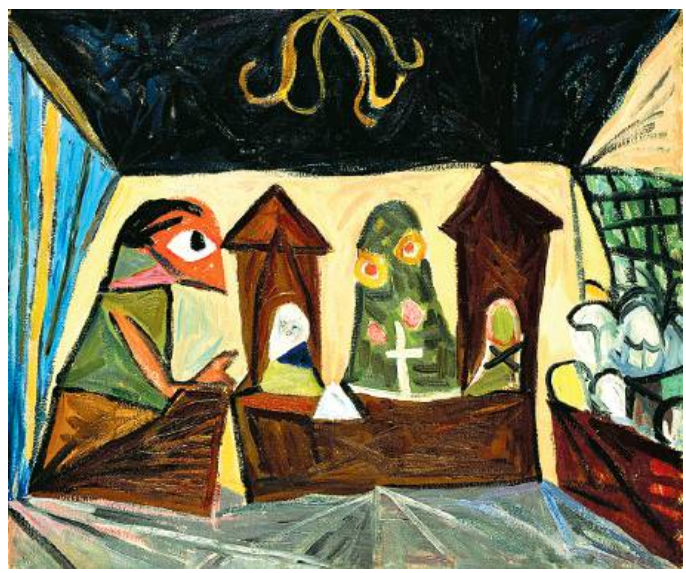

Proces, 1949

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 73236679af

PEŁNOSEKSUALNI

LINIA DLA OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIĄ

WSZYSCY JESTEŚMY

SEXUALNI

PONIEDZIAŁKI
17:00-20:00

730 994 964

PROJEKT REALIZOWANY Z DOTACJI PROGRAMU AKTYWNI OBYWATELE - FUNDUSZ KRAJOWY FINANSOWANEGO PRZEZ ISLANDIĘ, LIECHTENSTEIN I NORWEGIĘ W RAMACH FUNDUSZY EOG.

Iceland Liechtenstein Norway Active citizens fund

WWW.SEXED.PL

eprasa.pl 73236679af

KOMEDIA NIEROMANTYCZNA

CHORA NA SIEBIE

KRISTINE KUJATH THORP („Ninjababy”) EIRIK SÆTHER

FESTIVAL DE CANNES
UN CERTAIN REGARD

MFF w Ghent

MFF w Jerozolimie

MFF w Nashville

MFF w Valladolid

nowy film producentów „Najgorszego człowieka na świecie”

Ostra satyra na świat, w którym największą wartością jest bycie zauważonym

w kinach od 3 lutego

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl 73236679af